

1

Siedzieliśmy w budce, którą łowcy z plemienia Wanderobo zbudowali z gałęzi i prętów na skraju lizawki solnej, gdy nagle usłyszeliśmy nadjeżdżającą ciężarówkę. Z początku była daleko i nikt nie mógł rozpoznać, co to za odgłos. Potem ucichł i mieliśmy nadzieję, że nie było nic albo może tylko wiatr. A później przybliżył się powoli, już teraz niewątpliwy, coraz głośniejszy i głośniejszy, aż wreszcie z łoskotem donośnych, nieregularnych wybuchów przesunął się dręcząco tuż za nami i oddalił drogą. Ten teatralny z dwóch tropicieli powstał.

— Skończone — powiedział.

Położyłem dłoń na ustach i dałem mu znak, żeby usiadł.

— Skończone — powtórzył i szeroko rozłożył ramiona. Nigdy go nie lubiłem, a teraz lubiłem go jeszcze mniej.

— Później — szepnąłem.

M'Kola potrząsnął głową. Spojrzałem na jego łysą, czarną czaszkę, a on obrócił trochę twarz, tak że zobaczyłem rzadkie, chińskie włoski w kącikach jego ust.

— ■ Nic z tego — rzekł. — *Hapana m'uzuri*.

— Zaczekaj chwilę — powiedziałem mu. Znowu schylił głowę, żeby nie było jej widać znad zeschniętych gałęzi, i siedzieliśmy tak w piachu dołu, dopóki nie zrobiło się za ciemno, abym mógł dojrzeć muszkę sztucera; ale nic już nie przyszło. Ten teatralny tropiciel był zniecierpliwiony i nerwowy. Na chwilę przed zniknięciem resztek światła dziennego szepnął do M'Koli, że już za ciemno strzelać.

— Zamknij się, ty — powiedział mu M'Kola. — B'wana potrafi strzelać, jak ty już nic nie widzisz.

Drugi tropiciel, ten wykształcony, urządził nowy pokaz swojego wykształcenia, wydrapując zaostrozonym patykiem swe imię, Abdullah, na czarnej skórze własnej nogi. Przyglądałem się temu bez zachwyty, a M'Kola popatrzał na to słowo bez cienia wyrazu na twarzy. Po chwili tropiciel je stał.

W końcu zmierzyłem się po raz ostatni ze sztucera pod resztkę dzien-

nego światła i przekonałem Się, że nic z tego nie będzie, nawet przy większej szczybinie celownika.

M'Koia przypatrywał się temu.

— Nie ma co ■ — powiedziałem.

— ■ Tak — przyznał w języku suaheii. — Idziemy do obozu?

— Tak.

Wstaliśmy, wyleźliśmy z budki i ruszyli wśród drzew z powrotem do drogi, stąpając po piaszczystym ile, szukając po omacku przejścia między drzewami i gałęziami. O milę dalej na drodze stał nasz samochód. Kiedyśmy podeszli, kierowca Kamau zapalił reflektory.

Wszystko popsuła ta ciężarówka. Tego popołudnia zostawiliśmy wóz dalej na drodze i bardzo ostrożnie podeszli do lizawki. Poprzedniego dnia było f.-oche deszczu, ale me tyle, żeby zalać lizawkę, która była po prostu polanką między drzewami, z kawałkiem ziemi wyżłobionym w głębokie kręgi i oznaczonym na brzegach zagłębieniami, tam gdzie zwierzęta wylizywały sól z ziemi, i widzieliśmy podłużne, świeże tropy w kształcie serca, pozostawione przez cztery byki wielkiego kudu, które przyszły tio soli poprzedniej nocy, a także sporo świeżo odcisniętych tropów mniejszych kudu. Był też i nosorożce, który, sądząc po śladach i rozdeptanym kopczyku zmieszanego z sianem łajna, musiał przychodzić tam eo noc. Budkę postawiono na odległość bliskiego strzału z łuku od lizawki i kiedy tam siedziałem, odchylony do tyłu, z podkurczonymi, kolanami, ze spuszczoną głową, w dole zapełnionym do połowy popiołem i piachem, wypatrując przez zeschnięte liście i cienkie gałęzie, zobaczyłem mniejszego byka kudu, gdy wyszedł z gąszczu na skraj polanki, gdzie była lizawka i taro stanął, ciężki w karku, szary i piękny, z rogami wznoszącymi się spiralnie na tle słońca, i wymierzyłem w jego pierś, a polani zrezygnowałem ze strzału nie chcąc spłoszyć wie?kiego 'ludu, który na pewno powinien był przyjść o zmierzchu. Ale jeszcze zanim w ogóle dosłyszeliśmy ciężarówkę, byk ją usłyszał i uciekł między drzewa, i wszystko, co się poza tym ruszało w zaroślach czy na równinie albo schodziło z niskich wzgórz przez las ku lizawce, zatrzymało Się na ten wybuchający, terkotliwy odgłos. Potem, po ciemku, zwierzęta mogły przyjść, ale wtedy już byłoby za późno.

Tak więc, kiedy teraz jechałem piaszczystym szlakiem drogi, a w reflektorach ukazywały się oczy nocnych ptaków, przycupniętych na piasku, dopóki samochód nie nadjechał tuż, a one nie zerwały się w cichym przerażeniu — ■ kiedy mijałem ogniska wędrowców, którzy za dnia posuwali się tą drogą na zachód, porzucając: głodowy kraj, co był przed nami, gdy tak siedziałem z kolbą sztucera opartą na stopie, a lufą w zagięciu lnv< j ręki. z flaszka whisky między kolanami, nalewając sobie do blaszanego kubka i po ciemku nadstawiając go M'Koli przez

ramię, żeby dolał wody z manierki, i popijając to, tę pierwszą whisky dnia, najsmaczniejszą, jaka jest — patrzyłem w gęste zarośla, które mijaliśmy w ciemnościach, czułem chłodny wiatr nocny, wdychałem dobry zapach Afryki i byłem całkowicie szczęśliwy.

A potem zobaczyliśmy przed sobą duże ognisko i kiedyśmy się zbliżyli i mijali je, spostrzegłem przy drodze ciężarówkę. Kazałem Kamauowi stanąć i cofnąć się, i kiedy wjeżdżaliśmy tylnym biegiem w światło ogniska, zobaczyłem niskiego, krzywonożego mężczyznę w tyrolskim kapeluszu, skórzanych szortach i rozpiętej koszuli, stojącego wśród tłumu krajowców przed maszyną, która miała podniesioną maskę.

— Możemy coś pomóc? — zapytałem go.

— Nie — odrzekł. — Chyba że jest pan mechanikiem. Ona mnie nie lubi. Żadna maszyna mnie nie lubi.

— Nie myśli pan, że to może być coś w delku? Kiedy pan przejeżdżał obok nas, odgłos był taki, jakby stukały wentyle.

— Myślę, że to o wiele gorsza sprawa. Zdaje się, że coś bardzo niedobrego.

— ■ Jeżeli pan może dojechać do naszego obozu, to mamy mechanika.

— Jak to daleko?

— Około dwudziestu mil.

— Rano spróbuję. Teraz boję się pchać maszynę dalej z tym odgłosem śmierci w środku. Ona próbuje umrzeć, bo mnie nie lubi. Ano, i ja jej też. Ale gdybym ja umarł, jej by to wcale nie obeszło.

— ■ Napije się pan? — wyciągnąłem do niego flaszkę. — Nazywam się Hemingway.

— Kandisky — powiedział i ukłonił się. — Hemingway to jest nazwisko, które już gdzieś słyszałem. Ale gdzie? Gdzie mogłem je słyszeć? Aha. Ten *Dichter*. Pan zna tego poetę Hemingwaya?

— A gdzie pan go czytał?

— W *Querschnitcie*.

— 'To ja — powiedziałem bardzo zadowolony. *Querschnitt* był niemieckim czasopismem, dla którego napisałem kiedyś kilka dosyć nieskromnych wierszy i w którym wydrukowałem dłuższą opowieść na całe lata przed tym, nim zdołałem cokolwiek sprzedać w Ameryce.

— To bardzo dziwne — powiedział mężczyzna w tyrolskim kapeluszu. — Niech pan mi powie, co pan myśli o Ringelnatzu?

— Wspaniały.

— *So*. Pan lubi Ringelnatza. To dobrze. A co pan myśli o Heinrichu Mannie?

— Nic niewart.

- Naprawdę pan tak uważa?
- Wiem tylko tyle, że nie mogę go czytać. ^v
- Niewart zupełnie nic. Widzę, że mamy ze sobą coś wspólnego.
- Co pan tu robi?
- Poluję.
- Mam nadzieję, że nie na słonie? •
- Nie. Na kudu.
- Po co to polować na kudu? Żeby pan, człowiek inteligentny, poeta, strzelał do kudu!
- Jeszcze żadnego nie ustrzeliłem — odrzekłem. — Ale polujemy na nie ostro już od dziesięciu dni. Dzisiaj wieczorem mielibyśmy z jednego, gdyby nie pańska ciężarówka.
- Ta biedna ciężarówka. Ale pan powinien polować przez cały rok. Po takim czasie człowiek ustrzeli już wszystko i wtedy robi mu się żal. Polować specjalnie na jednego zwierza to nonsens. Dlaczego pan to robi?
- Bo to lubię.
- No, oczywiście, jeżeli pan l u b i... Niech pan mi powie, co pan naprawdę myśli o Rilke?
- Czytałem tylko jedną jego rzecz.
- Którą?
- „Kometa”.
- Podobał się panu?
- Tak.
- ■ Ja nie mam do tego cierpliwości. To snobizm. Valery, owszem. Rozumiem sens Valery'ego, chociaż i w tym jest sporo snobizmu. No, przynajmniej nie zabija pan słoni.
- Zabiłbym z jednego dużego.
- Jak dużego?
- Takiego z siedemdziesięciofuntowymi kłami. Może mniejszego.
- Widzę, że są rzeczy, co do których się nie zgadzamy. Ale to przyjemność poznać, kogoś z tej wielkiej dawnej grupy *Querschnittu*. Niech pan mi powie, jaki jest Joyce? Nie mam dość pieniędzy, żeby go kupować. Sinclair Lewis to jest nic. Kupiłem. Nie, nie. Powie mi pan jutro. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli założę obóz gdzieś blisko? Czy pan tu jest z przyjaciółmi? Ma pan z sobą zawodowego myśliwego?
- ■ Jestem z żoną. Będzie nam bardzo miło. Tak, mam zawodowego myśliwego.
- Dlaczego nie jest teraz z panem?
- Uważa, że na kudu powinno się polować samemu.
- Lepiej nie polować na nie wcale. Co on za jeden? Anglik?

— Tak.

— Cholerny Anglik?

— Nie. Bardzo miły. Spodoba się panu.

—■ Musi pan już jechać. Nie mogę pana zatrzymywać. Może zobaczy my się jutro. Bardzo to dziwne, żeśmy się spotkali.

— Tak — powiedziałem. — Niech jutro obejrzą pański samochód. Zrobimy, co się da.

— Dobranoc — rzekł. — Szczęśliwej drogi.

— Dobranoc — odpowiedziałem.

Ruszyliśmy i zobaczyłem, że idzie do ogniska machając ręką do krajowców. Nie zapytałem go, dlaczego ma z sobą dwudziestu krajowców ani dokąd jedzie. Uświadomiłem sobie, że nie spytałem go o nic. Nie lubię zadawać pytań, a tam gdzie się wychowałem, nie jest to grzeczne. Ale tutaj nie widzieliśmy białego człowieka od dwóch tygodni, odkąd wyjechaliśmy z Babati na południe, więc żeby teraz natknąć się na niego na tej drodze, gdzie spotykało się czasem tylko hinduskich kupców i nieprzerwaną migrację krajowców z głodowych obszarów — i żeby wyglądał jak karykatura Benchleya w stroju tyrolskim i znał moje nazwisko, nazywał mnie poetą, czytywał *Querschnitt*, był wielbicielem Joachima Ringelnatza i chciał rozmawiać o Rillem — to już było zbyt fantastyczne. A' właśnie w tej chwili, dla ukoronowania tej fantastyczności w reflektorach samochodu ukazały się trzy wysokie, stożkowate kopczyki czegoś dymiącego na drodze przed nami. Dałem Kamauowi znak, żeby stanął, i nacisnąwszy hamulec zatrzymaliśmy się raptownie¹ tuż przy nich. Miały po dwie — trzy stopy wysokości i kiedy dotknąłem jednego z nich, był jeszcze zupełnie ciepły.

— *Tembo* — powiedział M'Kola.

Było to łajno słoni, które dopiero co przeszły przez drogę, i widzieliśmy, jak paruje w chłodzie wieczoru. Niedługo potem znaleźliśmy się w obozie.

Nazajutrz wstałem i przed świtem pojechałem do innej lizawki. Kiedyśmy się zbliżali między drzewami, był przy niej byk kudu, który szczeknął głośno jak pies, tylko cienie, ostro i gardłowo, i uciekł, z początku nie robiąc hałasu, potem łamiąc z trzaskiem zarośla, kiedy się już dobrze odsądził. Nie zobaczyliśmy go w ogóle.

Dojście do tej lizawki było fatalne. Dookoła otwartej przestrzeni rosły drzewa, tak że zwierzęta były niejako w budce, a człowiek musiał je podchodzić po otwartym. Jedyнным sposobem dostania się tam byłoby podczołganie się w pojedynkę, ale i wtedy nie dałoby się podejść na jakiś bliższy strzał przez posplatane drzewa, póki by się nie doszło na dwadzieścia jardów. Oczywiście, jak ktoś już się znalazł między tymi osłaniającymi drzewami, w budce miał świetne miejsce, bo wszy-

stko, co się schodziło do soli, musiało wyjść na otwarte, o dwadzieścia pięć jardów od jakiegokolwiek osłony. Ale chociaż siedzieliśmy tam do jedenastej, nie przyszło nic.

Udeptaliśmy starannie piasek lizawki, żeby wszelkie nowe tropy były widoczne, kiedy wrócimy, i przeszliśmy pieszo te dwie mile do drogi. Zwierzyna, ponieważ już na nią polowano, nauczyła się wychodzić tylko nocą, i wracać przed świtem. Ten jeden byk został, i to, żeśmy go spłoszyli dziś rano, musiało jeszcze bardziej utrudnić sprawę.

Już dziesiąty dzień polowaliśmy na wielkie kudu, a jeszcze nie widziałem dojrzałego byka. Zostały nam tylko trzy dni, bo deszcze co dzień posuwały się ku północy od Rodezji, i jeżeli nie chcieliśmy siedzieć tu przez okres deszczowy, musieliśmy przed ich nadejściem dotrzeć do Handeni. Naznaczyliśmy sobie siedemnasty lutego jako ostatnią bezpieczną datę odjazdu. Teraz już zaciągnięte, wełniste niebo oczyszczało się co rano o jakąś godzinę dłużej i" kiedy deszcze posuwały się stale na północ, człowiek czuj ich zbliżanie się tak nieomylnie, jakby je śledził na tablicy.

Otóż przyjemnie jest polować przez dłuższy czas na coś, czego się bardzo chce, bywać przechytrzoną i wymanewrowaną i nie nie zdzielać dzień po dniu, ale chodzić na polowanie i za każdym razem wiedzieć, że prędzej czy później szczęście się odmieni i przyjdzie ta sposobność, której się szuka. Natomiast nie jest przyjemnie mieć jakąś granicę czasu, do której trzeba dostać swojego kudu, bo inaczej może go się już nigdy nie dostanie ani nawet nie zobaczy. Nie powinno się tak polować. To zanadto przypomina tych chłopców, których dawniej posyłano na dwa lata do Paryża, żeby w tym czasie zrobili karierę jako pisarze albo malarze, po czym, jeżeli jej nie zrobili, mogli wracać do domu i pracować w interesie ojca. Polować trzeba, póki się żyje, na takie a takie zwierzę, dopóki ono jest; podobnie jak malować trzeba tak długo, jak istnieje się samemu i są farby i płótno, a pisać, dopóki można żyć i jest ołówek i papier albo atrament czy jakaś maszyna, którą można to robić, albo coś, o czym chce się pisać — i człowiek czuje się głupcem i jest głupcem, jeżeli robi to w jakikolwiek inny sposób. Natomiast my siedzieliśmy tutaj, naciskani przez czas, porę roku i wyciekanie naszych pieniędzy, tak że to, co powinno było być przyjemnością każdego dnia, czy zabiło się coś, czy nie, zmieniało się przymusowo w tę najbardziej podniecającą perwersję życia: konieczność dokonania czegoś w czasie krótszym, niż go na to naprawdę potrzeba. Toteż kiedy wracałem w południe, będąc na nogach od dwóch godzin przed świtem i mając już tylko trzy dni przed sobą, zaczynałem się tym denerwować — i wtedy przy stole pod płatem namiotu-jadalni zobaczyłem rozgadanego Kandisky'ego od tyrolskich portek. Zupełnie o nim zapomniałem.

— Witam, witam — powiedział. — Bez powodzenia? Nic nie wyszło? Gdzie ten kudu?

— Kaszlnął raz i poszedł — odrzekłem. — Jak się masz, dziewczyno? Uśmiechnęła się. I ona też była zmartwiona. Oboje od świtu nasłuchiwali strzału. Nasłuchiwali przez cały czas, nawet kiedy prirybył nasz gość; nasłuchiwali pisząc listy, czytając, nasłuchiwali, kiedy Kandisky wrócił i zaczął gadać.

— Nie zastrzelił go pan?

— Nie. Nawet go nie widziałem. — Zauważyłem, że Pop jest także zmartwiony i trochę zdenerwowany. Najwyraźniej sporo tu -było gadania.

— Może piwa, pułkowniku? — powiedział do mnie.

— Spłoszyliśmy jednego — oznajmiłem. — Żadnej możliwości strzału. Tropów było bardzo dużo. Nic więcej nie przyszło. Wiatę aię odwrócił. Spytajcie boyów⁷.

— Właśnie mówiłem pułkownikowi Phillipsowi, że nie powinniście państwo za długo tu siedzieć — zaczął Kandisky przesuwając na krześle swój obleczony w skórzane spodnie zadek i zakładając jedną grubołydczastą, owłosioną, gołą nogę na drugą. — Musicie zdać sobie sprawę, że nadchodzą deszcze. Dalej za tym miejscem jest jeden dwunastomilowy odcinek, przez który nie można przejechać, jeżeli pada. To niemożliwe.

— Tak właśnie mi mówił — rzekł Pop. — A poza tym ja jestem tylko „pan”. Tych wojskowych tytułów używamy jako przydomków. Niech pan się nie obraża, jeżeli pan sam jest pułkownikiem. — Po czym do mnie: — Szlag by trafił te lizawki. Gdyby pan był zostawił je w spokoju, miałby pan byka.

— ■ Wszystko spaskudziły — przyznałem. — Bo człowiek jest taki pewny, że przy lizawce prędzej czy później dojdzie do strzału.

— Trzeba też opolować wzgórze.

— Opoluję, Pop.

*

— • Co fo w ogóle jest zabić kudu? — spytał Kandisky. — Nie powinien pan tego brać tak poważnie. To jest nic. W ciągu roku zabija się dwadzieścia.

— ■ Lepiej o tym nie mówić wydziałowi łowieckiemu — rzekł Pop.

— Pan źle zrozumiał — powiedział Kandisky. — Miałem na myśli to, że w ciągu roku można. Oczywiście nikt by tego nie chciał.

— Bez względu — ■ odparł Pop. — Gdyby ktoś mieszkał w kraju kudu, toby mógł. W tej strefie buszu kudu jest najpospolitszą dużą antylopą. Tylko że kiedy człowiek chce go zobaczyć, to nie może.

— Ja nic nie zabijam, proszę państwa — powiedział do nas Kandisky. — Dlaczego nie interesujecie się bardziej krajowcami?

— I owszem — zapewniła go moja żona. ^f

— Oni są naprawdę ciekawi. Niech pani posłucha — powiedział Kandisky i dalej coś do niej mówił.

— ■ Najgorsze jest to — powiedziałem do Popa — że jak jestem na wzgórzach, wydaje mi się, że dranie zeszyły tam, do soli. Łanie są na wzgórzach, ale nie przypuszczam, żeby byki były z nimi. A potem idzie się tam wieczorem i widzi tropy. Były przy tej parszywej lizawce. Myślę, że przychodzą o każdej porze.

— Bardzo możliwe.

— Jestem pewien, że tam są inne byki. Prawdopodobnie przychodzą do soli tylko co kilka dni. Niektóre na pewno są spłoszone, bo Karl zastrzelił tamtego. Gdyby chociaż zabił go czysto, a nie gonił za nim po całej okolicy! Chryste Panie, gdyby potrafił cokolwiek zabić czysto! Inne, nowe, chyba przyjdą. Trzeba tylko poczekać, nic więcej. Przecież wszystkie nie mogą o tym wiedzieć. Tylko że on przepłoszył te strony jak cholera.

— On tak się denerwuje — rzekł Pop. — Ale to porządny chłop. Wie pan, dał piękny strzał do tego lamparta. Już czyściej zabić" nie trzeba. Niech tu się tylko znów uspokoi.

— Jasne. Nie mam nic złego na myśli, kiedy go knę.

— Może by tak przesiedzieć cały dzień w budce?

— Ten przekłety wiatr zaczął się kręcić w kółko. Rozdmuchał nasz zapach na wszystkie strony, psiakrew. Nie było warto sterczeć tam i rozprowadzać go dalej. Gdyby ten cholerny wiatr się utrzymał! Abdullah wziął dzisiaj puszkę z popiołem.

— Widziałem, jak ją zabierał.

— Nie było ani trochę wiatru, kiedyśmy podchodzili do lizawki, i akurat dosyć światła na strzał. Przez całą drogę sprawdzał wiatr popiołem. Poszedłem sam z Abdullahem, resztę zostawiliśmy w tyle, i podchodziliśmy cicho. Miałem te buty na gumie, a ziemia tam miękka jak wata. I drań spłoszył się na pięćdziesiąt jarów.

— Widział pan kiedy ich uszy?

— Czy widziałem ich uszy? Jeżeli mogę dojrzeć uszy takiego drania, to oprawiacz już może się do niego zabierać.

— To są dranie — rzekł Pop. — Nie cierpię tych lizawek. Kudu nie są takie sprytnie jak myślimy. Sęk w tym, że człowiek zabiera ^ę do nich właśnie w takim miejscu, gdzie są sprytnie. Strzelali tam do Inich, odkąd istnieje sól.

— To właśnie jest zabawne — odparłem. — Chętnie bym to robił przez cały miesiąc. Lubię polować siedząc na zadku. Nie trzeba się pocić. Ani nic. Siedzi się, łapie muchy i karmi nimi mrówkolwy w piasku. Lubię to. Tylko co z czasem?

— A właśnie. Ten cholerny czas.

— *So* — mówił Kandisky do mojej żony. — To pani powinna zobaczyć. Te wielkie ngoma. Wielkie taneczne uroczystości krajowców. Te prawdziwe.

— Niech pan posłucha — powiedziałem do Popa. — Ta druga lizawka, ta, przy której byłem wczoraj, jest zupełnie pewna, tylko że blisko tej cholernej drogi.

— Tropiciele mówią, że ona w gruncie rzeczy jest własnością tych mniejszych kudu. No, i to daleko. Osiemdziesiąt mil, tam i z powrotem.

— ■ Wiem. Ale tam były cztery tropy dużych byków. To pewne. Gdyby nie ta ciężarówka wczoraj wieczorem! A może by dziś tam posiedzieć? Wtedy miałbym noc i wczesne rano, a tej lizawce dałbym odpocząć. Tam jest także duży nosorożec. W każdym razie duży trop.

— Dobra — powiedział Pop. — Zastrzel pan i tego nosorożca, psiakrew.

Nie lubił, jak się zabijało cokolwiek poza tym, na co się miało polować; żadnego zabijania na boku, zabijania dla ozdoby, zabijania dla samego zabijania — tylko wtedy, gdy bardziej się chciało zdobyć zwierzynę niż jej nie zabijać, tylko jeżeli jej zdobycie było mu potrzebne na to, żeby był pierwszym w swoim rzemiośle — i widziałem, że ofiaruje mi nosorożca, żeby mi sprawić przyjemność.

— Nie zastrzelę go, jeżeli nie będzie dobry — obiecałem.

— Wal pan drania — powiedział Pop robiąc mi z niego podarunek.

— Ach, Pop! — powiedziałem.

— Strzel go pan — rzekł Pop. — Będzie panu przyjemnie, jak pan to zrobi sam jeden. Można sprzedać róg, jeżeli pan go nie zechce. Jeszcze pan ma jednego na swoim zezwoleniu.

— *So* — odezwał się Kandisky. — Ustaliliście, panowie, plan kampanii? Zdecydowaliście już, jak przechrzyć biedne zwierzęta?

— Tak — odpowiedziałem. — Jak tam ciężarówka?

— Ta ciężarówka jest wykończona — powiedział Austriak. — W pewnym sensie cieszę się z tego. Była zanadto symbolem. Bo to jest wszystko, co zostało z mojej szamby. Teraz już nie ma nic i tak jest o wiele prościej.

— Co to jest szamba? — spytała P.O.M.*, moja żona. — Słyszę o tym od miesięcy. Boję się pytać o te słowa, których wszyscy używają.

— Plantacja — odpowiedział. — Nie zostało z niej nic poza tą ciężarówką. Wożę nią robotników do szamby jednego Hindusa. To bardzo bogaty Hindus, który plantuje sizar. Jestem jego administratorem. Hindus potrafi ciągnąć zyski z takiej sizarowej szamby.

* P.O.M. — zartobliwe przezwisko nadane przez pisarza żonie; skrót od słów *Poor Old Mama* (Biedna Stara Mama).

— Ze wszystkiego — rzeki Pop.

— Tak. Tam, gdzie my nie dajemy rady, gdzie byśmy pomarli z głodu, on robi pieniądze. Ale ten Hindus jest bardzo inteligentny. Ceni mnie. Bo ja reprezentuję europejską organizację. Teraz wracam po zorganizowaniu zaciągu krajowców. Na to trzeba czasu. To nie byle co. Od trzech miesięcy jestem z daleka od swojej rodziny. Już wszystko jest zorganizowane. Można to zrobić w tydzień z równą łatwością, ale wtedy nie wypadnie tak imponująco.

— A pana żona? — spytała moja.

— Czeka w naszym domu, domu administratora, razem z córką.

— Czy bardzo pana kocha? — spytała moja żona.

— Widocznie, bo inaczej już dawno by sobie poszła.

— Ile lat ma córka?

— Teraz skończyła trzynaście.

— Musi być bardzo miło mieć córkę.

— Nie ma pani pojęcia jak miło. Zupełnie druga żona. Moja żona teraz już wie wszystko, co myślę, co mówię, w co wierzę, co potrafię zrobić, a czego nie potrafię i czym nie mogę być. Ja też wiem o mojej żonie wszystko. A tak jest zawsze ktoś, kogo się nie zna i kto nas nie zna, ktoś, kto kocha człowieka na ślepo i nie jest ani jednym z nas, ani drugim. Ktoś bardzo pociągający, kto jest nasz i kto czyni rozmowę bardziej — jak by to powiedzieć? Tak, to jest podobne do... jakże to się nazywa... jakby się miało z sobą... jakby się wą dwoje miało... o, właśnie... To jest taki keczup pomidorowy do codziennego jedzenia.

— Bardzo dobre — powiedziałem.

— Mamy książki — ciągnął. — Teraz nie mogę już kupować nowych książek, ale zawsze możemy rozmawiać. Myśli i rozmowy są bardzo ciekawe. Dyskutujemy o wszystkim. O każdej rzeczy. Prowadzimy bardzo interesujące życie umysłowe. Dawniej, na szambie, mieliśmy *Querschnitt*. To człowiekowi dawało poczucie przynależności, uczestniczenia w grupie wspaniałych ludzi, których by się widywało, gdyby człowiek mógł widywać, kogo chce. Pan zna ich wszystkich? Musi pan znać.

— Niektórych — odpowiedziałem. — Paru w Paryżu. Kilku w Berlinie.

Nie chciałem niszczyć temu człowiekowi niczego, co miał, więc nie opowiedziałem szczegółowo, jacy są ci wspaniali ludzie.

— Oni są cudowni — skłamałem.

— Zazdroszczę panu, że pan ich zna — rzekł. — A niech pan mi powie, kto jest największym pisarzem w Ameryce?

— Mój mąż — odpowiedziała moja żona.

— Nie. Nie chcę, żebyście państwo coś mi mówili przez poczucie

dumy rodzinnej. Pytam, kto naprawdę? Na pewno nie Upton Sinclair. Na pewno nie Sinclair Lewis. Kto jest waszym Tomaszem Mannem? Kto jest waszym Valery?

— Nie mamy wielkich pisarzy — odparłem. — Coś się dzieje z naszymi dobrymi pisarzami w pewnym wieku. Mógłbym to wytłumaczyć, ale to dosyć długa historia i może pana znudzić.

— Proszę, niech pan wytłumaczy — powiedział. — To właśnie lubię. To jest najlepsza część życia. Życie umysłowe. To nie jest zabijanie kudu.

— Jeszcze pan tego nie słyszał — odrzekłem.

— A, ale już widzę, co to będzie. Musi pan napić się jeszcze piwa, żeby się panu język rozwiązał.

— Już jest rozwiązany — oświadczyłem. — Zawsze aż zanadto diabelnie rozwiązany. Ale pan nic nie pije.

— Nie. Nie piję nigdy. To nie jest dobre na umysł. I niepotrzebne. Ale niech pan mówi. Proszę pana.

— Ano więc — powiedziałem — mieliśmy w Ameryce zręcznych pisarzy. Poe jest zręcznym pisarzem. To jest zręczne, cudownie skonstruowane i martwe. Mieliśmy pisarzy retorycznych, którym poszczęściło się znaleźć w zapiskach innych ludzi i dowiedzieć się z podróży coś o tym, jak mogą naprawdę wyglądać różne rzeczy, na przykład wieloryby, i ta wiedza jest oblepiona retoryką jak śliwki puddingiem. Od czasu do czasu pokazuje się sama, nie oblepiona puddingiem, i wtedy jest dobra. To jest Melville. Ale ci, co to wychwalają, wychwalają za retorykę, która jest nieważna. Wsadzają tajemnicę tam, gdzie jej nie ma.

— Tak — odrzekł. — Rozumiem. Ale retorykę tworzy działający umysł, jego zdolność do działania. Retoryka to błękitne iskry z dynamo.

— ■ Czasami. Ale czasem są tylko te błękitne iskry, a co to dynamo napędza?

— *So*. Niech pan mówi dalej.

— Już zapomniałem.

— Nie. Niech pan mówi. Proszę nie udawać niemądrego.

— A czy pan kiedy wstawał przed świtem...

— Co rano — odparł. — Niech pan mówi.

— No, dobrze. Więc byli inni, którzy pisali jak angielscy koloniałowie wygnani z Anglii, której częścią nigdy nie byli, do nowej Anglii, którą dopiero tworzyli. Bardzo dobrzy ludzie, mający tę małą, zasuszoną, doskonałą mądrość unitarianów; ludzie pióra, kwakrzy z poczuciem humoru.

— Którzy to byli?

— Emerson, Hawthorne, Whittier i spółka. Wszyscy nasi wcześni

klasycy, którzy nie wiedzieli, że nowy klasyk niczym nie przypomina tych, co go poprzedzili. Może podkraść od każdego, od kogo jest lepszy, od każdego, kto nie jest klasykiem; wszyscy klasycy to robią. Niektórzy pisarze rodzą się tylko po to, żeby innemu pisarzowi pomóc napisać jedno zdanie. Ale nie można wywodzić się z poprzedniego klasyka ani być do niego podobnym. Poza tym wszyscy ci ludzie byli albo chcieli być dżentelmenami. Wszyscy byli bardzo przyzwoici. Nie używali słów, których ludzie zawsze używali w swojej mowie, słów, które ostają się w języku. Ani też nikt by się nie domyślił, że mieli ciała. Mieli umysły, owszem. Grzeczne, suche, czyste umysły. To wszystko jest bardzo nudne, nigdy bym tego nie mówił, gdyby pan mnie nie prosił.

— Słucham dalej.

— W tamtych czasach był jeden, uważany za naprawdę dobrego, Thoreau. Nie mogę panu nic o nim powiedzieć, bo dotąd nie byłem w stanie go przeczytać. Ale to nic nie znaczy, bo nie mogę czytać i innych naturalistów, chyba że są ogromnie ściśli i Nieliteracy. Wszyscy naturaliści powinni pracować samotnie, a ktoś inny powinien uzgadniać za nich ich odkrycia. Pisarze powinni pracować w samotności. Powinni widywać się ze sobą dopiero po zakończeniu pracy, a i to nie za często. W przeciwnym razie stają się podobni do tych pisarzy z Nowego Jorku. Wszystko dżdżownice w butelce, próbujące czerpać wiedzę i pokarm z wzajemnych kontaktów i z samej butelki. Czasem butelka ma postać sztuki, czasem ekonomii, czasem ekonomii-religii. Ale kiedy już się znajdują w butelce, zostają w niej. Poza butelką czują się samotni. A nie chcą być samotni. Boją się być osamotnieni w swoich przekonaniach, a żadna kobieta nie mogłaby pokochać któregoś z nich na tyle, żeby zdołał zabić swoją samotność w tej kobiecie albo stopić ją z jej samotnością, albo zrobić z tą kobietą coś, wobec czego wszystko inne jest nieważne.

— Ale co z tym Thoreau?

— Będzie pan musiał go przeczytać. Może ja też później potrafię. Prawie wszystko mogę robić później.

— Lepiej napij się jeszcze trochę piwa, Papa.

— Dobrze.

— A którzy pisarze są dobrzy?

— Dobrzy pisarze to Henry James, Stephen Crane i Mark Twain. Nie są dobrzy akurat w tej kolejności. Nie ma jakiejś kolejności dla dobrych pisarzy.

— Mark Twain to humorysta. Tamtych nie znam.

— Cała współczesna literatura amerykańska wywodzi się z jednej jedynej książki Marka Twaina, która nazywa się „Przygody Hucka”. Jeżeli się ją czyta, trzeba zatrzymać się w miejscu, gdzie zabierają

chłopcom Murzyna Jima. To jest właściwe zakończenie. Reszta to tylko oszukaństwo. Ale to jest najlepsza książka, jaką mieliśmy. Całe amerykańskie pisarstwo stąd pochodzi. Przed tym nie było nic. Od tej pory nie było nic równie dobrego.

— A tamci?

— Crane napisał dwie świetne rzeczy. „Otwarty statek” i „Błękitny hotel”. To drugie jest najlepsze.

— I co się z nim stało?

— Umarł. To proste. Umierał od samego początku.

— No a co z tamtymi dwoma?

— Obaj dożyli starości, ale nie zmądrzeli z wiekiem. Nie wiem, czego właściwie chcieli. Widzi pan, my z naszych pisarzy robimy coś bardzo dziwnego.

— Nie rozumiem.

— Niszczymy ich na różne sposoby. Najpierw ekonomicznie. Robią pieniądze. Pisarz tylko przypadkiem robi pieniądze, chociaż dobre książki zawsze je w końcu dają. A potem, kiedy nasi pisarze zarobią trochę pieniędzy, podnoszą swoją stopę życiową i już są skończeni. Muszą pisać, żeby utrzymać swój dom, swoje żony i tak dalej, i piszą szmirę. To jest szmira nie z rozmysłu, ale przez pośpiech. Bo piszą wtedy, gdy nie mają nic do powiedzenia albo kiedy im brak wody w studni. Bo są ambitni. Potem, jak już raz zdradzą samych siebie, usprawiedliwiają to i znów wychodzi szmira. Albo też czytają krytyków. Jeżeli wierzą krytykom, kiedy ci mówią, że są wielcy, to muszą wierzyć im i wtedy, kiedy mówią, że są do niczego, i wówczas tracą ufność w siebie. Obecnie mamy dwóch dobrych pisarzy, którzy nie mogą pisać, bo utracili tę ufność przez czytanie krytyków. Gdyby pisali, czasem byłoby to dobre, czasem nie takie dobre, a czasami zupełnie złe, ale dobre wyszłoby na wierzch. Ale oni czytali krytyków i teraz muszą tworzyć arcydzieła. Te arcydzieła, które im przypisywali krytycy. To oczywiście nie były arcydzieła. To były po prostu całkiem dobre książki. I wobec tego nie mogą pisać wcale. Krytycy zrobili z nich impotentów.

— Kto to są ci pisarze?

— Ich nazwiska nic by panu nie powiedziały, a zresztą do tej pory może już coś napisali, nastraszyli się i znowu są impotentami.

— Ale co się właściwie dzieje z pisarzami amerykańskimi? Niech pan sprecyzuje.

— Nie było mnie na świecie za dawnych czasów, więc o nich nie potrafię nic powiedzieć, ale teraz są różne rzeczy. W pewnym wieku pisarze zmieniają się w Ciocię Klocie. Pisarki stają się Joannami d'Arc bez bojowości. Wszyscy zostają przywódcami. Obojętne, komu przewodzą. Jeżeli nie mają zwolenników, to ich sobie wymyślają. Ci wybrani

na zwolenników nie mają co protestować. Oskarża ich się wtedy o nie-
lojalność. A, do diabła, aż za dużo rzeczy się z nimi dzieje. To jedno.
Inni pisarze próbują zbawić swoją duszę tym, co piszą. To jest łatwe
wyjście. Jeszcze innych wykańczają pierwsze pieniądze, pierwsze po-
chwwały, pierwsze napaści, pierwsze stwierdzenie, że nie mogą pisać albo
że nie mogą robić nic innego, albo wreszcie oblatuje ich strach i wstę-
pują do organizacji, które myślą za nich. Albo też nie wiedzą, czego
chcą. Henry James chciał zrobić pieniądze. Oczywiście nigdy nie zrobił.

— A pan?

— Mnie interesują inne rzeczy. Dobrze mi się żyje, ale muszę pisać,
bo jeżeli nie piszę dostatecznie dużo, nie mogę się cieszyć resztą mojego
życia.

— A czego pan chce?

— Pisać najlepiej, jak potrafię, i uczyć się przez cały czas. Jedno-
cześnie mam swoje życie, którym się cieszę i które jest diabłu dobre.

— Polowanie na kudu?

— Tak. Polowanie na kudu i wiele innych rzeczy.

— Jakich innych rzeczy?

— Dużo innych rzeczy.

— I pan wie, czego pan chce?

— Tak.

— Naprawdę pan lubi robić to, co pan robi teraz, te głupstwa z ku-
du?

— Tak samo, jak lubię być w Prado.

— Czy jedno, nie jest lepsze od drugiego?

— Jedno jest równie potrzebne jak drugie. Ale są jeszcze inne rze-
czy.

— ■ Naturalnie. Muszą być. Ale czy tego rodzaju sprawy naprawdę coś
dla pana znaczą?

— Naprawdę.

— I pan wie, czego pan chce?

— Bezwzględnie, i wciąż to dostaję.

— Na to trzeba pieniędzy.

— Zawsze potrafiłem zarobić pieniądze, a poza tym miałem dużo
szczęścia.

— Więc panu jest dobrze?

— Jeżeli nie myślę o innych ludziach.

— To pan myśli o innych ludziach?

— O, tak.

— Ale nic pan dla nich nie robi?

— Nie.

— Nic?

- Może trochę.
- Czy pan uważa, że pańskie pisanie jest warte zachodu jako cel sam w sobie?
- O, tak.
- Jest pan pewien?
- Najzupełniej.
- To musi być bardzo przyjemne.
- Jest przyjemne — odpowiedziałem. — To jedyna naprawdę przyjemna rzecz w tym wszystkim.
- To się robi okropnie poważne — rzekła moja żona.
- Bo temat jest diabło poważny.
- Widzi pani, on jednak traktuje coś naprawdę poważnie — powiedział Kandisky. — Wiedziałem, że musi brać poważnie jeszcze coś poza kudu.
- Przyczyną faktu, że dziś każdy chce tego uniknąć, odmawiać temu ważności, a wszelkie próby przedstawiać jako daremne, jest to, że sprawa jest taka trudna. Za dużo czynników musi się złożyć na to, żeby była możliwa.
- A cóż to znowu takiego?
- Rodzaj pisarstwa, jakie można stworzyć. To, jak daleko może zejść proza, jeżeli ktoś jest dostatecznie poważny i ma szczęście. Można tu osiągnąć czwarty i piąty wymiar.
- Pan w to wierzy?
- Ja to wiem.
- A jeżeli pisarz zdoła to osiągnąć?
- Wtedy nic innego się nie liczy. To jest ważniejsze niż wszystko, co może zrobić. Oczywiście istnieje możliwość, że mu się nie uda. Ale jest szansa, że mu się powiedzie.
- Chyba pan mówi o poezji.
- Nie. To jest o wiele trudniejsze niż poezja. To jest proza, której nigdy nie napisano. Ale napisać ją można bez sztuczek i bez oszukiwania. Bez czegokolwiek, co mogłoby potem wyjść na złe.
- A dlaczego jej nie napisano?
- Bo za dużo czynników wchodzi tu w grę. Najpierw musi być talent, wielki talent. Talent taki, jaki miał Kipling. Potem musi być dyscyplina. Dyscyplina Flauberta. Dalej musi być koncepcja, czym to może się stać, i bezwzględna sumienność, tak niezmienna jak wzorzec metra w Paryżu, żeby nie dopuścić do fałszu. Następnie pisarz musi być inteligentny, bezinteresowny, a nade wszystko musi przetrwać. Proszę spróbować zebrać to wszystko w jednym człowieku i kazać mu przejść przez wszelkie wpływy, jakie cisną na pisarza. Najcięższą rzeczą dla niego jest przeżyć i wykonać swoją pracę, a to dlatego, że czasu jest tak mało. Ale chciał-

bym, żebyśmy mieli takiego pisarza, i chciałbym przeczytać to, co by napisał. No, jak? Możemy pomówić o czym innym?

—■ To ciekawe, co pan mówi. Naturalnie nie ze wszystkim się zgadzam.

— Naturalnie.

— Ale może by tak gołać sobie „gwóździa”? — zapytał Pop. — Nie myślicie, panowie, że „gwóźdz” by pomógł?

— Niech pan mi najpierw powie, jakie rzeczy, jakie konkretne, określone rzeczy szkodzą pisarzowi?

Byłem już zmęczony tą rozmową, która stawała się wywiadem. Postanowiłem więc zrobić z niej wywiad i skończyć ją. Konieczność wsadzenia tysiąca nieuchwytnych rzeczy w jedno zdanie, i to teraz, przed obiadem, była czymś piekielnym.

— Polityka, kobiety, alkohol, pieniądze, ambicja. A także brak polityki, kobiet, alkoholu, pieniędzy i ambicji — odpowiedziałem w sposób głęboki.

— Już się zanadto rozgadał — rzekł Pop.

— Ale na przykład alkohol. Tego nie rozumiem. To zawsze wydawało mi się niemądre. W moim pojęciu to jest słabość.

— To jest jakiś sposób zakończenia dnia. Ma to wielkie zalety. Nigdy pan nie ma ochoty odmienić swoich myśli?

— Wypijmy coś — rzekł Pop. — M'Wendi!

Pop nigdy nie pił przed obiadem, chyba przez pomyłkę, więc wiedziałem, że chce mnie oswobodzić.

—■ Wypijmy wszyscy „gwóździa” — powiedziałem.

— Ja nigdy nie piję — rzekł Kandisky. — Pójdę do ciężarówki i przyniosę trochę świeżego masła na obiad. Prosto z Kandoa, nie solone. Bardzo dobre. Dziś wieczorem będziemy mieli specjalny deser wiedeński. Mój kucharz nauczył się przyrządzać go doskonale.

Odszedł, a moja żona powiedziała:

— Zaczynałeś być okropnie głęboki. Co to miało znaczyć, o tych kobietach?

— Jakich kobietach?

— Wtedy, jak mówiłeś na temat kobiet.

— Niech je diabli wezmą — odparłem. — To są te, z którymi człowiek zadaje się po pijanemu.

— Więc to takie rzeczy wyprawiasz?

— Nie.

— Ja się z nikim nie zadaję, jak się upiję.

— Dajcie spokój — rzekł Pop. — Nikt z nas nie jest nigdy pijany. Boże, ale ten gość może gadać!

— W ogóle nie mógł dojść do słowa, jak nasz B'wana M'Kumba zaczął.

— Rzeczywiście, miałem ustną dyzenterię — powiedziałem.

— A co z tą jego ciężarówką? Możemy ją poholować nie psując naszej?

— Chyba tak — rzekł Pop. — Jak nasza wróci z Handeni.

Kiedyśmy pod zielonym płatem namiotu-jadalni, w cieniu wielkiego drzewa, na wietrze, jedli obiad złożony z ogromnie podziwianego świeżego masła, zrazów z gazeli Granta, tłuczonych kartofli, zielonej kukurydzy, a potem mieszanych owoców na deser — Kandisky powiedział nam, dlaczego Hindusi przejmują ten kraj.

— Widzicie państwo, podczas wojny przysłali oddziały hinduskie, żeby tu walczyły. Żeby ich nie mieć w Indiach, bo bali się nowego buntu. Obiecali Aga Chanowi, że ponieważ Hindusi walczyli w Afryce, będą mogli potem swobodnie tu przyjeżdżać, żeby się osiedlić i prowadzić interesy. Nie mogą złamać tej obietnicy i teraz Hindusi przejmują kraj od Europejczyków. Żyją z niczego i wszystkie pieniądze odsyłają do Indii. Kiedy zarobią dosyć, aby wrócić do domu, wyjeżdżają i sprowadzają tu ubogich krewnych, żeby ich zastąpili i dalej eksploatowali ten kraj.

Pop nic nie odpowiedział. *Nie* chciał się spierać z gościem przy stole.

— To przez tego Aga Chana — rzekł Kandisky. — Pan jest Amerykaninem. Pan nie zna tych wszystkich kombinacji.

— Czy pan był z von Lettbwem? — spytał go Pop.

— Od samego początku — odparł Kandisky. — Aż do końca.

— To był bojowy człowiek — rzekł Pop. — Mam dla niego dużo podziwu.

— Pan się bił? — zapytał Kandisky.

— Tak.

— Ja się nie zachwycam Lettbwem — powiedział Kandisky. — Walczył, i owszem. Nikt lepiej nie potrafił. Kiedy nam było potrzeba chininy, dawał rozkaz, żeby ją zdobyć. Tak samo całe zaopatrzenie. Ale później wcale nie dbał o swoich ludzi. Po wojnie jestem w Niemczech. Idę dowiedzieć się o odszkodowanie za moją własność. Mówią mi: „Pan jest Austriakiem, musi pan robić starania przez Austriaków”. Więc jadę do Austrii. „Ale po co pan się bił — pytają mnie. — Nie możemy być za to odpowiedzialni. A gdyby pan pojechał bić się do Chin? To jest pańska własna sprawa. Nie możemy nic dla pana zrobić”. „Ale ja poszedłem walczyć jako patriota — powiedziałem bardzo niemądrze. — Biję się, gdzie mogę, bo jestem Austriakiem i znam swój obowiązek”. „Owszem — odpowiedzieli. — To bardzo pięknie. Ale my nie możemy

być odpowiedzialni za pańskie szlachetne pobudki". I tak mnie odsyłali od jednego do drugiego, i nic. Mimo to bardzo kocham ten kraj. Straciłem tu wszystko, ale mam więcej niż ktokolwiek w Europie. Dla mnie jest zawsze ciekawy. Ci tubylcy i język. Mam wiele zeszytów notatek na ten temat. Poza tym ja tu naprawdę jestem królem. To bardzo przyjemne. Jak się rano budzę, wyciągam jedną nogę i boy mi nakłada skarpetkę. Kiedy już jestem gotów, wyciągam drugą i wtedy nakłada mi drugą skarpetkę. Spod moskitiery wskakuję prosto w kałesony, które mi nadstawia. Nie uważacie państwo, że to jest cudowne?

— Rzeczywiście cudowne.

— Jak państwo tu znowu przyjadą, musimy wybrać się na safari, żeby postudiować krajowców. I nic nie strzelać, chyba tylko na pożywienie. Patrzcie, pokażę wam jeden taniec i zaśpiewam pieśń.

Skurczony, podnosząc i opuszczając łokcie, podreptał na zgiętych kolanach ze śpiewem dookoła stołu. Było to niewątpliwie doskonałe.

—• To tylko jedno z tysiąca — powiedział. — Teraz muszę pójść sobie na chwilę. Pewnie państwo się prześpią.

— Nie ma gwałtu. Niech pan zostanie.

— Nie. Na pewno się prześpicie. Ja też. Zabiorę masło, żeby je schować w chłodnym miejscu.

— Zobaczmy się przy kolacji — rzekł Pop.

— Teraz musicie się przespać. Do widzenia.

Kiedy odszedł, Pop powiedział:

—■ Wiecie, ja bym tam nie wierzył w to wszystko o Aga Chanie.

— Wydawało się dosyć przekonywujące.

— Jasne, że on ma żal — powiedział Pop. — Kto by nie miał. Ten von Lettbw to był cholerny gość.

— On jest bardzo inteligentny — rzekła moja żona. — Wspaniale opowiada o krajowcach. Ale jest cięty na Amerykanki.

— Ja też — odparł Pop. — To porządny człowiek. No, zdrzemnijcie się trochę. Trzeba będzie ruszać o wpół do czwartej.

— Niech pan mnie każe obudzić.

Molo podniósł tył namiotu i podparł go dwoma kijami, żeby był przewiew, a ja zasnąłem z książką czując wiatr, który wpadał pod nagrzane płótno, chłodny i świeży.

Kiedy się obudziłem, była już pora iść. Na niebie były deszczowe chmury i zrobiło się bardzo gorąco. Do skrzynki od whisky zapakowano kilka konserw owocowych, pięcioletni kawałek pieczonego mięsa, chleb, herbatę, imbryk i trochę mleka w puszkach oraz cztery butelki piwa. Mieliśmy też płócienny bukłak z wodą i płat brezentu, który miał służyć jako namiot. M'Kola niósł duży sztucer do samochodu.

— Nie musicie się śpieszyć z powrotem — rzekł Pop. — Wyjdziemy po was, jak was zobaczymy.

— Dobrze.

— Wyprawimy ciężarówkę, żeby poholowała tego sportowca do Handeni. Swoich ludzi wysyła przedtem piechotą.

— Czy pan jest pewien, że ciężarówka wytrzyma? Niech pan tego nie robi tylko dlatego, że się z nim zaprzyjaźniłem.

— Trzeba go jakoś wyciągnąć. Ciężarówka będzie tu dziś wieczorem.

— Nasza Memsahib jeszcze śpi — powiedziałem. — Może by mogła trochę się przejść i strzelić parę perliczek.

— Już nie śpię — odezwała się. — Nie martw się o nas. Och, mam nadzieję, że coś ci się trafi!

— Nie wysyłajcie po nas na drogę nikogo aż do pojutrze — powiedziałem. — Zostanę dłużej, jeżeli będą jakieś szanse.

— Wszystkiego dobrego.

— Wszystkiego dobrego, kochanie. Do widzenia, panie Jot Pe.

2

Wynurzywszy się z cienia obozu jechaliśmy piaszczystą rzeką drogi prosto w zachodnie słońce, wśród buszu rosnącego gęsto aż po skraj piasku, zwartego jak żywopłot, z wznoszącymi się nad nim małymi wzgórzami, i wszędzie po drodze mijaliśmy grupy ludzi podążających na zachód. Niektórzy nie mieli nic na sobie poza zatłuszczoną szmatą związaną w węzeł na ramieniu i nieśli łuki i zamknięte kołczany ze strzałami. Inni mieli włócznie. Bogaci nieśli parasole i byli ubrani w fałdźiste białe płótno, a ich kobiety szły za nimi z garnkami i patelniami. W przedzie widać było tu i ówdzie zwoje i pęki skór niesione na głowach przez innych krajowców. Wszyscy uciekali od głodu. A my jechaliśmy na zachód, w upale, ja z nogami wywieszonymi na zewnątrz przez bok samochodu, żeby je trzymać z daleka od rozgrzanego motoru, z kapeluszem zsuniętym nisko na oczy od słońca, obserwując drogę, tych ludzi i wypatrując zwierzyny na wszystkich polankach w buszu.

Raz zobaczyliśmy trzy łanie mniejszych kudu na otwartym miejscu wśród kęp buszu. Szare, wielkobrzuche, z długimi szyjami, o małych łbach i dużych uszach, weszły szybko w las i zniknęły. Wysiedliśmy z wozu i zaczęliśmy je tropić, ale tropów byka nie było.

Trochę dalej podreptało przez drogę stadko perliczek biegnących² nieruchomymi łebkami na podobieństwo kłusaków. Kiedy wysko-

czyłem z auta i pogałem za nimi, wyprysnęły w górę podkuliwszy nogi, pękate, z furkotem krótkich skrzydeł i gdakaniem, i wleciały nad drzewa przed nimi. Spuściłem dwie, które grzmotnęły ciężko o ziemię, a kiedy leżały bijąc skrzydłami, Abdullah uciął im łebki, żeby się stały dozwolonym jedzeniem. Włożył je do samochodu, gdzie M'Kola siedział zaśmiewając się swoim zdrowym śmiechem starca, tym kpiącym ze mnie śmiechem, śmiechem od strzelania ptactwa, datującym się od czasu kilku moich rozpaczliwych pudeł, które go kiedyś rozradowały. Gdy teraz trafiałem, był to kawał, podobnie jak kiedyś zabijaliśmy hienę; najzabawniejszy kawał ze wszystkich. Śmiał się zawsze na widok spadających ptaków, a jeżeli chybiłem, ryczał ze śmiechu i potrząsał głową raz po raz.

— Niech pan go spyta, z czego, u diabła, się śmieje — poprosiłem kiedyś Popa.

— Z B'wany — odrzekł M'Kola i potrząsnął głową. — Z tych małych ptaków.

— On uważa, że pan jest zabawny — powiedział Pop.

— Cholera jasna. Jestem zabawny. Ale niech go szlag trafi.

— Uważa, że pan jest bardzo zabawny — rzekł Pop. — Ale Mem-sahib i ja nigdy byśmy się nie śmieli.

— Sam pan je strzelaj.

— Nie, to przecież pan jest mistrzem w strzelaniu do pióra. Samozwańczym mistrzem — odpowiedział.

Tak więc strzelanie do pióra stało się tym cudownym kawałem. Jeżeli coś zabiłem, śmieszne były ptaki, i M'Kola potrząsał głową i śmiał się, kręcił w koło rękami, żeby pokazać, jak ptak koziółkuje w powietrzu. A jeżeli spudłowałem, ja byłem komikiem w tej sztuce i wtedy patrzył na mnie i trząsał się ze śmiechu. Tylko hieny były jeszcze zabawniejsze.

Wysoce humorystyczna była hiena o świcie na równinie, biegnąca ohydny truchtem, powłócząca pełnym brzuchem, która, strzelona od tyłu, podrywała się pędem, aby zrulować na łeb. Wesołość budząca była hiena, która przystawała daleko nad ługowym jeziorkiem, aby się obejrzeć, i trafiona w pierś wywracała się na grzbiet, czterema nogami i pełnym brzuchem do góry. Nic nie mogło być zabawniejsze niż hiena, która nagle wytknąwszy klinowaty łeb z wysokich traw obok dongi, trafiona z odległości dziesięciu jardów, pomykała z zadartym ogonem zataczając trzy coraz węższe koła, nim padła.

M'Kole bawił widok hieny strzelonej z bliska. Było wtedy to komiczne kłaśnięcie kuli i wzburzone zdumienie hieny znajdującej śmierć w sobie. Jeszcze zabawniej było widzieć hienę strzeloną z dużej odległości, w migotliwym upale równiny, patrzeć, jak przewraca się na

grzbiet, a potem zaczyna to swoje oszalałe kołowanie, i widzieć ów elektryczny pęd, świadczący, że ściga się z małą, niklowaną śmiercią, którą ma w sobie. Ale najlepszym kawałem ze wszystkich, tym, co sprawiło, że M'Kola wymachiwał rękami przed twarzą, potrząsał głową, odwracał się i śmiał wstydząc się nawet za hieny — szczytem hienowego humoru była hiena, klasyczna hiena, którą, trafiona w biegu za daleko do tyłu, zaczynała kołować obłądnie, targając i gryząc samą siebie, dopóki nie wywlokła na wierzch własnych wnętrzności, po czym stawała wyszarpując je i zjadając ze smakiem.

— ■ *Fisi* — mówił wtedy M'Kola i potrząsał głową z radosnym z troskaniem, że może istnieć taka okropna bestia. *Fisi*, hiena, ta hermafrodytyczna samopożerająca zjadaczka ścierwa, która tropiła cielne krowy i podcinała im nogi, potencjalna odgryzaczka ludzkiej twarzy w nocy, kiedy się śpi, smutny wyjec krążący wokół obozów, smrodliwa, plugawa, o szczękach, kruszących kości pozostawione przez lwa, powłócząca brzuchem, pomykająca po brunatnej równinie, obracająca do tyłu swój pysk chytrego kundla — a potem trzask małego mannlichera i to ohydne kołowanie. — *Fisi* — śmiał się M'Kola wstydząc się za nią i potrząsał łysą, czarną głową. — *Fisi*. Sama się zjada. *Fisi*.

Hiena to był brudny kawał, natomiast strzelanie do ptaków to był kawał czysty. Moja whisky też była czystym kawałem. Istniało sporo wariantów tego kawału. Do niektórych przejdziemy później. Mahometanie i wszystkie religie były również kawałem. Żartem z tych, co je wyznawali. Czaro, drugi nosiciel broni, był niski, bardzo poważny i wysoce religijny. Przez cały Ramadan nigdy nie łykał śliny aż do zachodu słońca, a kiedy już zachodziło, widziałem, że je obserwuje nerwowo. Miał z sobą butelkę jakiejś herbaty i dotykał jej palcami, i obserwował słońce, a ja widziałem, że M'Kola przypatruje mu się udając, że nic nie zauważył. To nie było dla niego bezpośrednio śmieszne. To było coś, z czego nie mógł śmiać się jawnie, ale czuł się wyższy ponad to i dziwił się głupocie takich rzeczy. Religia mahometańska była w dobrym tonie i wszyscy wyżsi społecznie boyowie byli mahometanami. Stanowiła coś, co dawało przynależność do kasty, w co można było wierzyć, coś wytwornego i Bogu miłego, w imię czego' należało trochę pocierpieć każdego roku, coś, co zapewniało wyższość nad innymi, a także bardziej skomplikowane sposoby jedzenia, coś, co ja rozumiałem, a czego M'Kola nie rozumiał ani o to dbał — więc obserwował, jak Czaro wypatruje zachodu słońca, i miał wtedy ów obojętny wyraz twarzy, który przybierał wobec wszystkiego,' co go nie dotyczyło. Czaro był śmiertelnie spragniony i rzetelnie pobożny, a słońce zachodziło bardzo powoli. Popatrzyłem na nie, czerwieniejące nad drzewami, trąciłem go, a on wyszczerzył zęby. M'Kola uroczyście podał mi

butelkę z wodą. Potrząsnąłem głową, a Czaro uśmiechnął się znowu. M'Kola zrobił obojętną minę. A potem słońce zaszło i Czaro już trzymał przechyloną butelkę, jego jabłko adamowe chciwie chodziło w górę i w dół, a M'Kola patrzył na niego, po czym odwrócił wzrok.

Na początku, zanim zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, M'Kola nie ufał mi wcale. Przy każdej okazji wycofywał się w tę obojętność. Wtedy o wiele bardziej lubiłem Czara. Rozumieliśmy się nawzajem w sprawach religii, Czaro podziwiał moje strzały i zawsze ścisnął mi dłoń i uśmiechał się, kiedy zabiliśmy coś szczególnie dobrego. To było pochlebne i przyjemne. M'Kola uważał całe to początkowe strzelanie za serię szczęśliwych przypadków. Mieliśmy przecież strzelać. Nie upolowaliśmy wtedy jeszcze nic godnego uwagi i M'Kola nie był właściwie moim nosicielem broni. Był nosicielem pana Jacksona Phillipsa i został mi wypożyczony. Ja nic dla niego nie znaczyłem. Ani mnie lubił, ani nie lubił. Karla uprzejmie lekceważył. Kogo lubił, to Mamę.

Tamtego wieczora, kiedy zabiliśmy pierwszego lwa, było już ciemno, gdyśmy dotarli do obozu. Zabicie lwa odbyło się w sposób powikłany i niezadowolający. Uzgodniliśmy z góry, że P.O.M. powinna mieć pierwszeństwo strzału, ale ponieważ to był pierwszy lew, do któregośmy strzelali, a zrobiło się już bardzo późno, właściwie za późno, żeby lwa dostać, więc zaraz po trafieniu mieliśmy go sobie wzajemnie wydzierać i każdemu wolno było go dostrzelić. Był to dobry plan, bo słońce już prawie zaszło i gdyby ranny lew dostał się w gąszcze, byłoby za ciemno, żeby coś zdziałać bez narobienia sobie biedy. Pamiętam, jak zobaczyłem lwa, złotego, ciężkogłowego i ogromnego na tle karłowatego drzewa w kępie buszu, i P.O.M. przyklękającą do strzału, i to, jak chciałem powiedzieć jej, żeby usiadła i wymierzyła dobrze. A potem rozległ się krótkolufowy huk mannlicera i lew pobiegł w lewo dziwnym, ciężkopieczystym, rozkołysanym biegiem kota. Trafiłem go ze springfielda i padł, i potoczył się, a ja strzeliłem drugi raz, za prędko, obsypując go tumanem kurzu. Ale już leżał rozciągnięty na brzuchu, słońce właśnie schowało się za wierzchołki drzew, a trawa była bardzo zielona, i wtedy pobiegliśmy do niego hurmem, jak banda bojówkarzy, z gotową do strzału i zarepetowaną bronią, nie wiedząc, czy jest ogłuszony, czy martwy. Kiedy już byliśmy blisko, M'Kola rzucił w niego kamieniem. Kamień trafił lwa w bok i po tym, jak go uderzył, można było poznać, że zwierzę jest nieżywy. Byłem przekonany, że P.O.M. go trafiła, ale znaleźliśmy tylko jeden wlot kuli, dość daleko na tyle, tuż pod kręgosłupem, idący ku przodowi, aby wyjść na wierzch pod skórą piersi. Można było wymacać kulę pod skórą i M'Kola zrobił nacięcie i wykrajał ją. Był to dwustudwudziestogranowy, pełny pocisk ze springfielda i przewiercił lwa na wylot, przez płuca i serce.

Tak mnie zaskoczyło to, że lew zrulował martwy w ogniu, kiedy byliśmy przygotowani na szarżę, na heroiczność, na dramat, że czułem się bardziej zawiedziony niż kontent. Był to nasz pierwszy lew, jesczczesny nie mieli żadnego doświadczenia i to nie było to, za co zapłaciliśmy. Czaro i M'Kola uścisnęli dłoń P.O.M., a potem Czaro podszedł do mnie i potrząsnął mnie za rękę.

— Dobry strzał, B'wana, — powiedział w języku suaheki. — ■ *Piga m'uzuri.*

— Tyś strzelał, Karl? — spytałem.

— Nie. Właśnie miałem zamiar, kiedy strzeliłeś.

— Pan nie strzelał do niego, Pop?

— ■ Nie. Byłby pan słyszał. — Otworzył zamek i wyjął dwie duże dwójki kalibru .450.

— Jestem pewna, że go spudłowałam — powiedziała P.O.M.

— ■ A ja byłem pewien, że trafiłaś. I dalej tak myślę — ■ odparłem.

— Mama trafić — powiedział M'Kola.

— Gdzie? — spytał Czaro.

— Trafić — powtórzył M'Kola. — Trafić.

— Zrulował go pan — rzekł do mnie Pop. — O rany, machnął kozła jak królik.

— Oczom nie wierzyłem.

— Mama *piga* — powiedział M'Kola — *Piga Simba.*

Kiedy wracając tamtego wieczora zobaczyliśmy w ciemnościach przed nami ognisko obozowe. M'Kola nagle zaczął wyrzucać z siebie potok wrzaskliwych, szybkich, śpiewnych słów w języku wakamba, kończących się wyrazem *Simba*. Ktoś odkrzyknął mu z obozu pojedyncze słowo.

— Mama! — zawołał M'Kola. Następnie znów długi potok. A potem: — Mama! Mama!

Poprzez mrok nadbiegli wszyscy tragarze, kucharz, oprawiacz, boyowie i przewodnik.

— Mama! — krzyknął M'Kola. — Mama *piga Simba.*

Boyowie zaczęli tańczyć, cisnąć się, wybijać rytm i zawodzić z głębi piersi coś, co zaczynało się tak jak kaszlnięcie, a brzmiało mniej więcej: — Hej la Mama! Haj la Mama! Hej la Mama!

Oprawiacz przewracając oczami dźwignął P.O.M. w górę, olbrzymi kucharz i boyowie przytrzymali ją, inni zaczęli się przepychać, żeby ją Podnieść, a jeżeli nie podnieść, to chociaż dotknąć i podtrzymać, i tańcząc i śpiewając ponieśli ją w ciemnościach dookoła ogniska i wreszcie do naszego namiotu.

— Hej la Mama; Ha! Ha! Ha! Haj la Mama! Ha! Ha! Ha! — odśpiewywali taniec lwa z owym głębokim, astmatycznym, lwim kaszlnięciem.

Przed namiotem postawili ją na ziemi i każdy bardzo nieśmiało uściśnął jej dłoń, boyowie mówiąc: — *M'uzuri Memsahib* — a M'Kola i tragarze: — *M'uzuri, Mama* — akcentując z wielkim uczuciem słowo „Mama”.

Później, kiedy siedzieliśmy ze szklankami na krzeselkach przed ogniskiem, Pop rzekł:

— To pani go zastrzeliła. M'Kola zabiłby każdego, kto by powiedział, że nie.

— ■ Wicie, czuję się tak, jakbym go naprawdę zastrzeliła — odrzekła P.O.M. — Chyba bym tego nie wytrzymała, gdybym go zabiła rzeczywiście. Byłabym zbyt dumna. Czy tryumf nie jest cudowny?

— Pocziwa Mama — rzekł Karl.

— Mnie się zdaje, żeś to ty go zabiła — powiedziałem.

— Och, nie wnikajmy w to — odparła P.O.M. — Jestem uszczęśliwiona, że chociaż myślę, że to ja go zabiłam. Wicie, u nas nieczęsto noszono mnie na rękach.

— W Ameryce nikt nie wie, jak trzeba się zachowywać — rzekł Pop. — Straszny brak kultury.

— Ponosimy cię w Key West — powiedział Karl. — Biedna stara Mama.

— Nie mówmy już o tym — rzekła P.O.M. — Zanadto mi się to podoba. A może powinnam rozdać jakieś szczodroblewości?

— Nie dlatego to robili — odparł Pop. — Ale można coś im dać, żeby to uczić.

— O, chciałabym dać im wszystkim masę pieniędzy — powiedziała P.O.M. — Czy tryumf nie jest po prostu cudowny?

— Pocziwa stara Mama — odrzekłem. — Toś ty go zabiła.

— • Nie, nie zabiłam. Nie kłam mi. Pozwól mi tylko rozkoszować się moim tryumfem.

Tak czy owak M'Kola nie ufał mi przez długi czas. Dopóki P.O.M. miała na swoim zezwoleniu coś do odstrzału, była jego faworytką, a my po prostu gromadą ludzi, którzy się wtrącali i przeszkadzali Mamie strzelać. Kiedy jej zezwolenie się skończyło i już nie strzelała, uzyskiwała w jego oczach status niekombatancki i gdy zaczęliśmy polować na kudu, a Pop został w obozie i wysłał nas samych w tropiciele — Karla z Czaro, a mnie z M'Kola — wyraźnie stracił w oczach M'Koli. Było to oczywiście tyłco przejściowe. M'Kola był człowiekiem Popa i sądzę, że jego oceny robocze powstawały z dnia na dzień i wymagały nieprzerwanej serii wydarzeń, aby mieć jakieś znaczenie. Ale między nami coś wtedy zaszło.

3

Datowało się to z czasów Posepnego, kiedy po chorobie wróciłem z Nairobi i wybraliśmy się na piesze safari, żeby zapolować w lesie na nosorożce. Posepny był to prawdziwy dziki, o powiekach, które nieomal zakrywały mu oczy, przystojny, z dużym stylem, świetny łowca i wyborny tropiciel. Miał, jak przypuszczam, ze trzydzieści pięć lat i nosił tylko kawałek płótna związany na ramieniu oraz fez, który podarował mu jakiś myśliwy. Zawsze miał z sobą włócznię. M'Kola chodził w starej amerykańskiej kurtce wojskowej kolaru khaki, ze wszystkimi guzikami, którą pierwotnie przeznaczono dla Posepnego, ale że go właśnie nie było, więc jej nie dostał. Pop dwa razy szykował ją dla Posepnego, aż w końcu M'Kola powiedział: — Niech pan da ją mnie.

Pop mu ją podarował i odtąd M'Kola zawsze w niej chodził. Ta kurtka, szorty, mechata czapka wełniana i włóczkowy sweter wojskowy, który wkładał, kiedy prał kurtkę, były jedyną odzieżą, jaką widziałem na tym starym, dopóki nie dostał mojej wiatrówki do polowania na ptaki. Jako obuwia używał sandałów -wykrajanych ze starych opon samochodowych. Miał szczupłe, ładne nogi o zgrabnych kostkach w stylu Babe Ruth i pamiętam, jak się zdziwiłem, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem bez kurtki i zauważyłem, jaki stary jest jego tors. Miał ten zgrzybiały wygląd, który widzi się na fotografiach Jeffriesa i Sharkeya pozujących w trzydzieści lat potem, te brzydkie, starcze bicepsy i obwisłe mięśnie piersiowe.

— Ile lat ma M'Kola? — zapytałem kiedyś Popa.

— Musi już być po pięćdziesiątce — odpowiedział. — Ma dorosłe potomstwo w rezerwacie dla tubylców.

— Jakie są te jego dzieci?

— Do niczego, nic niewarte. Nie może dać sobie z nimi rady. Próbowaliśmy wziąć jednego na tragarza, ale się nie nadał.

M'Kola nie był zazdrosny o Posepnego. Po prostu wiedział, że tamten jest lepszy niż on. Wytrawniejszy myśliwy, szybszy i czystszy tropiciel, i bardzo stylowy we wszystkim, co robił. M'Kola po-

dziwiał Posępnego tak samo jak my i kiedy wychodzili razem na polowanie, przypominał sobie, że ma jego kurtkę i że był tragarzem, zanim został nosicielem broni, i nagle przestawał odgrywać starego wygę i polowaliśmy wszyscy wspólnie; ja z nim, a Posępny kierował całością.

Było "to świetne polowanie. Po południu owego dnia, kiedy przyjechaliśmy w te strony, uszliśmy około czterech mil od obozu głęboką ścieżką nosorożców, przebiegającą tak gładko i równo wśród trawiających wzgórz porośniętych drzewami przypominającymi opuszczony sad, jakby ją wytyczał inżynier. Ścieżka była na stopę głęboka i gładko wydeptana w ziemi; zesliśmy z niej w miejscu, gdzie ukośnie zbiegała podqbna do wyschniętego rowu irygacyjnego rozpadliną między wzgórzami, i spoceni wdrapaliśmy się na mały, stromy pagórek po prawej, aby tam usiąść i oparłszy się plecami o wierzchołek prześledzić okolicę przez szkła. Był to kraj zielony, przyjemny, z pagórkami poniżej lasu, który rósł gęsto na zboczu góry, i poprzecinany dolinkami kilku strumieni wypływających spomiędzy tych gęstych drzew na górze, Palce lasu schodziły na grzbiety paru zboczy i właśnie tam na jego skraju, wypatrywaliśmy wychodzącego nosorożca. Jeżeli się przeniosło wzrok z lasu i zbocza góry w dół, można było popatrzeć wzdłuż strumieni i stoków ku miejscu, gdzie zaczynała się płaszczyna i trawa była bura i spalona, a dalej, za długim szmatem równiny, widziało się brunatną dolinę Rift i połysk jeziora Manyara.

Leżeliśmy, tam na pochyłości wzgórze i uważnie wypatrywaliśmy nosorożca. Posępny przykucnął na piętach po drugiej stronie pagórka i także patrzył, a M'Kola siedział pod nami. Od wschodu dolatywał chłodny powiew i trawa falowała na stokach. Było sporo dużych białych obłoków, a wysokie drzewa lasu na zboczu góry rosły tak blisko siebie i były tak gęsto uliścione, iż zdawało się, że można by przejść po ich wierzchołkach. Za górą była luka, a potem druga góra i ta dalsza góra wydawała się z odległości granatowa od lasu.

Do piątej nie widzieliśmy nic. A potem, bez lornetki, dojrzałem coś, co posuwało się po zboczu jednej z dolinek w stronę pasma lasu'. W szklach zobaczyłem, że to nosorożec, bardzo wyraźnie widoczny i drobny z tej odległości, ubarwiony słońcem na czerwono, sunący po wzgórzu szybkim ruchem podobnym do pluskwy wodnej. A potem z lasu wyszły jeszcze trzy, ciemne w cieniu, i dwa zaczęły z sobą walczyć, drobnutkie w szklach, napierając na siebie łbami, i walczyły tak przed kępą zarośli, podczas gdy my obserwowaliśmy je w zapadającym zmierzchu. Za ciemno już było, żeby zejść z pagórka, przedostać się na drugą stronę dolinki i wspiąć do nich po wąskim zboczu góry w porę na strzał. Zawróciliśmy więc do obozu schodząc po ciemku z pagórka, stą-

pajac kantami butów, a potem poczuliśmy pod stopą gładkość ścieżki i szliśmy tą głęboką ścieżką, która wiła się między ciemnymi wzgórzami, dopóki nie zobaczyliśmy światła ogniska wśród drzew.

Tego wieczora byliśmy podnieceni, bośmy widzieli te trzy nosorożce, a nazajutrz z samego rana, kiedyśmy jedli śniadanie przed wyruszeniem, Posepny przyszedł donieść nam, że znalazł stado bawołów, pasące się na skraju lasu o niecałe dwie mile od obozu. Poszliśmy tam, jeszcze czując w ustach poranny smak kawy i wędzonej ryby, z sercem walącym z emocji, i krajowiec, którego Posepny zostawił, żeby obserwował bawoły, pokazał, gdzie przeszły przez głęboki parów i znikły w kępie lasu. Mówił, że w stadzie złożonym z tuzina albo więcej sztuk były dwa diże byki. Weszliśmy za nimi w las, stąpając bardzo Cicho po śladzie, rozgarniając liany i ciągle widząc tropy i sporo świeżego łajna, ale chociaż dotarliśmy do miejsca, gdzie było tak gęsto, że *nie można* by strzelić, i zatoczyli szerokie koło, nie zobaczyliśmy ani nie usłyszeli bawołów. Raz usłyszeliśmy ptaki bąkajady i ujrzeli je w locie, ale to było wszystko. Tam, w lesie, było dużo tropów nosorożców i wiele kopczyków łajna zmieszanego z trawą, ale nie widzieliśmy nic prócz zielonych gołębi leśnych i paru małp, a kiedyśmy się wydostali na otwarte, byliśmy do pasa przemoczeni od rosy, a słońce już podeszło dosyć wysoko. Dzień zrobił się teraz bardzo gorący przed zerwaniem się wiatru i wiedzieliśmy, że jeżeli wyszły jakieś nosorożce czy bawoły, to do tej pory musiały już wrócić w głąb lasu, żeby odpocząć z daleka od upału.

Nasi ludzie ruszyli z powrotem do obozu z Popem i M'Kola. W obozie nie było mięsa, więc chciałem jeszcze pokrażyć z Posepnym, żeby zobaczyć, czy nie da się czegoś ubić. Zaczynałem już odzyskiwać siły po dyzenterii i przyjemnie mi było chodzić po łagodnym, falistym terenie, po prostu chodzić i móc polować, nie wiedząc, co możemy napotkać, i mając swobodę ustrzelenia czegoś na mięso, któregośmy potrzebowali. Poza tym lubiłem Posepnego i lubiłem obserwować, jak chodzi. Stąpał bardzo swobodnie, z lekkim podrywem, i lubiłem przyglądać mu się, czuć trawę pod miękkiemi podeszwami butów i przyjemny ciężar sztuce'ra trzymanego tuż za muszką i opartego łufą na ramieniu, i słońce, które było dość gorące, by dobrze się wypocić, i wypalało rosę z trawy; wiatr się zrywał i szło się przez tę okolicę jak przez jakiś opuszczony sati nowoangielski. Wiedziałem, że znowu dobrze strzelam, i chciałem dość do strzału, żeby zaimponować Posepnemu.

Z wierze"hu jednego wzniesienia zobaczyliśmy dwa kongoni, odcinające się żółto na zboczu wzgórza około mili od nas, i dałem znak Posepnemu, że pójdziemy z nimi. Ruszyliśmy w dół i w jakimś wąwozie poderwaliśmy kozła wodnego i dwie kozy. Kozioł był jedynym z mogących nam się trafić zwierząt, o którym wiedziałem, że rcięso *ma* bezwarto-

ściowe, a już miałem na rozkładzie innego z lepszym porożem niż ten. W¹ziąłem go na muszkę, kiedy uciekał, przypomniałem sobie o jego bezwartościowym mięsie i o tym, że mam już tamtego, i nie strzeliłem.

— ■ Nie strzelać *kuro*? — zapytał Posępny w języku suaheli. — *Doumi sana*. Dobry kozioł.

Spróbowałem wytłumaczyć mu, że już mam lepszego i że mięso nie jest dobre do jedzenia.

Wyszczrzył zęby.

— *Piga kongoni m'uzuri*.

„Piga” to było świetne słowo. Brzmiało dokładnie tak, jak powinna brzmieć komenda „ognia” albo oznajmienie o trafieniu. „M'uzuri”, znaczące „dobry”, „dobrze”, „lepszy”, przez długi czas zanadto mi przypominało nazwę stanu Missouri i dawniej układałem sobie zdania w języku suaheli ze słowami „Arkansas” i „M'uzuri”, ale teraz wydawało mi się już naturalne, nie trzeba już go było podawać kursywą, podobnie jak wszystkie słowa stały się dla mnie właściwe i naturalne i jak) nie widziałem już nic dziwnego ani niestosownego w rozciąganiu uszu, w plemiennych bliznach czy w człowieku niosącym włócznię. Znaki plemienne i tatuaże wydawały mi się naturalnymi i ładnymi ozdobami i żałowałem, że sam takich nie mam. Żadna z moich blizn nie miała charakteru uroczystego, niektóre były nieregularne i rozciągnięte, a inne po prostu obrzmiałymi zgrubieniami. Miałem jedną na czole, stale wywołującą komentarze ludzi, którzy pytali, czy się o coś uderzyłem głową; natomiast Posępny miał bardzo ładne przy kościach policzkowych, a inne, symetryczne i dekoracyjne, na piersi i brzuchu. Właśnie myślałem sobie, że mam jedną dobrą, coś w rodzaju wytłoczonej choinki < gwiazdkowej, pod spodem prawej stopy, ale że z niej tylko taki pożytek, że drze skarpetki — gdy wtem poderwaliśmy dwie antylopy czerwone. Odbiegły między drzewami, potem przystały w odległości sześćdziesięciu jardów; smukły, pełen wdzięku kozioł obejrzał się i wtedy strzeliłem go wysoko i trochę za łopatkę. Dał susa i pognał bardzo szybko.

— Piga — uśmiechnął się Posępny. Obaj słyszeliśmy uderzenie kuli.

— Kufa — powiedziałem mu. — Zabity. j

Ale kiedy podeszliśmy do niego, leżącego na boku, serce bilo mu jeszcze mocno, chociaż według wszelkich pozorów był martwy. Posępny nie miał noża do oprawiania, a ja nie miałem nic oprócz scyzoryka, żeby go dobić. Wymacałem palcami serce za przednią nogą i czując, jak uderza pod skórą, wepchnąłem scyzoryk, ale był za krótki i odsunął serce. Wyczułem je pod palcami, gorące i gumowate, i czułem, jak nóż je odsuwa, więc pomacałem dookoła i przeciąłem wielką arterię i krew oblała mi gorąco palce* Kiedy już spłynęła, zacząłem go otwierać tym ; małym nożykiem, wciąż popisując się przed Posępnym, i wypatroszyłem

go zręcznie, wyjąłem wątrobę, odkrajałem żółć i położyłem wątrobę na kępie trawy, a obok niej nerki.

Posępny poprosił o nóż. Teraz on miał mi coś pokazać. Wprawnie rozciął żołądek i wywrócił go wewnętrzną stroną na wierzch, wyrzucił z niego trawę na ziemię, wytrząsnął, potem włożył do środka wątrobę i nerki, uciął scyzorykiem gałązkę z drzewa, pod którym leżał kozioł, i zeszył wiciną żołądek, tak że utworzył się worek, w którym można było nieść inne przysmaki. Następnie uciął żerdkę, założył worek na jej koniec przesunawszy ją pod fałdami i zarzucił to sobie na ramię tak jak owi włóczędzy, niosący swoje manatki w chustce na końcu kija, na plakatach reklamowych plastrów na odciski za czasów naszego dzieciństwa. To była dobra sztuczka i wyobraziłem sobie, jak ją kiedyś pokażę Johnowi Staibowi w Wyoming, a on się uśmiechnie tym swoim uśmiechem głuchego (trzeba było w niego ciskać kamykami, żeby stanął, kiedy się usłyszało ryczenie byka) i z góry wiedziałem, co John powie. Powie: „Jak rany, Earnest, a to chitre”.

Posępny podał mi kij, potem zdjął swoje jedyne odzienie, zrobił z niego pętlę i zarzucił sobie kozła na plecy. Chciałem mu pomóc, więc zaproponowałem gestem, żebyśmy ucięli tykę, zawiesili na niej kozła i ponieśli go razem, ale on wołał nieść sam. Ruszyliśmy więc do obozu, ja z workiem na końcu kija na jednym ramieniu i ze sztucą przewieszonym przez drugie, a Posępny brnął przede mną, pocąc się mocno pod ciężarem kozła. Spróbowałem namówić go, żeby zawiesił kozła na drzewie i zostawił go, dopóki nie przyślemy paru tragarzy, i w tym celu wsadziliśmy • kozła w rozgałęzienie jednego z drzew. Ale kiedy Posępny zobaczył, że chcę odejść i zostawić zwierzynę, zamiast po prostu pozwolić mu się pocić, znowu zarzucił sobie kozła na plecy i tak doszliśmy do obozu, a zebrani dookoła ogniska boyowie uśmieśli się z owego worka, który niosłem na ramieniu.

To był ten rodzaj polowania, który lubiłem. Żadnego jeżdżenia samochodem, okolica falista zamiast równiny, więc byłem całkowicie szczęśliwy. Przechorowałem się porządnie i teraz miałem to przyjemne uczucie odzyskiwania sił z dnia na dzień. Miałem niedowagę, ogromny apetyt na mięso i mogłem jeść, ile chciałem, nie czując ociężałości. Codziennie wypacałem z siebie to, co wypitem siedząc wieczorem przy ognisku i teraz w przedpołudniowym upale leżałem w cieniu, czułem powiew między drzewami, i czytałem nie mając obowiązku ani musu nic pisać, uradowany świadomością, że o czwartej znowu wyruszymy na polowanie. Nie chciało mi się nawet pisać listu. Jedyne osoba naprawdę mi bliska poza dziećmi była ze mną i nie pragnąłem dzielić tych chwil z kimkolwiek tu nieobecnym, tylko przeżywać je czując się zupełnie szczęśliwym i dosyć zmęczonym. Wiedziałem, że strzelam do-

brze i miałem to dobre samopoczucie i ufność, których o tyle przy-
jemniej jest doświadczać samemu niż o nich słyszeć.

Okazało się jednak, że trzeba wyruszyć zaraz po trzeciej, żeby być o czwartej na wzgórzu. Ale była już prawie piąta, kiedy ujrzeliśmy pierwszego nosorożca przebiegającego krótkonogim truchtem przez grzbiet wzgórza prawie w tym samym miejscu, gdzieśmy poprzedniego wieczora zobaczyli tamtego. Widzieliśmy, gdzie wszedł w las, niedaleko od miejsca, w którym owe dwa z sobą walczyły, i wtedy poszliśmy w kierunku, który prowadził nas ze wzgórza w dół, przez zarośnięty parów na dnie, a potem pod górę, po stromym zboczu, do drzewa cierniowego z żółtymi kwiatami, wyznaczającego punkt, gdzie nosorożec wszedł w las.

Wchodziłem prosto na zbocze, widząc przed sobą to drzewo cierniowe, wiatr dmuchał po wzgórzu, a ja starałem się iść jak mogłem najwolniej, i założyłem chustkę za wewnętrzną skórę kapelusza, żeby mi pot nie ściekał na okulary. Spodziewałem się, że lada chwila będę strzelał, i chciałem na tyle zwolnić kroku, żeby mi serce nie waliło. Kiedy się strzela do dużych zwierząt, nie ma powodu chybić, jeżeli się widzi je dobrze, umie się strzelać i wie, gdzie strzelić, chyba że ktoś jest zmęczony biegiem czy wspinaniem się pod górę albo zapoczął mu się okulary czy też je stłucze, albo zabraknie mu chustek lub papieru, żeby je przetrzeć. Okulary były największym ryzykiem i zawsze nosiłem z sobą cztery chustki i przekładałem je z lewej do prawej kieszeni, kiedy już były wilgotne.

Podeszliśmy do tego żółto kwitnącego drzewa bardzo ostrożnie, jak ludzie podkradający się do stadka przepiórek, które im pies wystawił, ale nosorożca nigdzie nie było. Obeszliśmy cały skraj lasu i wszędzie widzieliśmy tropy i świeże ślady obecności nosorożca, ale jego samego, nie spotkaliśmy. Słońce już zachodziło, robiło się za ciemno, żeby strzelać, ale wciąż szliśmy lasem dokoła zbocza góry, mając nadzieję, że go zobaczymy na otwartych polankach. Kiedy już było prawie za ciemno, na strzał, spostrzegłem, że Posępny staje i kuca. Schyliwszy głowę dał nam znak, żebyśmy się zbliżyli. Podczołgaliśmy się i zobaczyli po drugiej stronie dolinki dużego i małego nosorożca, które stały, po brzuchy w zaroślach, zwrócone łbami do nas.

— Krowa i cielak — powiedział cicho Pop. — Nie można jej strzelać. Muszę obejrzeć jej róg.

. Wziął od M'Koli lornetkę.

— Czy ona nas może zobaczyć? — spytała P.O.M.

— Nie.

— Jak to daleko?

— Będzie z pięćset jardów.

" — O Boże, ale ona wielka — szepnąłem.

— Duża krowa — powiedział Pop. — Ciekawe, co się stało z bykiem. — Był zadowolony i podniecony widokiem zwierzyny. — Za ciemno już strzelać, chyba żeby się włązło prosto na niego.

Nosorożce zawróciły i zaczęły się paść. Zdawało się, że w ogóle nigdy nie poruszają się wolno. Albo biegły truchtem, albo stały w miejscu.

— Dlaczego one takie czerwone? — spytała P.O.M.

— Od tarzania się w błocie — odparł Pop. — No, lepiej chodźmy, póki coś widać.

Słońce już zaszło, kiedy wydostaliśmy się z lasu i popatrzyli w dół po zboczu na drugą stronę dolinki, ku wzgórz, z którego obserwowaliśmy teren przez lornetkę. Powinniśmy byli zawrócić własnymi śladami w dół, przejść przez parów, a polem pod górę tą ścieżką, którą przyszliśmy, aleśmy postanowili jak głupcy iść prosto po zboczu góry, poniżej skraju lasu. Tak więc podążając w ciemnościach po owej idealnej linii, opuszczaliśmy się w urwiste rozpadliny, które wydawały się tylko kępami drzew, póki się człowiek w nich nie znalazł, obsuwaliśmy się, przytrzymywali lian, potykali, wspinali i osuwali na powrót w dół i w dół, a potem znów stromo, nieznośnie pod górę, słysząc szelest nocnych stworów i pokasywanie lamparta polującego na pawiany — przy czym ja, w strachu przed węzami, dotykałem po ciemku każdego korzenia i każdej gałęzi z obawy, czy to nie wąż.

Przeszliśmy tak przez dwa wąwozy, opuszczając się w dół i znów wspinając się na czworakach, dalej w światło księżyca i na długi, zbyt stromy garb, gdzieśmy musieli podciągać stopę do stopy, stopę za stopą, krok po kroku, pochyleni w przód z powodu spadku i wysokości, śmiertelnie zmęczeni i obciążeni bronią, idąc gęsiego po pochyłości w świetle księżyca coraz wyżej, aż na wierzch, gdzie już było łatwo i okolica rozpościerała się oświetlona księżycem, potem w górę i w dół, i dalej, przez niskie wzórza, wyczerpani, ale już teraz widząc ogniska, i wreszcie do obozu.

I wtedy siadasz przy ognisku, opatulony od wieczornego chłodu, pijesz whisky z wodą sodową i czekasz na oznajmienie, że brezentowa Wanna została do jednej czwartej napełniona gorącą wodą.

— Kapu, B'wana.

— Niech to szlag trafi, już bym nie mógł polować na owce górskie — mówisz.

— Ja nigdy nie mogłam — powiada P.O.M. — To wyście mnie zmuszali.

— Wspinała się pani bez porównania lepiej niż którykolwiek z nas.

— Myśli pan, że moglibyśmy jeszcze zapolować na górskie owce, Pop?

— Zastanawiam się — mówi Pop. — Myślę, że to tylko kwestia kondycji.

— Wykańcza nas co cholerne jeżdżenie samochodami.

— Gdybyśmy *co* wieczór robili taki spacer, to za trzy dni nawet byśmy go nie poc/uli.

— Tak. Ale choćbyśmy go robili *co* wieczór przez cały rok, ja i tak bałbym się węzów.

— Przeszłoby panu.

— Nie — odrzekłem. — Mam przed nimi piekielnego stracha. Pamięta pan, jak się wtedy dotknęliśmy rękami za drzewem?

— Pewnie — odparł Pop. — Odskoczył pan na dwa jardy. Czy pan się naprawdę ich boi, czy to tylko takie gadanie?

— Boję się diabelnie — odrzekłem. — Zawsze tak było.

— Co wam się stało? — zapytała P.O.M. — Dlaczego dziś jeszcze nic nie słyszałam o wojnie?

— Bo jesteśmy cholernie zmęczeni. Pan był na wojnie, Pop?

— Co to, to nie — odrzekł Pop. — Gdzież ten boy z whisky? — A potem zawołał wątlym, komicznym falsetem: — Kayti — Katy-ay!

— Kąpu — powtórzył Molo cicho, ale z naciskiem.

— Znadto jestem zmęczony.

— Memsahib kępu — rzekł Molo z nadzieją w głosie.

— Pójdę — powiedziała P.O.M. — Ale wy się pośpieszcie z tym naszym pićciem. Jestem głodna.

— Kąpu — rzekł Kayti surowo do Popa.

— Ty sam się kępu — odparł Pop. — Nie męcz mnie.

Kayti odwrócił się uśmiechając się krzywo w świetle ognia.

— No, dobrze, dobrze — powiedział Pop. — Napije się pan? — zapytał.

— Wypijemy jeszcze po jednym — odrzekł — a potem pójdziemy kępu.

— Kąpu, B'wana M'Kumba — rzekł Molo. Do ogniska podeszła P.O.M. w niebieskim szlafroku i przeciwmoskitowych butach.

— Idźcie — powiedziała. — Możecie się jeszcze napić, jak wróciacie. Mamy miłą, ciepłą, błotnistą wodę.

— Pastwią się nad nami — rzekł Pop.

— Pamiętasz, jakeśmy polowali na owce i jak ci zdmuchnęło kapelus, tak że o mało nie spadł na barana? — zapytałem jej, gdyż pod wpływem whisky moje myśli pobiegły do Wyoming.

— Idź wziąć kępu — odrzekła P.O.M. — Ja sobie wypiję „gwoździa”.

Nazajtrz byliśmy już ubrani przed świtem, zjedliśmy śniadanie

i poszli opolować skraj lasu i te zapadnięte dolinki, gdzie Posepny widział bawoły przed wschodem słońca. Ale nie było ich tam. Trwało to długo i wróciwszy do obozu postanowiliśmy posłać ciężarówkę po tragarzy i zrobić piesze safari do miejsca, gdzie jakoby była woda w strumieniu, który spływał z góry za tym punktem, gdzie poprzedniego wieczora widzieliśmy nosorożce. Rozbiwszy tam obóz można by opolować nowe tereny wzdłuż skraju lasu i byłoby się o wiele bliżej góry.

Ciężarówkami chcieliśmy sprowadzić Karla z jego obozu, gdzie najwyraźniej ogarniał go niesmak czy zniechęcenie, czy jedno i drugie; następnego dnia mógłby pójść do doliny Rift i ubić coś na mięso i popróbować oryksa. Jeżeliby się trafiły dobre nosorożce, mieliśmy posłać po niego. Tam, gdzieśmy się udawali, nie chcieliśmy strzelać do niczego poza nosorożcami, żeby ich nie spłoszyć, a mięso było nam potrzebne. Nosorożce wydawały się bardzo płochliwe, a ja pamiętałem z Wyoming, jak płochliwa zwierzyna wynosi się po paru strzałach, kiedy się poluje na niewielkim terenie, czy tym terenem będzie płaszczyna, dolina, czy pasmo wzgórz. Uplanowaliśmy sobie wszystko, przy czym Pop naradził się z Posepnym, a następnie wyprawiliśmy ciężarówkę z Danem na werbunek tragarzy.

Późnym popołudniem wrócili z Karlem, jego wyprawą i czterdziestoma M'Bulusami, dorodnymi dzikimi, którzy mieli pompatycznego przywódcę, ubranego w jedyne wśród nich wszystkich szorty. Karl wychudł, zmizerniał, oczy miał bardzo zmęczone i wydawał się dosyć zdeprymowany. Spędził osiem dni w obozie na wzgórzach polując ostro na kudu, nie mając przy sobie nikogo, kto by choć trochę mówił po angielsku, i widział tylko dwie łanie, a byka spłoszyli za daleko na strzał. Przewodnicy twierdzili, że widzieli jeszcze drugiego, ale Karl wtedy myślał, że to kongoni, czy też oni mu powiedzieli, że kongoni, dość że nie strzelił. Był tym rozgoryczony i jego wyprawa nie wyglądała wesoło.

— W ogóle nie widziałem rogów. Nie sądzę, żeby to był byk — opowiadał. Teraz polowanie na kudu było dla Karla tematem drażliwym, więc go nie poruszaliśmy.

— Jak tam pójdzie, strzeli sobie oryksa i zaraz si[^] lepiej poczuje — rzekł Pop. — Trochę mu to podziałało na nerwy.

Karl zgodził się na nasz plan, żebyśmy my przenieśli się w nową okolicę, a on poszedł ubić coś na mięso.

— Jak chcecie — powiedział. — Bezwzględnie tak jak chcecie.

— Będzie mógł sobie postrzelać — rzekł Pop. — To mu dobrze zrobi.

— Najpierw my coś zabijemy. Potem ty. Kto będzie pierwszy, ten może potem pójść na oryksy. Ty prawdopodobnie i tak jutro dostaniesz oryksa, kiedy będziesz polował na mięso.

— Jak chcecie — powtórzył Karl.

Jego myśli z goryczą wracały wciąż do ośmiu jałowych dni wspina-
nia się w upale na wzgórze, wychodzenia przed świtem i powrotów po
zmroku, polowania na zwierza, którego nazwy w języku suaheli nie
mógł wtedy zapamiętać, z tropicielami, którym nie ufał, wracania po
to, by jeść w samotności, nie mieć do kogo otworzyć ust i rozmyślać,
że od żony dzieli* go dziewięć tysięcy mil i trzy miesiące, i w ogóle
co z jego psem i jego pracą, i gdzie to wszystko jest, u diabła, i co
będzie, jeżeli chybi, jak dojdzie do strzału, chociaż nie, przecież się
nigdy nie chybia, jeżeli to jest naprawdę ważne, tego był pewien, to
stanowiło jedną z zasad jego wiary — ale co będzie, jeżeli się zdener-
wuje i chybi, i dlaczego nie dostaje żadnych listów, czemu przewodnik
mówił wtedy, że to kongoni — tak było, przecież wie — ale nie powied-
ział nic z tego wszystkiego, tylko: „Jak chcecie” z odrobiną desperacji.

— No, rozweselże się, stary łobuzie — powiedziałem.

— Jestem wesoły. Co ci przyszło do głowy?

— Napij się czegoś.

— Nie chcę pić. Chcę tego cholernego kudu.

Później Pop rzekł:

— Myślałem, że mu lepiej pójdzie samemu, jak nie będzie nikogo,
kto by go popędzał czy denerwował. Ale przyjdzie do siebie. To porząd-
ny chłopak.

— Jemu potrzeba kogoś, kto by mu powiedział dokładnie, co robić,
ale potem zostawił go w spokoju i nie peszył — odparłem. — Dla niego
to straszną rzecz strzelać przy wszystkich. On nie lubi tak się cholernie
popisywać jak ja.

— Do tego lamparta dał diablo dobry strzał — powiedział Pop.

— Dwa — odrzekłem. — Drugi był równie dobry jak pierwszy.
Psiakrew, on umie strzelać. Na strzelnicy zestrzeliby z nas wszystkich
portki. Ale się "denerwuje, a ja go peszę tym, że go popędzam.

— Czasem pan jest trochę ciężki dla niego — rzekł Pap.

— Psiakrew, przecież mnie zna. Wie, co o nim myślę. Nie ma mi
tego za złe.

— Ja dalej myślę, że siebie odnajdzie, jak będzie sam — powiedział
Pop. — T^o) jest po prostu kwestia pewności siebie. On naprawdę dobrze
strzela.

— Do diabła, przeciwT już teraz ma najlepszego bawołu, najlepszego
kozła wodnego i najlepszego : 3 — powiedziałem. — Nie ma się czym
martwić.

— ■ Najlepszego- lwa ma Memsahio, przyjacielu! Niech pan się aby
nie pomyli.

— Cieszę się z tego. Ale on ma diabelnie pięknego lwa i dużego lam

parta. Wszystko, co ma, jest dobre. A jeszcze jest kawał czasu przed nami. Nie ma się czym martwić. Dlaczego, u licha, jest taki ponury?

— Rano wyjdziemy wcześniej, żeby skończyć, zanim się zrobi za gorąco dla małej Memsahib.

— Ona jest w lepszej formie niż my wszyscy.

— Cudowna jest. Zupełnie mały foksterierek.

Wybraliśmy się tego popołudnia i ze wzgórz przepatrzyli przez lornetkę całą okolicę, ale nie zobaczyliśmy nic. Wieczorem, po kolacji, siedzieliśmy w namiocie. P.O.M. nie znosiła, jak ją porównywano do małego foksterierka. Gdyby musiała być psem, czego by wcale nie chciała, to wolałaby już charta, coś smukłego, rasowego, długonogiego i ozdobnego. Jej odwaga była czymś tak automatycznym, stanem tak dla niej zwyczajnym, że nigdy nie myślała o niebezpieczeństwie; - poza tym niebezpieczeństwo znajdowało się w rękach Popa, dla Popa zaś miała zupełne, jasnowzroczne, bezwzględnie ufne uwielbienie. Pop był jej ideałem mężczyzny: odważny, łagodny, zabawny, nigdy nie tracący panowania rład sobą, niechętliwy, nie narzekający nigdy, chyba żartem, tolerancyjny, wyrozumiały, inteligentny, pijący trochę za wiele, tak jak powinien prawdziwy mężczyzna, i w jej oczach bardzo przystojny.

— Nie uważasz, że Pop jest przystojny?

— Nie — odpowiedziałem. — Przystojny jest ten Posepny.

— Posepny jest piękny. Ale ty naprawdę nie uważasz, że Pop jest przystojny?

— Nie, psiakrew. Lubię go jak mało kogo ze znanych mi ludzi, ale niech mnie szlag trafi, jeżeli jest przystojny.

— Moim zdaniem bardzo ładnie wygląda. Ale ty przecież rozumiesz, jaki jest mój stosunek do niego, prawda?

— Jasne. Sam lubię drania.

— Ale naprawdę nie uważasz, że jest przystojny?

— Nie. — A potem po chwili: — No a kto jeszcze jest dla ciebie przystojny?

— Belmonte i Pop. I ty.

— Nie bądź taką patriotką — powiedziałem. — Kto jest piękną kobietą?

— Greta Garbo.

— Już nie. Josie, tak. Margot też.

— Owszem. Wiem, że ja nie.

— Jesteś śliczna.

— ■ Pomówmy o panu Jot Pe. Nie lubię, jak go nazywasz Pop. To niepoważne.

— My obaj razem nie jesteśmy poważni.

— Tak, ale ja przy nim jestem poważna. Nie uważasz, że jest wspaniały?

— Owszem. I nie musi czytać książek napisanych przez jakąś babę, której pomógł coś wydać, a która w nich mówi, że jest strachliwy*.

— Bo ona jest po prostu zazdrosna i złośliwa. Nie powinieneś być jej w ogóle pomagać. Niektórzy ludzie nigdy tego nie wybaczą.

— Ale to jednak piekielna szkoda, że cały ten talent poszedł na złośliwości, bzdury i samochwalstwo. Naprawdę piekielna szkoda. Szkoda, żeś jej nie znała, zanim zeszła na psy. Wiesz, zabawna rzecz: ona nigdy nie umiała pisać dialogu. Wychodził jej okropnie. Nauczyła się to robić z moich rzeczy i zastosowała w tej książce. Przedtem nigdy tak nie pisała. I nigdy nie mogła przebaczyć, że się tego nauczyła, bała się, że ludzie zauważą, od kogo się nauczyła, więc musiała mnie zaatakować. To naprawdę śmieszna granda. Ale przysięgam, że była strasznie miła, zanim się zrobiła ambitna. Wtedy na pewno by ci się podobała.

— Może, ale nie przypuszczam — powiedziała P.O.M. — Ale nam jest dobrze, prawda? Bez tych wszystkich ludzi.

— Ja myślę, że dobrze. Odkąd sięgnę pamięcią, jest mi coraz lepiej; z każdym rokiem.

— Ale prawda, że pan Jot Pe jest wspaniały? No nie?

— Tak. Wspaniały.

— O, jakis ty miły, że to mówisz. Biedny ten Karl.

— Dlaczego?

— Bo jest tu bez żony.

— Tak — powiedziałem. — Biedny Karl.

Tak więc rano znowu wyruszyliśmy, jeszcze przed tragarzami, idąc; przez wzgórza w głęboko zalesioną dolinę, a potem pod górę i przez długie wzniesienie porośnięte wysoką trawą, która utrudniała marsz, i dalej, coraz wyżej, przed siebie, czasem odpoczywając w cieniu drzewa, i znowu dalej, pod górę, w dół i naprzód, ciągle w wysokiej trawie, gdzie trzeba było wydeptać sobie szlak w bardzo gorącym słońcu. Szliśmy w pięcioro gęsiego, Posepny i M'Kola z dużymi sztucerami, my, obwieszani chlebakami, manierkami i aparatami fotograficznymi, pocąj się w słońcu; ja i Pop nieśliśmy sztucery, Memsahib próbowała iść tak jak Posepny, w stetsonie nasadzonem na bakier, uszczęśliwiona, że jest, na wyprawie, zadowolona, że ma wygodne buty, i wreszcie doszliśmy,

* Mowa o Gertrudzie Stein, z którą Hemingway pierwotnie przyjaźnił się w Paryżu, a później poróżnił (przyp. tłum.).

do gąszczy drzew cierniowych rosnących nad wąwozem, który zbiegał z boczem wzgórza ku wodzie, i oparliśmy broń o drzewa, weszliśmy w gęsty cień i położyli się na ziemi. P.O.M. wyjęła książki z jednego z chlebaków i oboje z Popem zaczęli czytać, a ja zeszedłem wąwozem do małego strumienia, który wypływał ze zbocza góry, i znalazłem świeży trop lwa i wiele tuneli wygniecionych przez nosorożce w wysokiej trawie, która sięgała człowiekowi wyżej głowy. Bardzo było gorąco wydrapywać się na powrót z tego piaszczystego wąwozu, więc z przyjemnością oparłem się plecami o pień drzewa i zacząłem czytać „Sewastopol” Tołstoja. Była to bardzo młoda książka, a w niej jeden świetny opis walki, kiedy Francuzi, zdobywają redutę, i myślałem o Tołstojem i o tym, jaką wielką korzyścią dla pisarza jest doświadczenie wojenne. To jeden z ważniejszych tematów i na pewno jeden z najtrudniejszych do rzetelnego opisanego, i ci pisarze, co nigdy nie widzieli wojny, są zawsze bardzo zazdrośni i starają się to przedstawić jako rzecz nieważną lub anormalną albo jako temat chorobliwy, podczas gdy w rzeczywistości jest to po prostu coś zupełnie niezastąpionego, co ich ominęło. Potem Sewastopol nasunął mi na myśl Boulevard Sevastopol w Paryżu i to, jak nim jechałem w deszcz na rowerze, wracając ze Strasburga do domu, i śliskość szyn tramwajowych, i to uczucie jechania w deszczu po tłustym, śliskim asfalcie i brukowcach wśród ruchu ulicznego, i jak w tym czasie o mało nie zamieszkaliśmy na Boulevard du Tempie, i przypomniałem sobie wygląd tamtego mieszkania, jak było urządzone i jakie miało tapety, i jak zamiast tego wynajęliśmy piętorko w tym pawilonie na Notre Dame des Champs, w podwórku, gdzie był tartak (i *nagły jęk pily, zapach trocin i kasztan nad, dachem, i tą oblakaną kobietą na dole*) i tamten rok kłopotów pieniężnych (*wszystkie moje opowiadania zwracane w pocztę, którą wsuwano -przez sr.parę w drztoiach. tartaku, i zaopatrzone notatkami odmownymi, w których nigdy nie nazywano ich opowiadaniem, tylko zawsze anegdotami, szkicami, contes itd. Nie chcieli ich, więc żywiłiśmy się poireaux i piliśmy cahors i, wodą*) i jakie piękne były fontanny na Place de l'Observatoire (*woda perlająca się połyskliwie na brzoje końskich grzyw, na piersiach i ramionach z brązu, zielonych pod cienko sphywającą wodą*) i to, Kk ustawili popiersie Flauberta w Luxembourg na tym skrócie przez park do rue Soufflot (*te go, w którego wierzyliśmy, któregośmy kochali bezkrytycznie, teraz wykutego ciężko w kamieniu, tak jak powinno być bożyszcze*). On nie oglądał wojny, ale widział rewolucję i Komunę, a rewolucja jest może najlepsza, jeżeli ktoś nie popada w bigoterię, bo wszyscy mówią wtedy tym samym językiem. Podobnie jak wojna domowa jest najlepszą wojną dla pisarza i najpełniejszą. Stendhal widział wojnę i Napoleon nauczył go pisać. Wówczas uczył on w: ^ysik.łł. ale nikt inny

z tego nie skorzystał. Dostojewskiego stworzyło to, że go zesłano na Syberię. Pisarzy wykuwa niesprawiedliwość, tak jak wykuwa się miecz. Zastanowiłem się, czy gdyby Toma Wolfe'a zesłano na Syberię albo na Tortugas, zrobiłaby to z niego pisarza, czy dałoby mu ten wstrząs niezbędny do zatamowania zalewu słów i czy dałoby mu poczucie porporcji. Może tak, a może nie. On naprawdę wydaje się smutny jak Car- -, nera. Totetn: był niskim/mężczyzną, Joyce był średniego wzrostu i zmar- nował sobie oczy. I ta ostatnia noc, po pijanemu, z Joyce'em, i to, co wciąż -czytał z Edgara Qui.net: *Fraiche et rose comme au jour de la bataille*. Wiedziałem, że nie zapamiętałem tego dobrze. A kiedy go się zobaczyło, podejmował rozmowę przerwana przed trzema laty. Miło, było widzieć wielkiego pisarza w naszych czasach.

Tym, co mam do zrobienia, jest moja praca. Nie obchodziło mnie specjalnie, co z tego wyniknie, ^eraz nie brałem już poważnie swojego życia; czyjeś inne życie tak, ale nie swoje. Wszyscy chcą *czegoś, czego* ja nie chcę, a jeżeli będę pracował, dostanę to, choćbym nie chciał. Praca to jedyna rzecz, jedna jedyna rzecz, która zawsze daje człowiekowi dobre samopoczucie, a zresztą to jest moje własne życie i będę je pro- wadził tak, jak *mi* się podoba, i dokąd chcę. A to, dokąd zaprowadziłem je teraz, podobało mi się bardzo. Tu jest lepsze niebo niż we Włoszech., Gdzie tam, psiakrew. Najlepsze niebo jest we Włoszech i w Hiszpanii, i w północnym Michigan na jesieni, i jesienią w zatoce na Kubie. Tu- tejs-e niebo jest do pobicia, ale kraj nie.

Jedyną rzeczą, jakiej w tej chwili pragnąłem, było wrócić do Afryki.' Jeszcześmy z niej nie wyjechali, ale wiedziałem, że kiedy obudzę się w nocy, będę leżał nastuchując i tęsknił do niej już teraz.

Patrząc z tunelu drzew ponad wąwozem na niebo z białymi obłokami sunącymi z wiatrem, kochałem ten kraj tak, że byłem szczęśliwy podobnie jak jest się szczęśliwym, gdy było się z kobietą, którą się kocha naprawdę, kiedy to człowiek jest pusty i czuje, jak to znów wzbiera i już jest, i nigdy nie można tego mieć w całości, a jednak można mieć to, co jest w danej chwili, i chce się jeszcze i jeszcze- więcej mieć i być, i przeżyć, osiąść znowu na zawsze, na to długie, nagle kończące się zawsze; i czas się zatrzymuje, niekiedy w tak zupełnym bezruchu, że potem czekasz, aby usłyszeć, jak zacznie płynąć, a on rusza bardzo powoli. Ale wtedy nie jesteś sam, bo jeżeli ją naprawdę kochałeś szczę- śliwie i metragicznie, ona kocha cię zawsze; wszystko jedno, kogo po- kocha i dokąd pójdzie, ciebie kocha bardziej. Więc jeśli kochałeś jakąś kobietę i jakiś kraj, to miałeś wielkie szczęście, i jeżeli potem umrzesz, to już jest nieważne. Teraz, będąc w Afryce, czułem, że jestem spragniony czegoś więcej z niej, zmian pór roku. deszczów bez koniecz- ności podróŜowania, mewypód ;?, które się płaci, żeby to było rzeczy-

wiste, nazw drzew, drobnych zwierząt i wszystkich ptaków, i tego, żeby poznać język i mieć czas tu być i nigdzie się nie spieszyć. Przez całe życie kochałem zawsze kraj; kraj jest zawsze lepszy niż ludzie. Jeżeli idzie o ludzi, to mogłem przywiązać się tylko do bardzo niewielu naraz.

P.O.M. spała. Zawsze wyglądała ładnie we śnie, śpiąc spokojnie, zwinięta w kłębek jak zwierzątko, bez śladu tego martwego wyglądu, który miał Karl, kiedy spał. Pop także spał spokojnie, widać było, że jego dusza jest zamknięta w ciele. To ciało już nie było odpowiednim dla niej siedliskiem. Posunęło się mocno i zmieniło, tu grubiejąc, tam znowu zatracając linię i obrzmiewając trochę, ale wewnątrz był młody, smukły i jędrny jak wówczas, gdy gonił za lwem po równinie koło Wami, a worki pod oczami były tylko zewnętrzne, toteż w tej chwili widziałem go śpiącego takim, jakim P.O.M. widziała go zawsze. M'Kola śpiąc wyglądał na starca, bez historii i bez tajemnicy. Posepny nie spał. Przykucnął na piętach i wypatrywał safari.

Już z daleka zobaczyliśmy ich nadchodzących. Z początku było widać tylko skrzynki nad wysoką trawą, potem rząd głów, a później znaleźli się w jakimś zagłębieniu, skąd ledwie szpic włóczni sterczał w słońcu, następnie weszli na wyniosłość i zobaczyłem zbliżający się do nas, rozciągnięty sznur ludzi. Kierowali się trochę za daleko w lewo i Posepny pomachał ręką, żeby im dać znak, gdzie jesteśmy. Rozbili obóz, przy czym Pop przestrzegł ich, żeby zachowywali się cicho, a następnie zasiedliśmy wygodnie na krzeselkach pod namiotem-jadalnią, żeby porozmawiać.

Tego wieczora poszliśmy na polowanie i nic nie widzieliśmy. Następnego rana poszliśmy na polowanie i nic nie widzieliśmy i wieczorem tak samo. Bardzo to było ciekawe, ale bez rezultatów. Wiatr dął silnie od wschodu, okolica była poprzecinana krótkimi fałdami wzgórz, zbiegającymi od lasu, tak że nie mogłeś podejść wyżej nie posyłając z wiatrem przed siebie własnego zapachu, który musiałby ostrzec wszystko dokoła. Wieczorem nie było nic widać ani pod słońce, ani na silnie ocienionych zboczach zachodnich wzgórz, za którymi słońce chowało się właśnie w chwili, kiedy nasorożce mogły wyjść z lasu; toteż pod wieczór cały ten teren na zachód od nas był stracony, a tam, gdzie mogliśmy polować, nie znaleźliśmy nic.

Mięso przynieśli z obozu Karla tragarze, których tam posialiśmy. Przyszli niosąc ćwierci antylop tommy, Granta i gnu, zakurzone i wysuszone na wiór przez słońce, ale byli uszczęśliwieni, przysiedli w kuczki dokoła swych ognisk i przypiekali mięso na patykach. Pop nie mógł pojąć, dlaczego wszystkie nasorożce poznały. Co dzień widywaliśmy ich mniej i dyskutowaliśmy, czy to może pełnia księżyca sprawia, że

wychodzą na żer nocą i wracają do lasu rano, nim się rozwidni, czy też zwietrzyły nas albo usłyszały naszych ludzi i są po prostu spłoszone i trzymają się w lesie, czy co. Ja wysuwałem różne teorie, Pop nakłubał je swymi dowcipami, czasem rozważając je przez grzeczność, a czasem z zainteresowaniem, jak na przykład tę o księżycu.

Położyliśmy się wcześniej, w nocy trochę padało, ale nie taki prawdziwy deszcz, tylko mżawka z gór, a rano byliśmy już na nogach przed świtem i wdrapali się na szczyt stromego wzgórza, które wznosiło się nad obozem i z którego było widać wąwóz potoku, stromy przeciwny brzeg, wszystkie stoki pagórków i skraj lasu. Jeszcze się nie rozwidniło, gdy przeleciało nad nami kilka gęsi, a było wciąż zbyt szaro, żeby wyraźnie widzieć przez lornetkę skraj lasu. Postawiliśmy obserwatorów na szczytach trzech różnych wzgórz i czekaliśmy, aż się na tyle rozwidni, żebyśmy mogli ich dojrzeć, gdyby dawali znaki.

A potem Pop powiedział: — Patrz pan na tego drania — i zawołał do M'Koli, żeby podał sztucery. M'Kola w podskokach zbiegał ze wzgórza i oto wprost naprzeciw nas, za strumieniem, zobaczyłem nosorożca, który prędko kłusował po wierzchu brzegu. Kiedyśmy go obserwowali, przyspieszył trochę i szybkim truchtem zbiegł skośnie w dół. Był błotnistoczerwonej barwy, róg widzieliśmy wyraźnie, a w jego szybkich zdecydowanych ruchach nie było żadnej ociężałości. Poczułem wielką emocję na jego widok.

— Przejdzie przez strumień — rzekł Pop. — Nadaje się na strzał.

M'Kola wetknął mi w rękę springfielda, a ja odciągnąłem zamek, żeby upewnić się, czy mam pełne pociski. Nosorożec zniknął nam teraz z oczu, ale widziałem ruch w wysokiej trawie.

— Jak to może być daleko?

— Dobrze trzysta.

— Rozwałę drania.

Wypatrywałem go, umyślnie zamrażając się wewnątrz, powstrzymując podniecenie, tak jak zamyka się wentyl, przechodząc w ten bezosobowy stan, z którego się strzela.

Ukazał się kłusując w płytkim, usianym kamieniami strumieniu. Myśląc tylko o jednym: że strzał jest najzupełniej możliwy, ale że muszę poprowadzić go lufą i założyć do przodu, wymierzyłem w nosorożca, potem przerzuciłem przed niego i nacisnąłem spust. Usłyszałem *bonk* kuli, a nosorożec z kłusa jakby wybuchnął pędem. Z chrapliwym prychaniem walił naprzód, rozbryzgując wodę i fukając. Strzeliłem powtórnie, wzbijając mały słup wody za nim, i jeszcze raz, gdy zniknął w trawach, znów za nim.

— Piga — powiedział M'Kola. — Piga!

Posępny to potwierdził.

— Trafił go pan? — zapytał Pop.

— Bezwzględnie — odparłem. — Myślę, że go mam.

Posępny już biegł, więc naładowałem broń na nowo i pobiegłem za nim. Pół obozu rozsypało się po wzgórzach machając rękami i wrzeszcząc. Nosorożec wszedł w trawy tuż pod nimi i pobiegł doliną ku miejscu, gdzie las schodził do samego jej krańca.

Nadeszli Pop i P.O.M. Pop ze swym dużym sztucerem, a M'Kola z moim.

— Posępny znajdzie ślad — rzekł Pop. — M'Kola przysięga się, że pan go trafił.

— Piga! — powiedział M'Kola.

—• Fukał jak lokomotywa — rzekła P.O.M. — Prawda, że wspólnie wyglądał, kiedy tam biegł?

— Spieszył się z mlekiem do domu — powiedział Pop. — Jest pan pewien, że pan go trafił? To był diabelnie daleki strzał.

— Ja wiem, że go trafiłem. Jestem zupełnie pewien, że go zabiłem.

—• No, to niech pan nikomu o tym nie opowiada — rzekł Pop. — Nigdy panu nie uwierzą. Patrzcie! Posępny znalazł farbę.

Poniżej, w wysokiej trawie, Posępny podnosił ku nam jej źdźbło. A potem, schylony, zaczął znów szybko tropić po śladach krwi.

— Piga — rzekł M'Kola. — M'uzuri!

—■ Pójdziemy górą, żeby widzieć jakby się gdzieś wyrwał — rzekł Pop. — Patrzcie na Posępnego.

Posępny zdjął fez i trzymał go w ręce.

— To jedyny środek ostrożności, jaki mu jest potrzeby — rzekł Pop. — My taszczy my kilka ciężkich sztucerów, a Posępny idzie za nosorożcem mając o jeden artykuł odzieżowy mniej.

W dole Posępny zatrzymał się ze swym towarzyszem, który z nim tropił. Posępny podniósł rękę.

— Słyszą go — rzekł Pop. — Chodźmy.

Ruszyliśmy ku nim. Posępny zbliżył się do nas i coś powiedział Popowi.

— Jest tam — szepnął Pop. — Słyszą pisk bąkojadów. Jeden z boyów mówi, że słyszał też samego faro. Podejźmy pod wiatr. Pan pójdzie pierwszy z Posępnym. Memsahib niech się trzyma za mną. Bierz pan duży sztucer. No, dobra.

Nosorożec był gdzieś w wysokich trawach, za krzakami. Kiedyśmy szli naprzód, dosłyszeliśmy głębokie, jęklive stęknienie. Posępny obejrzał się na mnie i wyszczerzył zęby. Ten sam głos rozległ się znowu, tym razem zakończony jakby zdławionym krwią westchnieniem. Posępny śmiał się. — Faro — szepnął i przyłożył do skroni otwartą dłoń gestem oznaczającym zasypianie. A potem zobaczyliśmy ptaki bąkojady,

które poderwały się i odleciały szybkołotnym, ostrodziobym stadkiem. Wiedzieliśmy już, gdzie jest nosorożec, i idąc powoli naprzód, rozgarniając wysoką trawę, zabaczyliśmy go. Leżał na boku martwy.

— Niech pan jeszcze raz strzeli dla pewności — rzekł Pop.

M'Kola podał mi springfielda, którego niósł. Zauważyłem, że jest zarepetowany, spojrzałem wściekły na M'Kole, przyklęknąłem i strzeliłem nosorożcowi w kark. Ani drgnął. Posępny uściśnął mi dłoń i M'Kola też.

— Tego cholernego springfielda niósł zarepetowanego — powiedziałem do Popa. Odbezpieczona broń za moimi plecami doprowadzała mnie do szewskiej pasji.

Dla M*Koli nie miało to znaczenia. Był bardzo uszczęśliwiony, gładził róg nosorożca, mierzył go rozstawionymi palcami, szukał otworu od kuli.

— Jest na tej stronie, na której leży — powiedziałem.

— Trzeba panu było widzieć M'Kole, jak osłaniał Mamę — rzekł Pop. — Dlatego miał broń zarepetowaną.

— A umie strzelać?

T- Nie — odparł Pop. — Ale by strzelił.

— Mnie w portki — powiedziałem. — Romantyczny drań.

Kiedy nadeszła reszta wyprawy, przetoczyliśmy nosorożca do półkłępczącej pozycji i powycinaliśmy trawę, żeby zrobić zdjęcia. Włot kuli był dosyć wysoko w tyle, trochę za płucem.

— To był cholerny strzał — powiedział Pop. — Cholerny strzał. Niech pan nigdy nikomu o nim nie opowiada.

— Będzie pan musiał mi dać zaświadczenie.

— To tylko zrobiłoby kłamców z nas obu. Dziwne te bestie, co? ♦

Leżał przed nami, długokadłubowy, zwalisty, jakiś prehistoryczny, o skórze niby wulkanizowana guma, na pozór z lekka przezroczystej, naznaczonej źle zagojoną raną od rogu, którą niedawno dziobały ptaki, ogon miał gruby, krągły i spiczasty, uszy obrosnięte po brzegach włosami i małe, świńskie oczki; pełzały po nim płaskie, wielonogie kleszcze, a u nasady rogu, który mu sterczał na nosie do przodu, rósł mech. M'Kola przypatrywał mu się i potrząsnął głową. Zgadzałem się z nim. To był diabelny zwierz.

— Jaki jest ten róg?

— Wcale niezły — odpowiedział Pop. — Nie żaden ekstra. Ale pan go fajnie strzelił, przyjacielu.

— M'Kola jest kontent — powiedziałem.

— Sam jesteś dosyć kontent — odezwała się P.O.M.

— Jestem nieprzytomny — odparłem. — Tylko aby nie pozwólcie

mi zacząć o tym gadać. Nie martwcie się o to, co czuję. Teraz każdej nocy mogą obudzić się i myśleć o tym.

— A także jest pan świetnym tropicielem i fantastycznym strzelcem do pióra — rzekł Pop. — No, niech pan nam opowie resztę tych rzeczy.

— ■ Odwał się pan. Powiedziałem to tylko raz, jak byłem pijany.

— ■ Raz! — rzekła P.O.M. — Prawda, że nam to opowiada co wieczór?

— Kiedy ja jestem dobrym strzelcem do pióra, jak Boga kocham.

— Zdumiewające — powiedział Pop. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Cóż pan jeszcze patrafi?

— A idź pan do diabła.

— Nie trzeba pozwolić, żeby sobie uświadomił, co to był za, strzał, bo się zrobi nie do wytrzymania — powiedział Pop do P.O.M.

— M'Kola i ja to wiemy — powiedziałem.

Podszedł do nas M'Kola.

— M'uzuri B'wana — rzekł. — M'uzuri sana.

— Jemu się zdaje, że pan to zrobił naumyślnie — powiedział Pop.

— Niech pan mu nie mówi, że nie.

— Piga m'uzuri — rzekł M'Kola. — M'uzuri.

— Zdaje się, że tak samo się z tego cieszy jak pan — powiedział Pop.

— On jest mój druh.

— Wie pan, że chyba tak — odparł Pop.

Kiedy wracaliśmy na przełaj do naszego głównego obozu, udał mi się fantastyczny strzał do kozła antylopy czerwonej, prawie na dwieście jardów, z przyrzutu, i strzaskalem mu kark u nasady czaszki. M'Kola był bardzo kontent, a, Posepny zachwycony.

— Musimy go pohamować — rzekł Pop do P.O.M. — Gdzie pan naprawdę mierzył?

— W szyję — skłamałem. Strzelałem w sam środek komory.

— To było strasznie ładne — powiedziała P.O.M. Kula uderzając klasnęła jak kij baseballowy, którym odbija się szybką piłkę, i kozioł zwałił się na miejscu.

— Zdaje się, że on piekielnie kłamie — powiedział Pop.

— Nikt z nas, doskonałych strzelców, nie jest doceniany. Zaczekajcie, aż nas zabraknie.

— On to docenianie wyobraża sobie tak, że powinniśmy go ponieść na ramionach — rzekł Pop. — Ten strzał do nosorożca go wykończył.

— Niech będzie. Uważajcie od tej chwili. Psiakrew, przecież strzelałem dobrze przez cały czas.

— Coś mi się zdaje, że pamiętam jedną gazetę Granta — przekomarzał się Pop.

Ja też to pamiętałem. Przez całe rano szedłem za pięknym kozłem, aż poza nasze tereny, pudłując strzał po strzale po długiej serii podchodów w skwarze, a potem wdrapałem się na kopiec mrówek, żeby strzelić do innego, o wiele gorszego, odsapnąłem na tym kopcu i chybiłem kozła na pięćdziesiąt jardów, zobaczyłem, że dalej stoi przodem do mnie, zupełnie nieruchomo, z zadartym nosem, i strzeliłem mu w pierś. Wywrócił się w tył, a kiedy podszedłem, skoczył na nogi i potykając się uciekł. Usiadłem i czekałem, żeby się zatrzymał, a kiedy stanął, najwyraźniej unieruchomiony, ja siedząc wymierzyłem z podparcia w szyję, powoli i starannie, i spudłowałem osiem razy pod rząd we wzbierającej, upartej furii, nie biorąc żadnej poprawki, ale strzelając za każdym razem dokładnie tak samo i w to samo miejsce, gdy tymczasem wszyscy nosiciele broni zaśmiewali się, ciężarówka, która podjechała z naszą wyprawą, pełna była innych rozbawionych Murzynów, P.O.M i Pop nie mówili ani słowa, a ja siedziałem w zimnej, wariacko-upartej pasji, zdecydowany strzaskać mu kark, zamiast podejść i spróbować go ruszyć po tej zamglonej od upału, spieczonej, przedpołudniowej równinie. Nikt nic nie mówił. Wyciągnąłem do M'Koli rękę po nowe ładunki, znowu strzeliłem starannie, chybiłem i za dziesiątym strzałem zламаłem mu ten przeklęty kark. Odwróciłem się nie patrząc w jego stronę.

— Biedny Papa — powiedziała P.O.M.

— To wina światła i wiatru — rzekł Pop. Wtedy jeszcześmy się dobrze nie znali. — Wszystkie kule trafiały w to samo miejsce. Widziałem, jak wyrzucały piasek.

— Jestem przeklętym, cholernym, upartym durniem — powiedziałem.

W każdym razie teraz już strzelałem dobrze. Jak dotąd, niekiedy fuksem, szczęście mi dopisywało.

Zobaczyliśmy przed sobą obóz i zaczęliśmy nawoływać. Nikt się nie pokazał. W końcu Karl wyszedł ze swojego namiotu. Zawrócił, jak tylko nas dojrzał, po czym wyszedł znowu.

— Halo, Karl! — ryknąłem. Zamachał ręką i znów się schował w namiocie. Potem ruszył ku nam. Dygotał z przejęcia i zauważyłem, że musiał przed chwilą obmywać sobie ręce z krwi.

— Co to takiego?

— Nosorożec — odpowiedział.

— Miałeś z nim jakiś kłopot?

— Nie. Zabiliśmy go.

— To świetnie. Gdzie jest?

— Tam, za tym drzewem.

Poszliśmy w to miejsce. Leżał tam świeżo odcięty łeb nosorożca, który był naprawdę nosorożcem. Był dwa razy większy od tego, którego ja zabiłem. Małe oczki miał zamknięte, a w kącie jednego z nich stała świeża kropla krwi jak łza. Łeb piętrzył się olbrzymio, a róg wyginał pięknym łukiem w górę i do tyłu. Ściągnięta skóra, zwisająca za głową, była gruba na cal i tak biała w miejscach nacięcia, jak świeżo rozkrajany orzech kokosowy.

— Ile on może mieć? Ze trzydzieści cali?

— Gdzie tam, psiakrew — odparł Pop. — Nie ma trzydziestu.

— ■ Ale on jest bardzo dobry, panie Jackson — rzekł Dan.

— Tak. Bardzo dobry — odparł Pop.

— Gdzieś go kropnął?

— Zaraz za obozem.

— Stał sobie w buszu. Słyszeliśmy, jak chrząkał — powiedział Dan.

— Myśleliśmy, że to bawół — rzekł Karl.

— On jest bardzo dobry — powtórzył Dan.

— Cholernie się cieszę, żeś go dostał — powiedziałem.

I tak staliśmy, my troje, chcąc mu powinszować, chcąc ucieszyć się szczerze z tego nosorożca, którego mniejszy róg był dłuższy od naszego dużego — tego olbrzymiego, ławookiego cudo-nosorożca, tego martwego, bezgłowego nosorożca ze snów, a zamiast winszować, mówiliśmy wszyscy jak ludzie, których chwyta na statku choroba morska, albo tacy, co ponieśli jakąś ciężką stratę finansową. Było nam wstyd, ale nie mogliśmy nic na to poradzić. Chciałem coś powiedzieć miło i serdecznie, a zamiast tego spytałem:

— Ile razy do niego strzelałeś?

— Nie wiem. Nie liczyliśmy. Chyba z pięć albo sześć.

— Zdaje się, że pięć — rzekł Dan.

Biedny Karl, mając naprzeciw siebie tych troje smętnolichych gratulantów, zaczynał czuć, jak odpływa zeń cała radość z nosorożca.

— My też mamy jednego — powiedziała P.O.M.

— A to świetnie — odrzekł Karl. — Większy niż ten?

— Gdzie tam. Parszywy wołek.

— To mi bardzo przykro — powiedział Karl. Myślał tak naprawdę i po prostu.

— Co ci, psiakrew, ma być przykro, jak masz takiego nosorożca? Niech to lichu, ale on piękny! Muszę wziąć aparat i sfotografować go.

Poszedłem po aparat. P.O.M. ujęła mnie pod rękę i także poszła przysuwając się do mnie.

— Papa, proszę cię, postaraj się zachować jak człowiek — powiedziała. — Biedny Karl. Przez ciebie jest mu strasznie nieprzyjemnie.

— Wiem o tym — odparłem. — Staram się tak zachować.
Dogonił nas Pop. Potrząsnął głową.
— Nigdy nie czułem się bardziej jak cztery litery — powiedział. — Ale to było jak kopniak w żołądek. Oczywiście w gruncie rzeczy bardzo się cieszę.
— Ja też — odparłem. — Wolałbym, żeby mnie pobił. Pan wie. Naprawdę. Ale dlaczego nie mógł zastrzelić po prostu dobrego? Ze dwa — trzy cale dłuższego niż mój? Czemu musiał dostać takiego, przy którym mój jest śmieszny? Ten nasz teraz po prostu głupio wygląda.
— Zawsze pan może sobie wspominać swój strzał.
— Cholera z tym strzałem. To tylko diabelny fuks. Boże, co to za piękna sztuka!
— No, weźmy się w kupę i spróbujmy zachować się wobec niego jak biali ludzie.
— Byliśmy o k r o p n i — rzekła P.O.M.
— Wiem — odparłem. — A przez cały czas starałem się być wesoły. Przecież, wiesz, jak się cieszę, że go ma.
— ■ Ogromnie byliście weseli. Jeden i drugi — rzekła P.O.M.
— A widziała pani M'Kole? — spytał Pop. M'Kola popatrzał ze zgnębieniem na nosorożca, potrząsnął głową i odszedł.
— To wspaniała sztuka — rzekła P.O.M. — Musimy zachować się przyzwoicie, tak żeby Karlowi było przyjemnie.
Ale już było za późno. Nie mogliśmy nic zrobić, żeby Karlowi było przyjemnie, i przez długi czas nam też nie było przyjemnie; Tragarze nadeszli do obozu z ładunkiem i widzieliśmy ich wszystkich i całą naszą wyprawę, podchodzących do miejsca, gdzie w cieniu leżał łeb nosorożca. Wszyscy milczeli. Tylko oprawiacz uradował się widząc takie nosorożca w obozie.
— ■ M'uzuri sana — powiedział do mnie. Potem zmierzył róg przesuając po nim coraz dalej dłoń z rozstawionymi palcami. — Kubwa sana!
— N'Dio. M'uzuri sana — przyznałem.
— B'wana Kabor go zabić?
— Tak.
— M'uzuri sana.
— Tak — przyznałem. — M'uzuri sana.

Oprawiacz był jedynym dżentelmenem z całego zespołu. Podczas każdego polowania staraliśmy się zawsze unikać rywalizacji. Karl i ja dawaliśmy sobie nawzajem lepszą szansę do wszystkiego, co się pokażało. Naprawdę bardzo go lubiłem, on zaś był zupełnie niesamolubny i ogromnie ofiarny. Wiedziałem, że mogę go przestrzelać i zawsze mogłem go przetrzymać w chodzeniu, a jednak stale zdobywał trofea,

przy których moje wyglądały jak karzelki. Niektóre jego strzały do zwierzyny były najgorsze, jakie w ogóle widziałem, natomiast ja podczas tej wyprawy strzeliłem źle tylko dwa razy: do Granta i kiedyś do dropia na równinie, a jednak pokonywał mnie we wszystkich namacalnych rzeczach, jakie mieliśmy do pokazania. Przez jakiś czas żartowaliśmy na ten temat i myślałem, że to się wyrówna. Ale się nie wyrównało. Teraz, polując na nosorożce, ja pierwszy spróbowałem tej okolicy. Jego wysłaliśmy po mięso, a sami poszliśmy na nowe tereny. Nie potraktowaliśmy go źle, ale i nie za dobrze, a jednak mnie pobił. Nie tylko pobił; to byłoby w porządku. Przy jego nosorożcu mój wydawał się tak mały, że nigdy nie mógłbym go trzymać w tym samym niewielkim miasteczku, gdzieśmy obaj mieszkali. Po prostu go unicestwił. Ja miałem do wspomniania ten mój strzał, i nic nie mogło mi tego odebrać, tylko że był tak cholernie cudowny iż wiedziałem, że mimo całej mojej nieboskiej pewności siebie wcześniej czy później zacznę się zastanawiać, czy to w gruncie rzeczy nie był fuks. Stary Karl dał nam porządną szkołę tym nosorożcem. Siedział teraz w namiocie i pisał list.

Pod płatem namiotu-jadalni omówiliśmy z Popem, co teraz trzeba zrobić.

— On już w każdym razie ma nosorożca — rzekł Pop. — To nam zaoszczędzi czasu. A pan nie może poprzestać na tym jednym.

— Nie.

— Ale ta okolica jest do niczego. Coś tu jest nie w porządku. Posępny twierdzi, że zna dobre tereny około trzech godzin drogi stąd samochodem i jeszcze jakąś godzinę z tragarzami. Możemy się tam wybrać dziś po południu z małą wyprawą i odesłać ciężarówkę, a Karl może jechać z Danem do M'utu-Umbu i tam ustrzelić oryksa.

— Świetnie.

— Ma także szansę dostać lamparta przy ścierwie tego nosorożca dzisiaj wieczorem albo jutro rano. Dan mówi, że słyszał jednego. My spróbujemy zabić nosorożca na tym terenie Posępnego, a potem pan przyłączy się do nich i zapoluje na kudu. Na nie musimy sobie zostawić dużo czasu.

— Świetnie.

— Nawet gdyby pan nie dostał oryksa. Gdzieś go pan przecież złapie.

— Gdybym go w ogóle nie dostał, to też nic nie szkodzi. Dobierzemy się do niego innym razem. Ale chciałbym mieć kudu.

— Będzie pan miał. Z całą pewnością.

— Wolałbym mieć jednego dobrego niż wszystko inne. Te nosorożce guzik mnie obchodzą poza frajdą samego polowania. Tylko że

chciałbym mieć takiego, który by nie wyglądał "głupio przy tym jego nosorożcu ze snów.

— Bezwzględnie.

Powiedzieliśmy to więc Karlowi, a on odrzekł:

— Jak chcecie. Jasne. Mam nadzieję, że zabijesz dwa razy większego.

Naprawdę tak myślał. Teraz już był w lepszym nastroju i my wszyscy także.

Tereny Posepnego, kiedyśmy tam dotarli tego wieczora po uciążliwej jeździe przez czerwone, pokryte gęstym buszem wzgórze, wydały nam się okropne. Znajdowały się na skraju pasa, w którym na wszystkich drzewach powycinano pierścienie kory, żeby wytepić muchy tse-tse. A naprzeciwko obozu była brudna, zakurzona wioska krajowców. Ziemia była czerwona, pożłobiona od erozji i zdawało się, że wiatr ją zwiewa, a obóz urządzono na jakimś wydmuchu, w wątlym cieniu kilku uschniętych drzew, na zboczu wzgórze nad małym strumieniem, za którym była owa wioska z gliny.

Zanim się ściemniło, wyszliśmy z Posepnym i dwoma miejscowymi przewodnikami, minęliśmy wioskę i po długim podchodzeniu pod górę wydostaliśmy się na szczyt usianego kamieniami pagórka, który wznosił się nad głęboką doliną, będącą nieomal kanionem. Po drugiej stronie schodziło stromo do tego kanionu kilka krętych dolinek. Rosły w nich gęste drzewa, grzbiety między dolinkami miały trawiaste stoki, a powyżej był zwarty bambusowy las na górze. Kanion zbiegał do doliny Rift i zdawał się zwężać na końcu, tam gdzie przerzynał się przez jej ścianę. Dalej, nad trawiastymi grzbietami i stokami, były gęsto zalesione wzgórza. Okolica wydawała się piekielna do polowania.

— Jeżeli się zobaczy jakieś zwierzę po drugiej stronie, trzeba będzie zejść prosto na dno kanionu. Potem pod górę przez którąś z tych kęp zarośli i przez tę przekłętą zlebę. Nie można go będzie mieć cały czas na oku i człowiek się zamorduje tą wspinaczką. Tam jest piekielnie stromo. To są takie same niby to niewinne zlebę, w jakie się dostaliśmy wracając tamtej nocy.

— Wygląda to bardzo niedobrze — przyznał Pop.

— Polowałem kiedyś w takim terenie na jelenia. Na południowym stoku Timber Creek w Wyoming. Te wszystkie zbocza są za strome. To jest diabelstwo. Zanadto poszarpane. Jutro dostaniemy porządną szkołę.

P.O.M. nic nie mówiła. Pop nas tu przyprowadził i Pop nas stąd wyprowadzi. Ona miała tylko jedno do roboty: pilnować, żeby buty nie obtarły jej nóg. Nogi bolały ją już trochę i to było jej jedyne zmartwienie.

Rozwodziłem się dalej nad trudnościami terenu i wróciliśmy w ciemnościach do obozu, wszyscy bardzo osowiali i pełni uprzedzeń do Posępnego. Ogień płonął jasno na wietrze i siedzieliśmy, obserwowali księżyc i słuchali hien. Kiedyśmy coś niecoś wypili, okolica wydała nam się mniej zła.

— Posępny przysięga się, że tu jest dobrze — mówił Pop. — Tylko powiada, że nie tutaj chciał przyjść. To miało być inne miejsce, trochę dalej. Ale przysięga, że i to jest dobre.

— Uwielbiam Posępnego — rzekła P.O.M. — Mam do niego zupełne zaufanie.

Posępny podszedł do ogniska z dwoma krajowcami niosącymi włócznie.

— Co on tam słyszał? — spytałem.

Krajowcy coś pogadali, po czym Pop rzekł:

— ■ Jeden z tych sportowców twierdzi, że dzisiaj gonił go olbrzymi-nosorożec. Oczywiście prawie każdy musiał się wydawać olbrzymi, jeżeli go gonił.

— Niech pan zapyta, czy miał duży róg.

Krajowiec pokazał, że róg był długi jak jego ręka. Posępny wyszczerzył zęby.

— Powiedz mu, żeby sobie poszedł — rzekł Pop.

— Gdzie to się wszystko działo?

— A, gdzieś tam — odparł Pop. — Wie pan. O, tam. Gdzieś daleko. Tam, gdzie te rzeczy zawsze się dzieją.

— To cudownie. Akurat tam, gdzie chcemy iść.

— Jedno jest dobre: że Posępny wcale nie upadł na duchu — rzekł Pop. — Wydaje się bardzo pewny siebie. Ostatecznie to jego impreza.

— Tak, ale my musimy robić tę 'wspinaczkę.

— Niech pani trochę rozchmurzy męża — powiedział Pop do P.O.M. — Działa na mnie strasznie przygnębiająco.

— Może byśmy pomówili o tym, jak świetnie strzela?

— Jeszcze o wiele za wczesna pora. Wcale nie jestem ponury. Już widywałem taką okolicę. To nam na pewno dobrze zrobi. Trochę panu brzuch spadnie, szefie.

Następnego dnia przekonałem się, że myliłem się całkowicie co do tej okolicy.

Zjedliśmy śniadanie przed świtem, a przed wschodem słońca byliśmy już w drodze, wspinając się gęsiego na wzgórze za wioską. Na przedzie szedł miejscowy przewodnik z włócznią, za nim Posepny z moim ciężkim sztucerem i manierką wody, potem ja ze springfieldem, Pop z mannlicherem, P.O.M., zadowolona jak zawsze, że nic nie niesie, M'Kola z ciężkim sztucerem Popa i drugą manierką, a na końcu dwaj miejscowi obywatele z włóczniami, bukłakami z wodą i skrzynką od mięsa, w której był obiad. Uplanowaliśmy sobie, że przeleżymy południowy skwar i wrócimy dopiero o zmroku. Szło nam się doskonale w świeżym chłodzie poranka, zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczora, kiedy to brnęliśmy mozolnie tą samą ścieżką o zachodzie słońca, a wszystkie skały i ziemia buchały całodziennym upałem. Tą ścieżką chodziło stale bydło i ziemia była sucha jak proch, a teraz lekko zwilżona rosą. Było tu wiele tropów hien, a kiedy ścieżka weszła na grzbiet szarej skały, z której po obu stronach mogłeś zajrzeć w spadzisty wąwóz, dalej zaś pobiegła wzdłuż krawędzi kanionu, zobaczyliśmy świeży trop nosorożca na jednym z płatów piasku poniżej skał.

— Dopiero co tędy przeszedł — rzekł Pop. — Muszą tu się wszędzie waleśać po nocy.

W dole, na dnie kanionu, widzieliśmy czubki wysokich drzew, a w luce między nimi błysk wody. Dalej były strome zbocza i źleby, któreśmy oglądali poprzedniego wieczora. Posepny i miejscowy przewodnik, ten, którego gonił nosorożec, coś do siebie szeptali. Potem ruszyli spadzistą ścieżką, która długimi zakosami schodziła po zboczu kanionu.

Zatrzymaliśmy się. Nie zauważyłem, że P.O.M. kuleje i nagle wśród szeptów pełnych rodzinnego zacietrzewienia nastąpiło obustronnie-wysoce-pewne-własnej-racji starcie, historycznie dotyczące pantofli i butów, które były nie do noszenia w przeszłości, a aktualnie tych, które uwierały teraz. Dolegliwość została zmniejszona przez ucięcie palców grubych wełnianych skarpet, noszonych na zwyczajnych, następnie zaś, dzięki całkowitemu usunięciu tychże skarpet, same buty też zrobiły się znośne. Przy schodzeniu w dół po stromiźnie te hiszpańskie buty myśliwskie stawały się za krótkie w palcach i od dawna trwał spór na temat długości butów oraz tego, czy szewc — którego stronę wziąłem najpierw bez żadnej intencji, po prostu jako tłumacz, aby w końcu przyjąć w całości jego teorię z patriotyzmu i, jak mi się zdawało, przez logikę — przewyciężył to podnosząc obcas. Jednakże obecnie uwierały, co było logiką silniejszą, a sytuacji wcale nie poprawiło stwierdzenie, że nowe męskie buty zawsze uwierają całymi tygodniami, z nim się zrobią wygodne.

Teraz więc, po zdjęciu grubych skarpet, stąpała ostrożnie, wypróbowując nacisk butów na palce, i już było po kłótni, i starała się nie

cierpieć, tylko dotrzymywać nam kroku i przypodobać się panu Jot Pe, a ja wstydziłem się, że postąpiłem jak cztery litery w sprawie tych butów, że się mądrzyłem, kiedy chodziło o ból, że się mądrzyłem w ogóle, że zdarza mi się mądrzyć, i przystawaliśmy, by sobie o tym poszeptać, oboje uśmiechaliśmy się z tego, cośmy sobie szeptali, i już wszystko było dobrze, buty bez tych grubych skarpet też znacznie lepsze, ja nie nawidziłem w tej chwili wszystkich mądrzących się drani, w szczególności jednego nieobecnego znajomego z Ameryki, i wyłączyłem już siebie z tej kategorii, pewien, że nigdy więcej nie będę się mądrzył, i obserwując Posępnego, który szedł przodem, schodziliśmy po długiej pochyłości na dół kanionu, gdzie drzewa były gęste i wysokie, a jego dno, które z góry wydawało się wąską szczeliną, rozwierało się ukazując strumień o zielonych brzegach.

Przystanęliśmy w cieniu drzew o wielkich gładkich pniach, obwiezionych u dołu korzeniami, które biegły po nich krągłymi obrzmieniami niby arterie; pnie miały żółtawozieloną barwę francuskiego lasu w zimowy dzień, po deszczu. Ale konary tych drzew były bardzo rozłożyste i okryte liśćmi, a poniżej, w łożysku strumienia, w słońcu, rosły trzciny podobne do papirusu, gęste jak pszenica i wysokie na dwanaście stóp. W trawie, wzdłuż strumienia, była ścieżka wydeptana przez zwierzynę i Posępny stał pochylony, przypatrując się jej. M'Kola podszedł do niego, spojrzął, obaj przeszli kawałek, nisko schyleni, po czym zawrócili do nas.

— Nyati — szepnął M'Kola. — Bawoły.

Posępny poszeptał coś do Popa, a Pop rzekł cicho swoim gardłowym, wódczanym szeptem:

— Wzdłuż strumienia przechodziły bawoły. Posępny mówi, że tam jest kilka dużych byków. Jeszcze nie wracały.

— Chodźmy za nimi — rzekłem. — Wolę zabić jeszcze jednego bawołu niż nosorożca.

— Tu i na nosorożce tak samo jest szansa — rzekł Pop.

— ■ Jak Boga kocham, czy to nie świetny teren? — powiedziałem.

— Wspaniały — odrzekł Pop. — Kto by się spodziewał?

— Te drzewa są jak z obrazów Andresa — odezwała się P.O.M. — Bardzo tu pięknie. Spójrz na tę zieleń. Zupełnie Masson. Dlaczego tego kraju nie może zobaczyć jakiś dobry malarz?

— Jak tam buty?

— Świetnie.

Tropiąc bawoły szliśmy bardzo pomału i cicho. Wiatru nie było i wiedzieliśmy, że kiedy zerwie się powiew, nadleci ku nam kanionem od wschodu. Zeszliśmy po tropach do łożyska strumienia i im dalej, tym trawa była wyższa. Dwa razy musieliśmy się czołgać w trzcinach

tak gęstych, że nie widziało się nic na dwie stopy. Posępny znalazł też świeże ślady nosorożca w błocie. Zacząłem się zastanawiać, co by było, gdyby tak tym tunelem w trawach przygnał nosorożec, i co by kto robił. Było to emocjonujące, ale nieprzyjemne. Zanim przy-
pominało pułapkę, a poza tym należało pomyśleć o P.Oi.1 A później, kiedy strumień skręcił i wyszliśmy z wysokich traw na brzeg, bardzo wyraź-
nie zwietrzyłem zwierzynę. Nie palę i polując u nas w kraju, kilka
razy w okresie rui poczułem łosia, zanim go zahaczyłem, i mogę dosko-
nale zwąchać miejsce, gdzie stary byk leżał w lesie. Łoś ma silny, pi-
żmowy zapach. Jest to woń mocna, ale przyjemna, i znam ją dobrze,
natomiast tego zapachu nie znałem.

— Coś czuję — szepnąłem do Popa. Uwierzył m'.

— A co takiego?

— Nie wiem, ale to bardzo mocne. Pan nie czuje?

— Nie.

— Niech pan spyta Posępnego.

Posępny kiwnął głową i wyszczerzył zęby.

— Oni zażywają tabakę — rzekł Pop. — Nie wiem, czy mogą coś
wyczuć, czy nie.

Weszliśmy w inne trzciny sięgające nam wysoko nad głowy, stawia-
jąc cicho jedną stopę przed podniesieniem drugiej, stąpając parnału
jak we śnie albo w zwolnionym filmie. Teraz już ciągle czułem wyraź-
nie ten nieznany zapach, czasem mocniej, czasem słabiej. Nie podobał
mi się wcale. Byliśmy niedaleko brzegu i trop zwierzyny wchodził pro-
sto w długie trzęsawisko porośnięte trzcunami wyższymi od wszystkich,
przez jakie dotąd przechodziliśmy.

— Czuję to blisko jak diabli — szepnąłem do Popa. — Bez żartów.
Naprawdę.

— Wierzę panu — rzekł Pop. — Może byśmy wyleźli_c tu na brzeg
i obeszlili ten kawałek? Będziemy wtedy nad nim.

— Dobra. — A potem, kiedy znaleźliśmy się na górze, powiedziałem: — ■ Te wysokie badyle mnie peszą. Nie chciałbym w tym polować.

— A jak by się panu podobało polowanie w nich na słonia? — ;
szepnął Pop.

— Nie robiłbym tego.

— ■ Naprawdę poluje się na słonie w takiej trawie? — spytała
P.O.M.

— Owszem — odparł Pop. — Trzeba włożyć komuś na plecy, żeby
strzelić.

„Robią to jacyś lepsi ode mnie — pomyślałem. — Ja bym nie pró-
bował”.

Szliśmy trawiastym prawym brzegiem, po czymś w rodzaju progę,

teraz już na otwartym, obchodząc trzęsawisko porośnięte wysokimi, suchymi trzcinami. Dalej, na przeciwległym brzegu, były te gęste drzewa, a powyżej nich stroma ściana kanionu. Strumienia nie było widać. Nad nami, po prawej, wznosiły się wzgórza zadrzewione kępami buszu przypominającego sad. Na wprost, przy końcu trzęsawiska i trzcin, brzegi zbiegały się i gałęzie dużych drzew niemal przykrywały strumień.

Nagle Posępny schwycił mnie za ramię i obaj przykucnęliśmy. Wetknął mi w rękę duży sztucer i odebrał springfielda. Pokazał ręką i za zakrętem brzegu dojrzałem łeb nosorożca z długim wspaniałym rogiem. Łeb kołysał się z boku na bok i widziałem nastawione, strzygące uszy i małe, świńskie oczki. Odsunąłem bezpiecznik i dałem znak Posępnemu, żeby się położył. I wtedy usłyszałem jak M'Kola mówi: — Toto! toto! — po czym złapał mnie za rękę. Posępny szeptał bardzo prędko: — Manamouki! Manamouki! Manamouki! — i obaj z M'Kola opętańczo powstrzymali mnie od strzału. Była to krowa nosorożca z cielakiem i kiedy opuszczałem sztucer, prychnęła i z trzaskiem znikła w trzcinach. Cielaka w ogóle nie zobaczyłem. Widzieliśmy jeszcze rozkołysane trzciny tam, gdzie obydwaj biegły, po czym wszystko ucichło.

— Piekielna szkoda — szepnął Pop. — Miała piękny róg.

— Już byłem gotów ją kropnąć — powiedziałem. — Nie mogłem poznać, że to krowa.

— M'Kola zobaczył cielaka.

M'Kola coś szeptał do Popa kiwając głową z przejęciem.

— Mówi, że tu jest drugi nosorożec — rzekł Pop. — Że słyszał, jak prychał.

— Wejdźmy wyżej, żeby widzieć, jeżeli się wyrwą, i rzućmy tam czymś — powiedziałem.

— Dobra myśl — zgodził się Pop. — Może ten byk tam jest"

Podeszliśmy trochę wyżej na brzeg, skąd było widać jezioro wysokich trzcin, i kiedy Pop nagotował do strzału swój sztucer, a ja odbezpieczyłem mój, M'Kola cisnął kij w trzciny, w miejsce, gdzie słyszał prychanie. Rozległo się świszczące parskanie, ale w trzcinach nic się nie ruszyło. Potem usłyszeliśmy trzask trochę dalej i zahaczyliśmy trzciny rozchwiane od pędu czegoś, co gnało przez nie ku przeciwległemu brzegowi, ale nie widzieliśmy, co powoduje ten ruch. A później ujrzałem czarny grzbiet, rozłożyste, zadarte na końcach rogi i szybki, wspinający się pęd bawołu na drugim brzegu. Gnał pod górę prędko silnogięciem, z podniesioną i wyciągniętą szyją, łbem ciężkim od rogów i kłębem zaokrąglonym jak u walczącego byka. Wymierzyłem w punkt, gdzie szyja stykała się z łopatką, gdy wtem Pop mnie powstrzymał.

— Ten jest nieduży — powiedział cicho. — Nie strzelałbym, chyba że pan go chce na mięso.

Mnie się wydawał duży, a teraz przystanął bokiem, z zadartym i obróconym ku nam łbem.

— Mam jeszcze trzy do odstrzału, a niedługo stąd wyjeżdżamy — powiedziałem.

— To doskonale mięso — szepnął Pop. — No, to jazda. Wal go pan. Ale po'strzale bądź pan gotów na nosorożca.

Usiadłem, wymierzyłem duży sztucer, jakiś ciężki i obcy, w łopatkę bawołu, nacisnąłem spust i lufa drgnęła bez strzału. Zamiast łagodnego, czystego pociągnięcia springfielda z tyra gładkim, płynnym odpuszczeniem na końcu, cyngiel natrafił na coś, co przy naciskaniu wydawało się oporem metalu o metal. Było to tak, jak kiedy się strzela w koszmarnym śnie. Nie mogłem docisnąć do końca, ale poprawiwszy lufę po tym drgnięciu, wstrzymałem oddech i pociągnąłem za spust jeszcze raz. Wielki sztucer wypalił z kopnięciem i ogłuszającym hukiem, po którym zobaczyłem bawołu nadal na nogach, znikającego w lewo wspinającym się biegiem, i strzeliłem z drugiej lufy obrzucając mu zad wyrwanymi kawałkami skały i ziemią. Znalazł się poza zasięgiem strzału, zanim zdążyłem na nowo naładować dwulufowy .470, i wszyscy usłyszeliśmy fukanie i trzask, tam gdzie z drugiego końca trzciny wyrwał się inny nosorożec, który pobiegł między gęste drzewa w bok od nas, ukazawszy tylko na moment swój tułów w trzcinach.

— To był byk — rzekł Pop. — Poszedł w dół strumienia.

— ■ N'Dio. Doumi! Doumi! — Posepny nawoływał, że to byk.

— Trafiłem tego przekłętego bawołu — powiedziałem. — Bóg jeden wie, gdzie. Cholera z tymi wielkimi sztucerami. Ten spust wytrącił mnie z równowagi.

— Byłby go pan zabił ze springfielda — rzekł Pop.

— Przynajmniej bym wiedział, gdzie trafiłem. Myślałem, że z czterysta siedemdziesiątki albo go zabiję, albo spudłuję — powiedziałem. — A tak jest teraz ranny.

— Jeszcze pójdzie kawałek — odparł Pop. — Trzeba mu zostawić sporo czasu.

— Boję się, że mu dałem po miękkim.

— Trudno powiedzieć. Ponieważ biegł tak prędko, może leżeć martwy o sto jardów dalej.

— Do diabła z tym sztucerem — powiedziałem. — Nie umiem z tego strzelać. Spust ciągnie tak jak klucz do otwierania sardynek przy ostatnim skręcie.

— Chodźmy — rzekł Pop. — Tutaj jest Bóg wie ile rozproszonych nosorożców.

— A co z tym bawołem?

— Później będziemy mieli na niego dość czasu. Musimy zaczekać, aż zdrewnieje. Niech trochę zesłabnie.

— Co by to było, gdybyśmy siedzieli tam na dole i to wszystko na nas wyszło.

— Właśnie — rzekł Pop.

Wszystko to szeptem. Spojrzałem na P.O.M. Wyglądała jak ktoś, kto świetnie się bawi na komedii muzycznej.

— Widziałas, gdzie go trafiłem?

— Nie zauważyłam — szepnęła. — Myślisz, że jest ich tam więcej?

— Tysiące — odparłem. — Co robimy, Pop?

— Ten byk może być zaraz za zakrętem — odpowiedział. — Idziemy.

Poszliśmy w nerwowym napięciu wzdłuż brzegu i kiedyśmy doszli do wąskiego końca trzciny, znowu coś ciężkiego popędziło między wysokimi lodygami. Podniosłem broń czekając, co się pokaże. Ale widziałem tylko rozkołysane trzciny. M'Kola dał ręką znak, żeby nie strzelać.

— To cielak, psiakrew — rzekł Pop. — Musiały być dwa. Gdzież ten cholerny byk?

— Jak je się, u diabła, poznaje?

— Po wielkości.

Staliśmy spoglądając na łożysko strumienia, na cienie pod gałęziami dużych drzew i dalej w dół strumienia, gdy wtem M'Kola wskazał nam wzgórze po prawej.

— Faro — szepnął i podał mi lornetkę.

Na zboczku wzgórza, zwalisty, czarny, z wyciągniętym i zadartym łbem, spoglądając wprost ku nam, strzygąc uszami i kołysząc się, gdy chwycił nosem wiatr, stał inny nosorożec. W szklach wydawał się olbrzymi. Pop przypatrywał mu się przez swoją lornetkę.

— Nie lepszy niż ten, którego pan ma — powiedział cicho.

— Mogę go trzasnąć prosto w kark — szepnąłem.

— Ma pan jeszcze tylko jednego — odszepnął Pop. — Trzeba panu dobrego.

Podąłem lornetką P.O.M.

— Ja go widzę bez szkieł — powiedziała. — Olbrzymi.

— Może zaszarżować — rzekł Pop. — Wtedy będzie pan musiał go kropnąć. "

A potem, kiedyśmy patrzyli, inny nosorożec ukazał się zza rozłożystego drzewa o pierzastej koronie. Był znacznie mniejszy.

— Jak Boga kocham, to cielak — powiedział Pop. — A ten, to krowa. Dobrze, że pan do niej nie strzelił. Ale i tak może zaszarżować jak cholera.

— To ta sama? — szepnąłem.

— Nie. Tamta miała fajny róg.

Wszyscy odczuwaliśmy ta nerwowe rozweselenie, podobne do pi-jackiego śmiechu, jakie powoduje nagła nadobfitość, idiotyczna obfitość zwierzyny. Jest to uczucie, które mogą wywołać wszelkie zwierzęta czy ryby, zazwyczaj rzadkie, a nagle pojawiające się w śmiesznej, nie-wiarygodnej obfitości.

— Patrzcie na nią. Wie, że coś jest nie w porządku. Ale nie może nas dojrzeć ani zwietrzyć.

— Słyszała strzały.

•— Wie, że tu jesteśmy. Ale nie może nas zobaczyć.

Samica nosorożca wydawała się tak olbrzymia, tak śmieszna i tak dobrze było na nią patrzeć. Wycelowałem w jej pierś.

— Byłby ładny strzał.

— Doskonały — rzekł Pop.

■— Co będziemy robili? — spytała P.O.M. Była osobą praktyczną.

— Obejdziemy ją — odparł Pop.

— Jeżeli pójdziemy dołem, nasz zapach chyba tam nie doniesie, jak już ją minieme.

— Trudno powiedzieć — rzekł Pop. — Lepiej, żeby nie szarżowała.

Nie zaszarżowała, tylko w końcu spuściła łeb i weszła wyżej na wzgórze, a za nią ten prawie dorosły cielak.

— Teraz — rzekł Pop — puścimy najpierw Posepnego i zobaczymy, czy uda mu się znaleźć trop byka. Możemy na razie usiąść.

Usiedliśmy w cieniu i Posepny ruszył jednym brzegiem strumienia, a miejscowy przewodnik drugim. Wrócili i powiedzieli, że byk poszedł w dół.

— Czy ktoś widział, jakie miał rogi? — spytałem.

— Posepny mówi, że dobre.

M'Kola podszedł trochę wyżej na wzgórze. Teraz przykucnął i dał nam znak.

— Nyati — powiedział podnosząc rękę do twarzy.

— Gdzie? — zapytał go Pop. Tamten pokazał, skulony, i kiedyśmy się podczołgali do niego, podał mi lornetkę. Stały daleko, na wystającym grzbiecie jednego ze stromych zboczy po drugiej stronie kanionu, spory kawał w dół strumienia. Zobaczyliśmy sześć, potem osiem bawołów, czarnych, o ciężkich karkach, z błyszczącymi rogami, stojących na szczycie wyniosłości. Jedne się pały, a inne stały z podniesionymi łbami, ; wypatrując.

— Ten to jest byk — powiedział Pop patrząc przez lornetkę.

— Który?

— Drugi od prawej.

— Mnie się wszystkie wydają bykami.

— Są bardzo daleko. Ten to dobry byk. Teraz musimy przeprowić się przez strumień, podejść bliżej i spróbować dostać się nad nie.

— A czy zostaną na miejscu?

— Nie. Prawdopodobnie zejną do łożyska strumienia, jak tylko się zrobi gorąco.

— Chodźmy.

Przeszliśmy strumień najpierw po jednej kłodzie, potem po następnej i na drugiej stronie, w połowie zbocza, znaleźliśmy głęboko wydeptaną ścieżkę zwierzyny, biegnącą wzdłuż brzegu pod gęsto uliścionymi gałęziami drzew. Szliśmy dość szybko, ale ostrożnie, a pod nami łożysko strumienia było teraz przesłonięte zwartym listowiem. Było jeszcze wcześniej, ale zrywał się podmuch i liście poruszały się nad naszymi głowami. Przedostaliśmy się przez zbiegający do strumienia wąwóz, wchodząc w gęsty busz, żeby nie było nas widać, i schylając się, kiedyśmy przechodzili za drzewami przez małe polanki, a potem, wykorzystując garb wąwozu jako ochronę, wspieliśmy się wyżej, tak żeby dostać się wysoko na zbocze, nad bawoły, i potem zejść do nich. Przystanęliśmy pod osłoną grzbietu, ja pocąc się obficie i wtykając chustkę za skórę kapelusza, i posłaliśmy Posępnego na zwiady. Wrócił i powiedział, że bawoły poszły. Z góry ich nie widzieliśmy, więc ruszyliśmy na przełaj przez wąwóz i zbocze myśląc, że może uda się je przychwycić, gdy będą schodziły w łożysko strumienia. Następne zbocze było wypalone i u stóp wzgórza znajdowała się połać spalonego buszu. W popiele widniały ślady bawołów, pozostawione, kiedy schodziły w gęstą dżunglę łożyska strumienia. Było ono także i tutaj zbyt zarośnięte i za wiele było lian, żeby iść po śladach. W dół strumienia nie szły żadne tropy, więc wiedzieliśmy, że bawoły są w tej części łożyska, którą oglądaliśmy z góry, ze ścieżki. Pop twierdził, że tam nie można im nic zrobić. Gąszcz był taki, że gdybyśmy je poderwali, nie zdołalibyśmy strzelić. — Nie można by odróżnić jednego od drugiego — mówił. Zobaczyłoby się tylko mignięcie czegoś czarnego. Stary byk bywa popielaty, ale dobry byk stadny może być tak samo czarny jak krowa. Takie poderwanie ich nic by nie dało.

Była już dziesiąta i bardzo gorąco na otwartym, słońce parzyło, a powiew roznosił popiół wypalanej ziemi, kiedyśmy przechodzili. Teraz wszystko musiało siedzieć w gąszczach. Postanowiliśmy znaleźć cieniste miejsce, położyć się i poczytać w chłodzie, zjeść obiad i jakoś zabić czas przez skwarną część dnia.

Za wypaloną przestrzeń podeszliśmy do strumienia i przystanęliśmy, spoceni, w cieniu kilku ogromnych drzew. Rozpakowaliśmy nasze skórzane kurtki i nieprzemakalne płaszcze i rozłożyli je na trawie

u stóp drzew, tak żeby móc się oprzeć plecami o pnie. P.O.M. wyciągnęła książki, a M'Kola rozpalil małe ognisko i zagotował wodę na herbatę.

Zrywał się powiew i słyszeliśmy go w górnych gałęziach drzew. W cieniu było chłodno, ale jeżeli człowiek wychylił się na słońce albo jeżeli w trakcie czytania cień się przesunął tak, że którakolwiek część ciała znalazła się poza nim, słońce było dokuczliwe. Posępny poszedł rozejrzeć się dalej w dół strumienia; i kiedy tam leżeliśmy czytając, czułem zapach nadchodzącego upału, wysychanie rosy, żar na liściach i rozpalone słońce nad strumieniem.

P.O.M. czytała „Hiszpańskie złoto” George'a Birminghama i mówiła, że to niedobre. Ja nadal miałem ten „Sewastopol” Tolstoja i w tym samym tomie czytałem bardzo dobrą opowieść pod tytułem „Kozacy”. Był w niej letni upał, komary, atmosfera lasu w różnych porach roku i ta rzeka, przez którą przeprowiał się zagon Tatarów, i znowu żyłem w tamtej Rosji.

Rozmyślałem o tym, jaka prawdziwa jest ta Rosja z czasu naszej wojny domowej — równie prawdziwa jak każde inne miejsce, jak Michigan albo tamta preria na północ od miasta czy lasy wokół farmy Evansa. i o tym, jak dzięki Turgieniewowi czułem, że tam żyłem, podobnie jak przebywałem z rodziną Buddenbrooków, jak wchodziłem i wychodziłem przez okno w „Le Rouge et le Noir” i jak tamtego rana wjechaliśmy przez bramy Paryża i widzieli Salcede'a rozrywano go koźmi na Place de Greves. Widziałem to wszystko. I tym razem to mnie nie łamano kołem, ponieważ byłem uprzejmy dla kata, kiedy tracono Coconasa i mnie, i pamiętam Noc Świętego Bartłomieja, i jak tej nocy wyłapywaliśmy hugonotów, i jak mnie przydybano w jej domu, i nie było nic prawdziwszego niż to uczucie, gdy brama Luwru okazała się zamknięta, czy kiedy patrzyłem na jego ciało w wodzie, tam gdzie spadł z masztu; i wspominałem Włochy, zawsze lepsze od wszystkich książek, i to, jak leżałem w lasach kasztanowych, i jak w jesiennej mgle szedłem za Duomo przez miasto do Ospedale Maggiore stukając podkutymi butami po bruku, a na wiosnę te nagłe ulewy w górach i zapach pułku podobny do smaku miedziaka w ustach. I pociąg zatrzymał się w upale na stacji Dezenzano i oto było Lago di Garda, a tamte wojska to był Legion Czeski, a następnym razem padało, a znów następnym to było po ciemku, a następnym minąłem je ciężarówką, a następnym jechałem skądinąd, a następnym przyszedłem tam w ciemnościach pieszo z Sermione. Bo my bywaliśmy tam w książkach i poza książkami — a dokądkolwiek pójdziemy, tam wy możecie pójść tak samo jak my, jeżeli jesteście coś warci. Kraj w końcu ulega erozji, wiatr zdmuchuje pył, ludzie wymierają

i żaden z nich nie ma trwałego znaczenia poza tymi, co trudnią się sztuką, a ci chcą teraz zaprzestać swojej pracy, bo jest zbyt samotna, zbyt trudna i niemodna. Tysiąc lat czyni z ekonomii głupstwo, ale dzieło sztuki trwa zawsze, tylko jest bardzo trudne do stworzenia, a teraz jest niemodne. Ludzie nie chcą już tego robić, bo staną się niemodni, a te wszy, co pełzają po literaturze, nie będą ich wychwalały. Poza tym to jest bardzo trudne. Więc cóż? Więc będę dalej czytał o tej rzece, przez którą przepływa zagon tatarski, i o pijanym starym myśliwcu i dziewczynie, i o tym, jak tam było w różnych porach roku.

Pop czytał „Ryszarda Carvella”. Kupiliśmy wszystko, co było do kupienia w Nairobi, i książki już nam się prawie kończyły.

— Ja już to czytałem — powiedział Pop. — Ale to dobra rzecz.

— Słabo to pamiętam. Ale wtedy było dobre.

— Naprawdę świetna rzecz, ale żałuję, że już ją znam.

— A to jest okropne — powiedziała P.O.M. — Tego byście nie mogli przeczytać.

— Może chcesz tę?

— Nie bądź taki wytworny — odparła. — Nie. Już to skończę.

— No, masz. Weź.

— Zaraz ci oddam.

— M'Kola! — zawołałem. — Piwo?

— N'Dio — powiedział z mocą i ze skrzynki, którą jeden z krajowców przyniósł na głowie, wyjął owiniętą w słomę butelkę niemieckiego piwa, jedną z sześćdziesięciu czterech, które Dan kupił w niemieckiej placówce handlowej. Szyjkę miała obłożoną srebrną folią, a na czarno-żółtej etykiecie był jeździec w zbroi. Piwo było jeszcze chłodne po nocy i kiedy je otworzyliśmy kluczem do konserw, zabieliło się w trzech kubkach, gęstopieniste, treściwe.

— Nie — powiedział Pop. — Bardzo niedobre na wątrobę.

— Bierz pan.

— No, dobrze.

Napiliśmy się wszyscy, ale kiedy M'Kola otworzył drugą butelkę, Pop odmówił stanowczo.

— Pijcie. Wy to bardziej lubicie. Ja się przedrzemię.

— A biedna stara Mama?

— Tylko troszeczkę.

— Wszystko dla mnie — powiedziałem. M'Kola uśmiechnął się i potrząsnął głową na to picie. Oparłem się o drzewo, patrzyłem, jak wiatr napędza obłoki, i z wolna popijałem piwo z butelki. Tak było chłodniejsze, a w ogóle wyśmienite. Po chwili Pop i P.O.M. zasnęli, a ja wziąłem tę sewastopolską książkę i znowu czytałem „Kozaków”. To była dobra rzecz.

Kiedy się obudzili, zjedliśmy obiad złożony z płatów combra na zimno, chleba, musztardy i puszki śliwek i wypiliśmy trzecią i ostatnią butelkę piwa. Potem poczytaliśmy znpwu i zasnęliśmy wszyscy. Obudziłem się spragniony i właśnie odkręcałem kapsel manierki z wodą, kiedy usłyszałem fukanie nosorożca i trzask zarośli w łożysku strumienia. Pop już się zbudził i dosłyszał to też i bez słowa wzięliśmy sztucery i ruszyliśmy w kierunku, z którego dochodził ów hałas. M'Kola znalazł ślady. Nosorożec przyszedł wzdłuż strumienia, widocznie nas zwietrzył z odległości zaledwie około trzydziestu jardów i poszedł dalej. Przy tym kierunku wiatru nie mogliśmy iść po tropie, więc zatoczyliśmy koło od strumienia z powrotem do skraju tamtej wypalanej przestrzeni, żeby się znaleźć nad nim, a potem zaczęliśmy podchodzić bardzo ostrożnie pod wiatr, wzdłuż strumienia, przez gęsty busz, aleśmy go nie znaleźli. W końcu Posepny odszukał miejsce, gdzie wszedł na tamten brzeg i między wzgórze. Sądząc po tropach nie musiał być szczególnie duży.

Byliśmy daleko od obozu, co najmniej ze cztery godziny tą drogą, którąśmy przeszli, i wracając trzeba by sporo podchodzić pod górę, a już na pewno czekała na nas ta długa wspinaczka z kanionu; musieliśmy uporać się z rannym bawołem, więc kiedy znowu doszliśmy do skraju wypalonego terenu, uznaliśmy, że trzeba zabrać P.O.M. i ruszać w drogę. Było wciąż jeszcze gorąco, ale słońce już się zniżyło i znaczną część drogi mogliśmy przebyć gęsto ocienioną ścieżką zwierzęcą na wysokim brzegu strumienia. Kiedyśmy wrócili do P.O.M., udała oburzenie, żeśmy odeszli i zostawili ją samą, ale tylko tak przekomarzała się z nami.

Ruszyliśmy w drogę z Posepnym i tym jego oszczepnikiem na czele, idąc w cieniu ścieżki poprzerywanym słońcem, które wpadało między liście. Zamiast świeżego, porannego zapachu lasu czuło się teraz przykry smród podobny do kocich odchodów.

— Co to tak śmierdzi? — szepnąłem do Popa.

— Pawiany — odpowiedział.

Cała horda przeszła tu dopiero co przed nami i wszędzie leżało ich łajno. Doszliśmy tam, gdzie z trzciny wyszły nosorożce i bawół, i odszukałem miejsce, w którym jak mi się wydawało, stał bawół, kiedy strze- liłem. M'Kola i Posepny obkładali teren dokoła jak psy myśliwskie i właśnie myślałem sobie, że są co najmniej o pięćdziesiąt jardów za wysoko na brzegu, kiedy Posepny podniósł do góry liść.

— Znalazł farbę — powiedział Pop.

Podeszliśmy do nich. Było tam dużo krwi, teraz już czarnej na trawie, a trop łatwy do wypatrzenia. Posepny i M'Kola ruszyli naprzód po obu jego stronach, zostawiając go między sobą, i każdą plamę krwi flj

uroczyście pokazywali długą łodygą trawy. Zawsze myślałem, że lepiej, jeżeli jeden tropi pomału, a drugi obkłada przed nim, ale oni robili to w taki sposób, z pochylonymi głowami, pokazując trawą każdy zaschnięty rozbryzg, od czasu do czasu zaś, kiedy zgubiwszy trop odnajdywali go znowu, przystawali, by zerwać źdźbło trawy czy liść, na którym była czarna plama. Szedłem za nimi ze springfieldem, potem Pop, a za nim P.O.M. Posępny niósł mój duży sztucer, a Pop miał swój. M'Kola miał mannlichera P.O.M. zawieszono go na ramieniu. Nikt z nas się nie odzywał i wszyscy najwyraźniej uważali, że sprawa jest dość poważna. W dużych trawach znaleźliśmy farbę dosyć wysoko na łodygach po obu stronach tropu, tam gdzie bawół przechodził przez trawę. To oznaczało, że był przestrelony na wylot. Trudno było teraz rozróżnić pierwotną barwę krwi, ale przez chwilę miałem nadzieję, że może dostał w płuca. Jednakże natrafiliśmy między kamieniami na odchody zmieszane z krwią i odtąd przez jakiś czas zestawiał łajno tam, gdzie się wspinał pod górę, i za każdym razem miało plamy krwi. Wyglądało to więc na strzał przez trzewia albo przez żołądek. Coraz bardziej byłem tym zawstydzony.

— Jeżeli się pokaże, nie martw się pan o Posępnego czy innych — szepnął Pop. — Zejdę mu z drogi. Wał go pan.

— Prosto w nos — powiedziałem.

— Tylko niech pan nie próbuje żadnych sztuk — rzekł Pop.

Trop ciągle szedł pod górę, potem dwukrotnie robił pętlę do tyłu i przez pewien czas jakby wędrował bez planu między głazami. W jednym miejscu prowadził w dół, do strumienia, przechodził przez jego odnogę i zwracał na ten sam brzeg idąc coraz wyżej między drzewami.

— Myślę, że go znajdziemy martwego — szepnąłem do Popa. Ten bezcelowy zakręt sprawił, że zobaczyłem bawoła ciężko trafionego, idącego wolno, gotowego się położyć.

— Mam nadzieję — odparł Pop.

Jednakże ślady szły dalej, tam gdzie już było mało trawy, a tropienie o wiele wolniejsze i bardziej utrudnione. Nie widziałem teraz żadnych tropów, tylko prawdopodobny kierunek, jaki mógł obrać, potwierdzony błyszczącym, ciemnym rozbryzgiem zaschniętej krwi na kamieniu. Kilka razy gubiliśmy trop całkowicie i wtedy wszyscy trzej rozchodziliśmy się w różne strony, jeden go odnajdował, pokazywał, szeptał: — Damu — i znowu szliśmy dalej. W końcu zaprowadziło nas to z kamiennego wzgórza, oświetlonego resztkami słońca, w dół do łożyska strumienia, gdzie była długa, szeroka połać najwyższych suchych trzciny, jakieśmy dotąd widzieli. Były one dłuższe i grubsze nawet niż na tym bagnie, z którego rano wyszedł bawół, i wiodło do nich kilka tropów zwierzyny.

— Tam lepiej nie brać małej Memsahib — powiedział Pop.

— Niech tu zostanie z M'Kola — odrzekłem.

— Lepiej tam nie brać małej Memsahib — powtórzył Pop. — Nie \\ tern, dlaczego pozwoliliśmy jej przyjść.

— Może tu zaczekać. Posepny chce iść dalej.

— Ma pan rację. Zajrzyjmy tam.

— Poczekaj tu z M'Kola — szepnąłem przez ramię.

Weszliśmy za Posepnym w gęstą, wysoką trawę, która sięgała nam >> pięć stóp nad głowy, i posuwaliśmy się ostrożnie po śladach, schyleni do przodu, usiłując nie oddychać głośno. Przypominałem sobie bawoły, lak jak je widziałem wtedy, gdyśmy ubili trzy sztuki, i jak stary byk wyszedł ogłuszony z buszu i zobaczyłem jego rogi wygięte daleko do dołu, wysunięty pysk, małe ślepia, fałdy mięśni i tłuszczu na rzadko owłosionej, szarej, zkszczzonej szyi, jego ogromną moc i wściekłość, i czułem dla niego podziw i szacunek, ale już ruszał się wolno i przez cały czas, kiedyśmy strzelali, wiedziałem, że jest unieruchomiony i że go mamy. Teraz było co innego, tu nie mogło być szybkich strzałów, walenia w niego, kiedy wychodzi zamroczony na otwarte; jeżeli pokaże się teraz, muszę być spokojny w środku i strzelić mu w nos, gdy wyjdzie na sztych. Będzie musiał schylić łeb, żeby ubość, jak każdy byk, a wtedy odłoni tamto dobrze znane miejsce, w którym chłopcy na arenie moczą sobie krwią knykcie, i wsadzę mu tam kulę, a potem muszę odskoczyć na bok w trawę i odtąd będzie kolej na Popa, chyba że zdołam utrzymać sztucer przy skoku. Byłem pewien, że uda mi się wsadzić mu tak kulę i odskoczyć, jeżeli potrafię wyczekać, aż schyli łeb. Wiedziałem, że mogę to zrobić i że ten strzał go zabije, tylko ile czasu to potrwa? Na tym wszystko polegało. Ile czasu to potrwa? Teraz, idąc naprzód, pewien, że tam jest, czułem to podniecenie, to najlepsze ze wszystkich, jakie daje pewność, że zbliża się akcja, akcja, w której ma się coś do zrobienia, w której można zabić, a samemu wyjść cało, czyniąc coś, czego się nie zna, a zatem nie lęka, i nie mając przy sobie nikogo takiego, o kogo by trzeba się niepokoić, i żadnej odpowiedzialności poza dokonaniem czegoś, co na pewno potrafi się dokonać — więc szedłem cicho naprzód, obserwując plecy Posepnego i pamiętając, żeby pot nie zalewał mi okularów, gdy wtem usłyszałem jakiś szelest za nami i obróciłem głowę. Była to P.O.M. idąca z M'Kola naszym śladem.

— Na miłość boską! — powiedział Pop. Był wściekły.

Wyprowadziliśmy ją z powrotem z trawy na brzeg i wytłumaczyli, że musi tam zostać. Poprzednio nie zrozumiała, że ma zaczekać w tyle. Usłyszała, że coś do niej szepnąłem, ale myślała, że chcę, aby szła za mną z M'Kola.

— To mnie speszyciło — powiedziałem do Popa.

— Ona jest jak foksterierek — odrzekł. — Ale tu nie jest dobrze. Wyglądaliśmy nad te trawy.

— Posepny chce iść dalej — powiedziałem. — Pójdę tak daleko, jak będzie chciał. Jak powie: nie, to damy spokój. Ostatecznie postrzeliłem tego sukinsyna po miękkim.

— Ale nie trzeba robić żadnych głupstw.

— Potrafię zabić drania, jeżeli dojdę do strzału. A jak już się okaże, to musi być na strzał.

Strach o P.O.M., którego nam sama napędziła, sprawiał, że zachowywałem się hałaśliwie.

— Chodźmy — powiedział Pop.

Znowu poszliśmy za Posepnym i było coraz gorzej i gorzej; nie wiem jak Pop, ale ja w połowie drogi zamieniłem sztucer na ten duży, odbezpieczyłem go i trzymałem rękę na kabłąku spustowym i byłem już mocno zdenerwowany, kiedy Posepny przystanął, potrząsnął głową i szepnął: — Hapana. — Zrobiło się tak, że nie można było dojrzeć na stopę przed sobą, a ślad wciąż wił się i skręcał. Było naprawdę niedobrze, a słońce oświetlało już tylko zbocze wzgórza. Obaj byliśmy zadowoleni, że to Posepny musiał dać hasło do odwrotu, a ja poza tym uczułem ulgę. Miejsce, w któreśmy weszli za bawołem, było takie, że moje wymyślne plany strzeleckie wyglądały bardzo głupio i wiedziałem, iż można tam zrobić tylko tyle, żeby Pop go rąbnął ze swojej czterysta pięćdziesiątki, kiedy ja go zapewne spuđluję z tego parszywego sztucera. Nie miałem już zaufania do niczego poza jego hukiem.

Znów zaczęliśmy tropić, gdy wtem usłyszeliśmy krzyki tragarzy na zboczu i pognaliśmy przez trawę, chcę się wydostać na dość wysokie miejsce, aby mieć widoczność do strzału. Machali rękami i krzyczeli, że bawół wyszedł z trzcin i minął ich, i w tejże chwili M'Kola i Posepny zaczęli coś pokazywać, Pop złapał mnie za rękaw i pociągnął w miejsce, z którego mogłem lepiej widzieć, i wtedy, w świetle słońca, wysoko na zboczu wzgórza, zobaczyłem na tle skał dwa bawoły. Bardzo czarne, lśniły w słońcu, jeden był o wiele większy od drugiego i pamiętam, iż pomyślałem, że to nasz byk i że wziął sobie krowę, która nadała tempo i utrzymała go w biegu. Posepny podał mi springfielda, ja przełożyłem rękę przez pas i wycelowałem widząc w szczyrbinie całego byka, zamroziłem się wewnątrz, naprowadziłem muszkę na wierzch jego łopatki i kiedy zacząłem naciskać spust, on ruszył biegiem, więc założyłem przed niego i dałem ognia. Zobaczyłem, że spuścił łeb i podskoczył niczym kozłujący koń, który zbiega z pochylni, i kiedy wyrzuciwszy łuskę pchnąłem zamek do przodu i strzeliłem powtórnie, trochę za nim, w chwili gdy znikł mi z oczu, wiedziałem już, że go

mam. Posepny-i ja rzuciliśmy się pędem i kiedyśmy biegli, dosłyszałem gruby ryk. Przystanąłem i wrzasnąłem do Popa:

— Słyszysz pan? Mam go, mówię wam!

— Trafił go pan — odrzekł Pop. — Tak.

— Zabiłem go, psiakrew. Nie słyszał pan, jak ryknął?

— Nie.

— Niech pan słucha! — Staliśmy nasłuchując i znowu się to odezwało wyraźnie: długi, jękliwy, niewątpliwy ryk.

— Jak Boga kocham — rzekł Pop. Był to bardzo żaloszny odgłos.

M'Kola złapał mnie za rękę, Posepny klepnął w plecy i wszyscy ze śmiechem puściliśmy się biegiem, spoceni, gnając na grzbiet wzgórza między drzewami i po głazach. Musiałem przystanąć, żeby złapać tchu, serce mi waliło, otarłem pot z twarzy i przeczyściłem okulary.

— Kufa! — zawołał M'Kola nadając nieomal wybuchową siłę temu słowu, oznaczającemu: „zabity”.

— N'Dio! Kufa!

— Kufa! — powiedział Posepny szczerząc zęby.

— Kufa! — powtórzył M'Kola i znów uściskaliśmy sobie dłonie, nim zaczęliśmy dalej wdrapywać się pod górę. A potem zobaczyliśmy go przed sobą, powalonego na grzbiet, z szyją wyciągniętą na pełnią długość, leżącego całym ciężarem na rogach, wpartego w drzewo. M'Kola włożył palec w otwór od kuli na samym środku łopatki i z satysfakcją potrząsnął głową.

Pop i P.O.M. nadeszli z tragarzami.

— Jak Boga kocham, lepszy byk, niżesmy myśleli — powiedziałem.

— To nie ten sam. To dopiero jest byk. Tamten drugi, co był z nim, to musiał być nasz.

— Myślałem, że jest z krową. Tak daleko było, że nie mogłem rozpoznać.

— Musiało być ze czterysta jardów. Jak Boga kocham, potrafi pan strzelać do takich maleństw.

— Jak zobaczyłem, że spuszcza łeb między nogi i kozłuje, czułem już, że go mamy. Światło było doskonałe.

— Wiedziałem, że pan go trafił i że to nie ten sam byk. Więc myślałem, że będziemy mieli do czynienia z dwoma rannymi bawołami. Nie słyszałem pierwszego ryku.

— To było wspaniałe, jak zaryczał — powiedziała P.O.M. — Taki smutny głos. Zupełnie jak trąbienie na rogu w lesie.

— Mnie się wydało strasznie wesołe — rzekł Pop. — Jak Boga kocham, zasłużyliśmy sobie, żeby to oblać. To był strzał. Dlaczego pan nam nigdy nie mówił, że pan umie strzelać?

— Idź pan do diabła.

— A wie pani, że on poza tym jest doskonałym tropicielem, a jakim strzelcem do pióra! — zwrócił się do P.O.M.

— Czy to nie piękny byk? — spytała P.O.M.

— Świetny. Niestary, ale ma doskonałe rogi.

Spróbowaliśmy zrobić zdjęcia, ale mieliśmy z sobą tylko mały aparat skrzynkowy i migawka się zacięła, więc wyniknął zażarty spór na temat migawki, a tymczasem się ściemniało; ja byłem zdenerwowany, rozdrażniony, pewny swojej racji, pompatyczny, kiedy mówiłem o tej migawce, i skłonny do przeklinania, ponieważ nie mogliśmy zrobić zdjęcia. Nie można utrzymywać się długo na poziomie takiego podniecenia, jakie czułem w tych trzcinach, a kiedy się zabije, nawet choćby tylko bawołu, człowiek staje się trochę* cichszy 'wewnętrznie'. Zabijanie nie jest uczuciem, które można z kimś dzielić; napiłem się wody i powiedziałem P.O.M., iż żałuję, że zachowałem się jak drań w sprawie tego aparatu. Odpowiedziała, że nic nie szkodzi, i znowu wszystko było dobrze, i przyglądaliśmy się bykowi, podczas gdy M'Kola nacinał Skórę przed ściągnięciem jej ze łba, i staliśmy blisko siebie, bardzo wzajemnie czuli i rozumiejący już wszystko, ten aparat i w ogóle. Napiłem się whisky, ale nie miała smaku i nie poczułem od niej żadnego kopnięcia.

— Dajcie mi jeszcze jedną — powiedziałem. Ta druga była już dobra.

Zbieraliśmy się w drogę do obozu z tym gonionym przez nosorożca oszczepnikiem w charakterze przewodnika. Posepny miał oprawić łeb, a mięso poćwiartować i schować na drzewach, żeby się hieny do niego nie dostały. Bali się wracać pó ciemku, więc powiedziałem Posepnemu, że może zatrzymać mój duży sztucer. Oświadczył, że potrafi z niego strzelić, więc wyjąłem naboje, zabezpieczyłem broń i podając mu ją posiedziałem, żeby strzelił. Przyłożył sztucer do ramienia, przymknął nie to oko, co trzeba, i zaczął mocno ciągnąć i ciągnąć za spust. Wtedy pokazałem mu, co się robi z bezpiecznikiem, kazałem przesunąć go tam i z powrotem i kilka razy nacisnąć spust. M'Kola ogromnie się puszył podczas tych jego mozolnych prób strzelania z zabezpieczonej broni i Posepny zrobił się jakby bardzo malutki. Zostawiłem mu sztucer i dwa naboje i wszyscy zabrali się do ćwiartowania mięsa w zmroku, kiedyśmy ruszali za oszczepnikiem po tropach mniejszego bawołu, na których nie było farby, idąc przez wierzchołek wzgórze ku obozowi. Okrążaliśmy górą dolinki, przeprawiali się przez parowy, Schodzili w wąwozy i znowu wydrapywali się na wierzch, aż w końcu wydostaliśmy się na główny grzbiet wśród mroku i wieczornego chłodu, jeszcze przed wschodem księżyca, i brnęliśmy dalej, wszyscy bardzo zmęczeni. Raz M'Kola, obładowany ciężkim sztucerem Popa oraz kolekcją manierek,

lornet i chlebaków z książkami, wyryczał w ciemnościach na idącego przodem przewodnika potok czegoś, co brzmiało jak przekleństwa.

— Co on mówi? — spytałem Popa.

— Powiada, żeby się nie popisywał swoją szybkością. Bo jest między nami stary człowiek.

— Kogo ma na myśli: pana czy siebie?

— Nas obydwóch.

Nad brunatnymi wzgórzami ukazał się księżyc przydymionoczerwonej barwy; przeszliśmy przez pasma świateł wioski, gdzie wszystkie gliniane chaty były pozamykane na głucho i rozchodził się zapach kóz i owiec, a potem przez strumień i dalej po nagim stoku do miejsca, w którym płonęło ognisko przed naszymi namiotami. Noe była zimna i bardzo wietrzna.

Bano poszliśmy na polowanie, natrafiliśmy na ślady przy jakimś źródle i zaczęli tropić nosorożca po całej tej podobnej do sadu wyniosłości, dopóki nie zeszedł w dolinkę, która zbiegała stromo do kanionu. Było bardzo gorąco, a ciasne buty poprzedniego dnia obtarły P.O.M. nogi. Nie uskarżała się, ale widziałem, że ją bołą. Wszyscy byliśmy przepysznie, spokojnie zmęczeni.

— Niech te nosorożce szlag trafi — powiedziałem do Popa. — Nie mam ochoty na drugiego, chyba żeby był duży. Można polować cały tydzień, zanim się znajdzie dobrego. Poprzestańmy na tym, którego już mamy, zabierajmy się stąd i wracajmy do Karla. Tam możemy zapolować na oryksy, dostać te skóry zebr i pochodzić za kudu.

Siedzieliśmy pod drzewami na szczycie wzgórza, skąd było widać całą okolicę, kanion zbiegający do doliny Rift i jezioro Manyara.

— Zabawnie byłoby zabrać tragarzy i lekki sprzęt i popolować idąc przed nimi przez tę dolinę aż do jeziora — rzekł Pop.

— To byłoby świetnie. Można by posłać naokoło ciężarówkę, żeby na nas czekały w tym jak-się-to-nazywa?

— W Madzi-Moto.

— Dlaczego tak nie zrobić? — spytała P.O.M. /

— Zapytamy Posępnego, jaka jest ta dolina.

Posępny nie wiedział, ale oszczepnik wyjaśnił, że jest bardzo uciążliwa i trudna do przejścia tam, gdzie strumień spływa przez ścianę rozpadliny. Nie sądził, żebyśmy zdołali przedostać się z obciążeniem. Dałiśmy więc za wygraną.

— Jednak warto by zrobić taką wycieczkę — rzekł Pop. — Tragarze nie kosztują tyle, co benzyna.

— Nie moglibyśmy robić takich wycieczek, jak wrócimy? — spytała P.O.M.

— Owszem — odparł Pop. — Ale na dużego nosorożca trzeba pójść

aż na górę Kenia. Tam się dostanie porządnego. Tutaj najlepsze są kudu. W Kenii trzeba by dotrzeć aż do Kalalu, żeby dostać kudu. A potem, jeżeli coś zabijemy, będziemy mieli czas wybrać się w okolice Hai&deni na szablrogi.

*— No to idziemy — powiedziałem nie ruszając się z miejsca.

Już od dawna wszyscy cieszyliśmy się tym nosorożcem Karla. Byliśmy zadowoleni, że go ma, i to wszystko przybrało właściwą perspektywę. Może już do tej pory ustrzelił także i oryksa. Miałem nadzieję, że tak. Karl był porządnym chłopem i dobrze się stało, że zdobył tak wyjątkowo świetne trofea.

— Jak się czujesz, biedna stara Mamo?

— Doskonale. Jeżeli naprawdę mamy iść, to potem chętnie dam trochę odpocząć nogom. Ale uwielbiam takie polowanie.

— No to wróćmy, zjedzmy coś, zwińmy obóz i jedźmy tam dzisiaj.

Tego wieczora wróciliśmy do naszego dawnego obozu w M'utu-Umbu, pod dużymi drzewami, niedaleko od drogi. Był to nasz pierwszy obóz w Afryce i drzewa były tak samo wielkie, rozłożyste i zielone, strumień tak samo czysty i wartki, a obóz tak doskonały, jak wtedy, gdyśmy tam przybyli po raz pierwszy. Jedyne różnice polegały na tym, że teraz było goręcej nocą, na drodze piachu po piasty, a my obejrzelśmy tymczasem kawał kraju.

Jechaliśmy do doliny Rift piaszczyną czerwoną drogą przez wysokie płaskowzgórza, potem w górę i w dół po pokrytych buszem pagórkach i dalej dokoła zalesionego stoku aż na szczyt ściany rozpadliny, skąd był widok na równinę, gęsty las poniżej ściany i podłużne, wyschnięte u skrajów lśnienie jeziora Manyara, różowiejącego na końcu milionem maleńkich plamek, które były flamingami. Z tego miejsca droga opadała stromo w las po powierzchni ściany, a potem na płaszczyznę doliny i przechodziła przez obrzeżone gęstym lasem, uprawne kępy zielonej kukurydzy, bananów i drzew, których nazw nie znałem, mijając liczne chaty i skład towarów jakiegoś Hindusa, dalej przez dwa mostki na przezroczystych, bystro płynących strumieniach i znowu przez las rzędzący tu w otwarte polanki, aż wreszcie skręcała w piaszczystą odnogę, która prowadziła do wyboistej, pyłnej ścieżki biegnącej zarosłami ku cieniowi obozu M'utu-Umbu.

Tego wieczora, po kolacji, słyszeliśmy w ciemnościach zlatujące się flamingi. Przypominało to odgłos skrzydeł kaczek ciągnących przed świtem, ale było wolniejsze, równiejsze w rytmie i pomnożone ty-

siąckrotnie. Pop i ja byliśmy trochę pijani, a P.O.Mr bardzo zmęczona. Karl był znów osowiały. Odebraliśmy mu smak zwycięstwa nęd - nosorożcem, a teraz zresztą już to przeminęło i rozważał możliwość poniesienia klęski z oryksami. Poza tym nie zastali lamparta przy ścierwie nosorożca, kiedy tam poszli następnego rana, tylko cudownego lwa, olbrzymiego, czarnogrzywego lwa, który' nie chciał odejść, a! do którego nie mogli strzelać, bo był w jakimś tam leśnym rezerwacie.

— To fatalnie — powiedziałem i starałem się tym przejąć, ale wciąż jeszcze byłem zbyt zadowolony, żeby docenić czyjekolwiek zmartwienie, i siedzieliśmy z Popem, zmęczeni do szpiku kości, pijąc whisky z wodą sodową i rozmawiając.

Następnego dnia polowaliśmy na oryksy w wyschniętym pyle doliny Rift i w końcu znaleźliśmy stado daleko na skraju zadrzewionych wzgórz; po drugiej stronie doliny, nad wioską Masa jów. Oryksy przypominały masajskie osły, tyle że miały piękne, proste, odchyłone czarne rogi, i Wszystkie wydawały się dobre. Kiedy się lepiej przyjrzałem, dwa > brałem tego, który moim zdaniem był najlepszy, i kiedy stado się rozciągnęło, strzeliłem do niego. Dosłyszałem uderzenie kuli, zobaczyłem, że ten mój oddala się półkolem od reszty i biegnie coraz szybciej, i już wiedziałem, że go mam. Nie strzeliłem więc powtórnie.

Tego samego oryksa wybrał sobie także i Karl. Nie wiedziałem f o tym, ale strzeliłem, postępując świadomie w sposób samolubny, żeby przynajmniej tym razem zapewnić sobie najlepszego; Karl jednak ubił j innego dobrego, a reszta uciekła galopując w unoszonej przez wiatr chmurze szarego pyłu. Poza cudem ich rogów nie /więcej było przyjemności w strzelaniu do oryksów, niż gdyby były osłami, i kiedy nadjechała ciężarówka, a M'Kola i Czaro oprawili ich łby i pokrajali mięso, zawróciliśmy do obozu, w tumanach kurzu, z twarzami popielatymi od pyłu, przez dolinę, która była jednym długim mirażem z upa-
łu.

W tym obozie zostaliśmy dwa dni. Musieliśmy zdobyć skóry zebr, ■ któreśmy obiec iii przyjaciołom w kraju, a trzeba było trochę czasu, i żeby oprawiacz przygotował je, jak należy. Polowanie na zebr nie | było zabawne; terazy kiedy trawa wyschła, płaszczyna po tamtych | wzgórzach wydawała się nudną, gorącą i zakurzona, i obrazem, jaki mi z tego zostaje, jest siedzenie pod kocem mrówek, w oddali stado | zebr, które/wzbijając kurz galopuje w szarym oparze gorąca, na żółtej równinie piaki kołujące nad białą płachtą piasku, dalej drugie, tam zno-
wu trzecie, a kiedy się obejrzałem, pióropusz kurzu nadjeżdżającej ciężarówki z oprawiaczami i ludźmi, którzy mieli ćwiartować mięso dla wioski. W tym upale miałem kilka nieudanych strzałów do gazi

Granta, o której ubicie na mięso prosili mnie ochotnicy oprawiacze; zranilem ją w biegu chybiwszy uprzednio trzy czy cztery razy, a potem w tym upale podchodziłem po równinie prawie do południa, dopóki nie (doszedłem na strzał i nie zabiłem jej.

Ale tego popołudnia pojechaliśmy drogą przechodzącą przez osadę, minęliśmy skład towarowy Hindusa, który uśmiechnął się do nas z ddbrze naoliwionym, niefortunnohandlowym, ludzkim braterstwem pełnym kupieckiej nadziei, skręciliśmy w lewo na szlak zagłębiający się w las, na wąski, obrzeżony zaroślami szlak wśród gęstych drzew, który przechodził przez strumień po niepewnym mostku z kłoców i pali i biegł dalej, póki las nie zaczął rzednąć, i wjechaliśmy na trawiastą sawannę rozciągającą się aż po obrosłe trzciną, wyschnięte łożysko jeziora z dalekim błyskiem wody i różanością flamingów. W cieniu ostatnich drzew stało tam kilka chat rybaków, a przed nami wiatr wiał po trawach sawanny i widać było wyschłe, szarobiałe łożysko jeziora, po którego spieczonej powierzchni pomykały liczne drobne zwierzęta, spłoszone przez nasz samochód. Były to antylopy czerwone i wyglądały dziwnie i nieporadnie, kiedy się poruszały w oddali, natomiast zgrabnie i wdzięcznie, gdy je się oglądało stojące blisko. Skręciliśmy wozem przez gęste, krótkie trawy na wyschnięte dno jeziora i wszędzie, na lewo i prawo, tam gdzie spływały do niego strumienie tworząc pokryte trzciną bagno, poprzecinane kanałami wody i zbiegające ku cofniętemu jezioru, podrywały się kaczki i widzieliśmy duże stada gęsi rozrzucone na trawiastych kopczykach, które sterczały nad bagnem.

Wyschłe łożysko było twarde i ubite i jechaliśmy dalej, dopóki grunt przed nami nie zaczął wyglądać wilgotnie i miękko, a wtedy zostawiliśmy tam samochód, Karl wziął Czara, a ja M'Kołę, żeby nam nieśli naboje i ptaki, i uzgodniliśmy, że jeden pójdzie jedną stroną bagna, a drugi drugą i będziemy starali się strzelać i płoszyć ptaki, gdy tymczasem Pop i P.O.M. wejdą w skraj trzcin na lewym brzegu jeziora, gdzie inny strumień tworzył grząskie bagno, do którego według naszych przewidywań powinny były odlatywać kaczki.

Widzieliśmy, jak szli przez otwartą przestrzeń — duża, masywna sylwetka w spłowiałej welwetowej kurtce i druga, bardzo drobna, w spodniach, szarozielonkawej - kamizelce, butach i dużym kapeluszu — po czym zniknęli nam z oczu, przykucnąwszy w cyplu suchych trzcin, i dopiero wtedy ruszyliśmy. Ale kiedyśmy szli ku brzegowi strumienia, wkrótce przekonaliśmy się, że ten plan jest na nic. Nawet bardzo starannie wyszukując najpewniejszego oparcia dla stopy zapadaliśmy się po kolana w chłodne błoto, a kiedy stało się mniej grząskie i pojawiło się więcej kopczyków poprzedzielanych wodą, czasem wpa-

dałem po pas. Kaczki i gęsi rwały się za daleko na strzał, kiedy złoś pierwsze stado pofrunęło ku miejscu, gdzie tamtych dwoje ukryło się w trzcinach, i usłyszeliśmy ostry, płaski, podwójny huk dubeltówki P.O.M. i zobaczyli kaczki zataczające koło i odlatujące w stronę jeziora, pozostałe rozproszone kaczki i gęsi też odleciały na otwartą wodę. Stado ciemnych ibisów, wyglądających ze swymi wygiętymi dziobami jak wielkie kuliki, zerwało się z bagna po tej stronie strumienia, gdzie był Karl, i zatoczyło koło wysoko nad nami, zanim z powrotem zapadło w trzcinę. Na całym bagnie były bekasy i czarne i białe szlamiki, toteż w końcu, nie mogąc podejść na strzał do kaczek, zacząłem ku wielkiemu zgorzeniu M'Koli strzelać bekasy. Przeszliśmy przez bagnisko, potem przepравиłem się przez inny strumień, po ramiona t w wodzie, trzymając nad głową strzelbę i kurtkę myśliwską z nabojami w kieszeni, i w końcu, kiedy usiłowałem dostać się tam, gdzie byli P.O.M. i Pop, natrafiłem na głęboki strumień, nad którym latały cyranki, i zabiłem trzy sztuki.

Było już prawie ciemno, kiedy odnalazłem Popa i P.O.M. na drugim brzegu strumienia, u skraju wyschłego łożyska jeziora. Wszędzie wydawało się za głęboko, żeby przejść w bród, a dno było miękkie, ale w końcu znalazłem dobrze wydeptaną ścieżkę hipopotamów, która wchodziła do strumienia, i stąpając nią, czując pod stopą dość twarde dno, przedostałem się jakoś, aż po pachy w wodzie. Kiedy wyszedłem na trawę i stałem ociekając wodą, nadleciało bardzo szybko stado cyranek, więc obaj z Popem jednocześnie przykucnęliśmy do strzału już w zmirzchu i urznęliśmy trzy sztuki, które długim łukiem spadły ciężko w wysoką trawę przed nami. Zaczęliśmy szukać uważnie i znaleźliśmy wszystkie trzy. Szybkość poniosła je dużo dalej, niżesmy się spodziewali, i potem, już prawie po ciemku, zawróciliśmy do samochodu przez wyschnięte, szare błoto dna jeziora, ja cały przemoczony, < z wodą chlupiącą w butach, P.O.M. zadowolona z kaczek, pierwszych jakiesmy zabili od czasów Serengetti, a wszyscy wspominający, jakie wyborne były do jedzenia — i przed sobą widzieliśmy samochód, który wydawał się bardzo mały, dalej połąć płaskiego, spieczonego błota, a za nią trawiastą sawannę i las.

Następnego dnia wróciliśmy z wyprawy na zebry popielaci i obieni ; potem i kurzem, który samochód wzbijał, a wiatr zdmuchiwał na nas w powrotnej drodze przez równinę. P.O.M. i Pop nie pojechali z nami, bo nie mieli tam nic do roboty i nie musieli łykać tego pyłu, natomiast Karl i ja, tam na równinie, w zbyt silnym słońcu i w kurzu, mieliśmy jedną z tych sprzeczek, które zaczynają się od ; słów:

— Cóż to się stało?

\ — Za daleko były.

, — Ale nie na początku.

└ — Mówię ci, że za daleko.

— Trudno coś zrobić, jak się nie strzela.

— To sam strzelaj.

— Ja już mam dosyć. Potrzeba nam tylko dwanaście skór. Ty strzelaj.

A potem któryś, rozzłoszczony, strzela za szybko, aby pokazać, że żądano od niego, by strzelał za szybko, wstaje zza mrówczego kopca i odwracając się z niesmakiem, podchodzi do towarzysza, który pyta łaskawie:

— Cóż to się stało?

— Mówiłem ci, psiakrew, że były za daleko — tym razem z desperacją.

Ten łaskawy, z wyższością:

— Popatrz na nie.

Zebry, które odgalopowały, zobaczyły zbliżający się samochód oprawiaczy, zatoczyły koło i przystanęły bokiem, na łatwy strzał.

Wtedy tamten spogląda, nie mówi nic, bo jest zbyt rozzłoszczony, żeby strzelać. A potem:

— Proszę. Strzelaj.

Ten łaskawy, teraz bardziej przemądrzały niż kiedykolwiek, odmawia.

— Strzelaj ty — powiada.

— Ja już skończyłem — mówi tamten. Wie, że jest zbyt rozzłoszczony, by strzelać, i czuje, że mu zrobiono kawał. Coś zawsze robi mu kawał: konieczność czynienia pewnych rzeczy w niewłaściwym porządku albo niedokładne dyspozycje, w których mu nie podano szczegółów, albo mus robienia czegoś przy ludziach, albo pośpiech.

— Mamy jednaście — mówi ten łaskawy i już mu się robi przykro. Wie, że nie powinien tamtego popędzać, że trzeba go zostawić w spokoju, że tylko go denerwuje przynaglaniem i że znowu zachował się jak łaskawy, przemądrzały drań. — Możemy strzelić tę ostatnią kiedy indziej. Chodź, wracamy.

— Nie, musimy ją dostać. Ty strzelaj.

— Nie, wracajmy.

I kiedy samochód podchodzi, a potem jedzie się w kurzu, rozjątrzenie mija i znowu jest tylko poczucie krótkości czasu.

— O czym teraz myślisz? — pytasz. — Wciąż o tym, jaki ze mnie sukinsyn?

— O dzisiejszym popołudniu — odpowiada tamten i uśmiecha się żłobiąc zmarszczki w lepkim kurzu na twarzy.

— Ja także — mówisz. /

W końcu przychodzi popołudnie i wtedy wyruszacie. , /

Tym razem masz brezentowe buty do kostek, łatwe do wyciągnięcia, kiedy się grzęźnie, posuwasz się od kopca do kopca wynajdując ?
sobie drogę przez bagno, brodzisz i brniesz przez kanały, a kaczki tak jak przedtem odlatują na wodę, więc zataczasz długie koło w prawo, aby wyjść na samo jezioro, gdzie dno okazuje się twarde i pewne, i idąc po kolana w wodzie przedostajesz się poza wielkie stada, potem słysząc strzał i wtedy kucasz z M'Kola schylając głowę; i powietrze jest pełne kaczek, spuszczasz dwie, potem znów dwie, a potem jedną wprost nad głowę; i później chybiasz do innej, lecącej szybko, prosto i nisko w prawo, następnie znów zawracając ze świstem, mijając cię szybciej, niż nadążysz ładować i strzelać, zbarczasz kilka, które nadadzą się na wabia, a później dajesz tylko wymyślne strzały, bo wiesz, że masz już tyle, ile da się udźwignąć, i więcej nam nie potrzeba. Próbujesz jednej wysokiej, prosto nad głowę, odchylając się do tyłu, królewskim strzałem *coup de roi*, i wielka czarna kaczka spada rozbryzgując wodę obok M'Koli, on się śmieje, tamte cztery postrzałki zaczynają odplwać, więc postanawiasz, że lepiej je zabić i pozbierać. Musisz biec po kolana w wodzie, żeby móc sięgnąć ze strzelby ostatniego postrzałka, pośiizgujesz się i walisz na twarz i siedzisz kontent, że nareszcie jesteś zupełnie przemoczony, czujesz chłód wody na siedzeniu, cały jesteś skąpany w błonistej wodzie, przecierasz okulary i wylewasz wodę z luf zastanawiając się, czy zdążysz wystrzelić naboje, nim napęcznieją, a M'Kola jest rozbawiony tym upadkiem. Potem przykuca trzymając torbę pełną kaczek i górą przelatują gęsi na łatwy strzał, podczas gdy ty usiłujesz wcisnąć do lufy zamoczony nabój. Udaje ci się, strzelasz, ale już jest za daleko czy może strzeliłeś zanadto do tyłu, i po strzale widzisz chmurę flamingów zrywającą się w słońcu, tak że cały t horyzont jeziora robi się różowy. Potem znów zapadają. Ale później po każdym strzale obracasz się i patrzysz w odbicie słońca na wodzie, i widzisz szybki zryw owej niewiarogodnej chmury, a po nim wolne zapadanie.

— M'Kola — mówisz i pokazujesz.

— N'Dio — odpowiada przypatrując się im. — M'uzuri! — i podaje ci następne ładunki.

Wszystkim nam strzelało się dobrze, ale najlepiej było na jeziorze, i potem przez trzy dni, będąc w drodze, mieliśmy do jedzenia cyranki na zimno, najsmaczniejsze ze wszystkich kaczek, wyborne, tłuste i delikatne, z piklami Pan-Yan i czerwonym winem, które kupiliśmy w Babati, gdzieśmy siedzieli przy drodze, czekając na nadejście ciężarówek, na cienistym ganku małego hoteliku w Babati; a potem, późno

w nocy, kiedy ciężarówki nareszcie przyszły, pojechaliśmy do domu nieobecnego znajomego naszych znajomych, wysoko na wzgórzach, zziębnięci od nocnego chłodu, i zasiedliśmy do stołu w płaszczach, naczekawszy się tak długo na zepsutą ciężarówkę, żeśmy wszyscy pili o wiele za dużo i byli niewymownie głodni, P.O.M. tańczyła przy gramofonie z administratorem szamby kawowej i z Karlem, ja, nafaszerowany emetyną, z głową pękającą od bólu, pomyślnie topiłem ten ból w whisky z wodą sodową siedząc na ganku z Popem, w ciemnościach, na wietrze dmącym jak huragan, a potem te cyranki wjechały na stół, dymiące, ze świeżymi jarzynami. Perliczki są bardzo dobre i w pudełku śniadaniowym na tyle auta miałem teraz jedną, którą zamierzałem zjeść wieczorem, ale te cyranki były najlepsze ze wszystkiego.

Z Babati pojechaliśmy przez wzgórze na skraj równiny zadrzewionej na kształt długiej polany, za małą wioską, gdzie u stóp góry była placówka misyjna. Tam rozbiliśmy obóz, żeby zapolować na kudu, które miały być na porośniętych drzewami wzgórzach i w lesie na płaszczynach rozciągających się aż po skraj otwartej równiny.

7

Gorące to było miejsce na obóz, pod drzewami, które okorowano, aby uschły i żeby przez to odleciały muchy tse-tse, i ciężko było polować na wzgórzach stromych, pokrytych gąszczem i bardzo poszarpanych, wymagających uciążliwego podchodzenia przed wydostaniem się na wierzch, a za to łatwo na zadrzewionych płaszczynach, gdzie wędrowało się niczym przez park jeleni. Jednakże wszędzie były muchy tse-tse rojące się wokół człowieka, gryzące ostro w szyję, przez koszulę, w ręce i za uszami. Nosilem z sobą liściastą gałąź i idąc smagałem się nią po karku i tak polowaliśmy przez pięć dni od świtu do zmierzchu, wracając już po ciemku, śmiertelnie zmęczeni, ale radzi z chłodu i mroku, w którym tse-tse przestawały gryźć. Polowaliśmy na zmianę to na wzgórzu, to na płaszczynie, a Karl posepniał coraz bardziej, chociaż zabił piękną antylopę dereszowatą. Wyrobił sobie bardzo skomplikowany osobisty stosunek do kudu i tak jak zawsze, kiedy mu coś nie szło, była to czyjaś wina: przewodników, wyboru terenu, wzgórz, bo wszystko to go zawodziło. Wzgórze dawały mu ciężką szkołę, a do płaszczyn nie miał zaufania. Co dzień miałem nadzieję, że zabije kudu i że atmosfera się oczyści, ale co dzień jego stosunek do kudu komplikował nam polowanie. Nigdy nie chodził dobrze po górach i te wzgórza naprawdę dawały mu szkołę. Żeby mu ulżyć, starałem się brać na siebie większość górzystych podchodów, ale czulem, że teraz, kiedy się zmę-

czył, przypuszczał, iż kudu są właśnie na wzgórzach i że traci swoją szansę.

W ciągu tych pięciu dni widziałem z tuzin czy więcej łań kudu i jednego młodego byka ze stadkiem łań. Łanie były to duże, szare, przegowane antylopy o śmiesznie małych głowach, wielkich uszach i miękkich, szybkołotnych ruchach, które unosiły je między drzewami panicznym, grubobrzuchym pędem. Młody byk miał zaczątki spirali na rogach, które jednakże były krótkie i przysadkowate, i kiedy o zmierz- ;
chu przebiegał koło nas na końcu polany, trzeci w rzędzie sześciu łań, nję bardziej przypominał prawdziwego byka, niż łoś-szpiczak dużego, starego, grubokarkiego, ciemnogrzywego, płowskórego, ryczącego łośia o cudo-rosochach i budowie browarnego konia.

Innym razem, kiedyśmy o zachodzie wracali stromą doliną między wzgórzami, przewodnicy pokazali pod słońce, na szczycie pagórka, dwa szare, biało przegowane zwierzęta, którym widać było tylko tułowia między pniami drzew, i powiedzieli, że to byki kudu. Nie mogliśmy doj- i
rzeć ich rogów, a kiedyśmy się wydostali na szczyt wzgórza, słońce już zaszło i nie udało nam się odszukać tropów na skalistym gruncie. Ale ;
zdążyliśmy zobaczyć, że miały jakby dłuższe nogi niż tamte łanie, któ- ;
reśmy widzieli, i rzeczywiście mogły to być byki. Szukaliśmy ich po I
grzbietach wzgórz aż do zmroku, aleśmy ich więcej nie zobaczyli, a Karl J
też ich nie odnalazł nazajutrz, kiedyśmy go tam wysłali.

Podrywaliśmy wiele kozłów wodnych i raz, wciąż polując na grzbiecie wzgórza ze spadzistym parowem poniżej, natrafiliśmy na takiego kozła, który nas, usłyszał, ale nie zwietrzył, i kiedyśmy się zatrzymali bez ruchu, M'Kola chwycił mnie za rękę i przypatrzyliśmy mu się, stojącemu zaledwie o kilkanaście stóp od nas, pięknemu, ciemnemu, o masywnej szyi z ciemną brodą, i sterczących do góry rogach, drzącemu na całym ciele, gdy jego rozdęte chrapy chwytały wiatr. M'Kola szczerząc zęby zaciskał mocno palce na mojej kисти i widzieliśmy, jak wielki kozioł drży przed niebezpieczeństwem, którego nie może umiejscowić. A potem rozległ się daleki, ciężki huk czarnego prochu ze strzelby jakiegoś krajowca i kozioł skoczył i o mało nas nie roztrato-
wał, gdy pognął po grzbiecie wzgórza.

Innego dnia razem z P.O.M. opolowaliśmy całą zadrzewioną płaszczynę i właśnie wyszliśmy na skraj równiny, na której rosły tylko kępki buszu i sanseviery, gdy wtem usłyszeliśmy grube, gardłowe kaślanie. Spojrzałem na M'Kole.

— Simba — powiedział i nie miał zadowolonej miny.

— Wapi? — szepnąłem. — Gdzie?

Pokazał.

Szepnąłem do P.O.M.:

— To lew. Prawdopodobnie ten, któregośmy słyszeli dzisiaj z samego rana. Ty lepiej wróć do tamtych drzew.

^ Tuż przed świtem słyszeliśmy ryk lwa, kiedyśmy wstawali.

— Wolę zostać z tobą.

— To nie byłoby ładnie wobec Popa — odparłem. — Zaczekaj tam.

— Dobrze. Ale będziesz uważał na siebie?

— Strzelę tylko do stojącego i dopiero jak będę zupełnie pewny, że trafię.

— Dobrze.

— Chodźmy — powiedziałem do M'Koli.

Miał bardzo poważną minę i wcale mu się to nie podobało.

— Wapi Simba? — szepnąłem.

— Tam — odpowiedział ponuro i wskazał rozrzucone wysepki gęstych, zielonych, kolczastych krzaków. Dałem znak jednemu z przewodników, żeby zawrócił z P.O.M., i patrzyliśmy, jak odchodzą kilkaset jardów wstecz, do skraju lasu.

— Idziemy — powiedziałem.

M'Kola bez uśmiechu potrząsnął głową, ale ruszył za mną. Szliśmy naprzód bardzo powoli, zaglądając w sanseviere i usiłując coś przez nią dojrzeć. Nie widzieliśmy nic. A potem znowu usłyszeliśmy to kasznięcie, trochę przed nami i w prawo.

— Nie! — szepnął M'Kola. — Hapana, B'wana!

— Chodź — powiedziałem. Przytknąłem wskazujący palec do szyi, a duży odgiąłem w dół. — Kufa — szepnąłem chcąc dać do zrozumienia, że strzelę drania w szyję i położę go trupem.

M'Kola potrząsnął głową, twarz miał śmiertelnie poważną i spocną.

— Hapana! — szepnął.

Przed nami był kopiec mrówek, więc wdrapaliśmy się nań po poślubionej bruzdami glinie i z wierzchołka rozejrzeli się dookoła. Nie mogliśmy nic wypatrzeć w zielonym, do kaktusów podobnym gąszczu. Myślałem, że uda nam się zobaczyć lwa z kopca; teraz, zlazszy na dół, weszliśmy na jakieś dwieście jardów w głąb tej kaktusowej kępy. Raz znowu usłyszeliśmy kaszlanie przed nami, a raz, trochę dalej, pomruk. Był bardzo głęboki i robił duże wrażenie. Odkąd zeszliliśmy z kopca, nie miałem już do tego serca. Dopóki kopiec nie zawiódł, myślałem, że uda mi się dojść na bliski, dobry strzał i wiedziałem, że jeżeli zdołam zabić lwa samemu, bez Popa, będę miał potem przez długi czas dobre samopoczucie. Postanowiłem absolutnie nie strzelać, jeśli nie będę pewny, że go zabiję; zastrzeliłem już trzy i wiedziałem, na czym to polega, ale ten dawał mi więcej emocji niż cała wyprawa. Uważałem, że postępując tak byłem zupełnie w porządku wobec Popa, dopóki miałem

szansą na pewny strzał, ale to, w co się teraz wdawaliśmy, było niedobre. W miarę jakieśmy podchodzili, lew oddalał się, ale powoli. Widać nie chciało mu się ruszać, bo pewnie się naźarł wczesnym rankiem, kiedy słyszeliśmy jego ryk, i teraz miał chęć się położyć. M'Kola był wściekły. Ile w tym było poczucia odpowiedzialności za mnie wobec Popa, a ile własnego dojmującego strachu **przed niebezpiecznym zwierzem**, tego nie wiem. Ale **był bardzo zgnębiony. W końcu położył mi rękę na ramieniu, nieomal przytknął twarz do mojej twarzy i trzy razy gwałtownie potrząsnął głową.**

— Hapana! Hapana! Hapana **B'wana!** — zaprotestował stroskany, błagalnym tonem.

Ostatecznie nie **miałem prawa zabierać go tam, gdzie nie mogłem być pewien strzału, a zawrócenie z powrotem przyniosłoby mi osobiście głęboką ulgę.**

— No, dobrze — powiedziałem.

Zawróciliśmy **tą samą drogą, którąśmy przyszli, a potem przez otwartą pierię do drzew, gdzie czekała P.O.M.**

— Widzieliście go?

— Nie — **odpowiedziałem.** — Słyszeliśmy trzy czy cztery razy.

— Nie bałeś się?

— Odrobinę — **odparłem.** — Na samym końcu. Ale wolałbym go strzelić w tamtym miejscu niż **cokolwiek na świecie.**

— Oj, cieszę się, że już jesteś — **powiedziała.**

Wyjąłem słownik z kieszeni i **ułożyłem zdanie w łamanym isuaheli.** Szukałem słowa „lubi”.

— M'Kola lubi Simba?

M'Kola już mógł się uśmiechnąć i ten uśmiech poruszył chińskimi włoskami w kącikach jego ust.

— Hapana — odrzekł i machnął ręką przed twarzą. — Hapana! „Hapana” jest przeczeniem.

— Strzelać kudu? — zaproponowałem.

— Dobrze — odparł z uczuciem **M'Kola w języku suaheli.** — **Lepiej. Najlepiej. Tendalla, tak. Tendalla.**

Ale przy tamtym obozie ani **razu nie zobaczyliśmy byka kudu i w dwa dni później odjechaliśmy do Babati, a potem do Kondo, po czym prosto ku Handeni i wybrzeżu.**

Nigdy mi się nie podobał **ten obóz ani przewodnicy, ani okolica.** Sprawiała wrażenie, że już jest **przetrząsnięta i przestrzelana.** Wiedzieliśmy, że kudu tu są i książę **Walii zabił swojego z tego samego obozu,** ale w tym sezonie były tu już trzy wyprawy, krajowcy też polowali, rzekomo broniąc swoich zasiewów przed pawianami, chociaż kiedy się spotykało krajowca z oprawnym w mosiądz **muszkietem, człowiek**

się dziwił, że idzie on za pawianami dziesięć mil od swojej szamby aż do wzgórz, gdzie są kudu, aby dopiero tam do nich strzelać, toteż byłem całkowicie za tym, żeby się stąd wynieść i popробować nowych terenów w stronie Handeni, na których nikt z nas dotychczas nie był.

— No to jedźmy — powiedział Pop.

Te nowe tereny miały być czymś wspaniałym. Kudu jakoby wychodziły tam na otwarte i tylko się siadało, czekało na najogromniejsze, wybierało któregoś z odpowiednimi rogami i waliło do niego. Poza tym były też antylopy szablorgie i ustaliliśmy, że kto pierwszy zabije kudu, ten się przeniesie na ich tereny. Zaczynałem się strasznie tym cieszyć, a Karl też się radował perspektywą tego nowego, cudownego kraju, gdzie zwierzęta są tak nieprzebiegłe, że doprawdy aż żal je zabijać.

Wyjechaliśmy zaraz po świcie, przed resztą wyprawy, która miała zwinąć obóz i podążyć za nami w dwóch ciężarówkach. Zatrzymaliśmy się w Babati, w tym małym hoteliku nad jeziorem, dokupiliśmy jeszcze pikli Pan-Yan i napili się zimnego piwa. Potem ruszyliśmy na południe, drogą Przylądek-Kair, tu dobrze wyrównaną, gładką i starannie wytyczoną między zalesionymi wzgórzami, wznoszącymi się nad długą, żółtą połacią stepów masajskich, dalej w dół przez uprawny kraj, gdzie stare kobiety o zawiędłych piersiach i starcy o zapadniętych bokach i sterczących żebrach przekopywali motykami pola kukurydzy, następnie przez całe mile, pyłne mile takiej okolicy i wreszcie w spieczoną słońcem i pożłobioną od erozji dolinę, gdzie wiatr zdmuchiwał ziemię tumanami w naszych oczach, aż na koniec znaleźliśmy się w ocienionym przez drzewa, ładnym, bielonym, wzorowym niemieckim miasteczku garnizonowym Kondoa-Irangi.

Zostawiliśmy M'Kole na skrzyżowaniu dróg, żeby zatrzymał nasze ciężarówki, kiedy tu dojadą, postaviliśmy wóz w cieniu i zwiedzili cmentarz wojskowy. Zamierzaliśmy ułożyć wizytę zarządcy okręgu, ale jadł właśnie obiad i nie chcieliśmy mu przeszkadzać, więc po obejrzeniu cmentarza wojskowego, który był przyjemnym, schludnym, dobrze utrzymanym miejscem, równie dobrym jak każde inne do tego, żeby tam być nieboszczykiem, wypiliśmy w cieniu pod drzewem trochę piwa, które wydało nam się płynnym chłodem po rozpalonym do białości słońcu, uciskającym człowiekowi kark i ramiona, potem zapuściliśmy motor i wyjechali na skrzyżowanie dróg, by zabrać ciężarówki i ruszyć na wschód, do nowego kraju.

8

Był to kraj dla nas nowy, ale miał wszelkie znamiona krajów najstarszych. Droga była szlakiem wiodącym po występach litej skały, wydeptanym przez karawany i bydło, i wznosiła się na wzgórza wśród, usianego głazami bezdroża, między dwoma rzędami drzew. Kraj ten tak przypominał Aragonie, iż nie mogłem uwierzyć, że nie jesteśmy w Hiszpanii, dopóki zamiast mułów z sakwami nie spotkaliśmy tuzina bosonogich i gołogłowych krajowców, odzianych w białe bawełniane płótno, które nosili zebrane na ramieniu jak togę; gdy jednak nas minęli, wysokie drzewa przy drodze biegnącej po tych skałach znowu się stały Hiszpanią, i już kiedyś przebywałem tę samą drogę jadąc spiesznie tuż za koniem, obserwując potworność much, które mrowiły się wokół jego podogonia. Były to takie same muchy wielbłądzie, jakie tu znajdowaliśmy na lwacn. W Hiszpanii, jeżeli taki owad dostał ci się pod koszulę, musiałeś ją zdjąć, żeby go zabić. Włożył za kołnierz, na plecy, dookoła ręki i pod pachę, peźł do pępka i za pasek i jeżeli się go nie złapało, laźł tak inteligentnie i prędko, płaski i nierozgniatalny, że w końcu trzeba było rozebrać się zupełnie, żeby go zabić.

Tamten dzień obserwowania wielbłądzich much włączających koniowi pod ogon i fakt, że sam je miałem, przejął mnie taką zgrozą, że równej nie pamiętam, poza okresem, kiedy leżałem w szpitalu z prawą ręką złamaną między łokciem a ramieniem, przy czym ręka odwrotną stroną zwiślała mi na plecy, a ostry szpic kości przebił mięśnie bicepsu, aż w końcu przegniły, obrzmiały i pękły ociekając ropą. Wtedy, sam na sam z bólem, którejs nocy w piątym tygodniu niespania wyobraziłem sobie nagle, co musi czuć łoś, kiedy mu się strzaska łopatkę, a on ucieka, i owej nocy leżałem i czułem wszystko, co może się wtedy dziać, od uderzenia kuli aż do końca całej sprawy, i będąc trochę zamroczony myślałem, że może to, co przechodzę, jest kai*ą dla wszystkich myśliwych. Później, kiedy wydobrałem, doszedłem do wniosku, że jeżeli naprawdę było karą. to. ją poniosłem i teraz przynajmniej wiem, co robię. Nie zrobiłem nic, czego by nie zrobiono i mnie. Byłem postrzelony, byłem okaleczony i wyszedłem z tego. Zawsze spodziewałem się, że to czy tanto mnie zabije i naprawdę już się tym nie przejmowałem. Ponieważ nadal lubiłem polować, więc postanowiłem, że będę strzelał tylko dopóty, dopóki potrafię zabić czysto, a jak stracę tę umiejętność, to przestanę.

Jeżeli bardzo młodo odbędziesz służbę dla społeczeństwa, demokracji i innych rzeczy, i odmawiając wszelkiego dalszego zaciągu czynisz się odpowiedzialnym jedynie wobec siebie samego, wtedy zamieniasz miły, pokrzepiający odór współtowarzyszów na coś, czego nigdy nie

możesz odczuć inaczej jak sam jeden. Tego czegoś nie potrafię jeszcze w pełni określić, ale takie uczucie przychód;-!;, kiedy napiszesz o czymś dobrze i prawdziwie, i wiesz obiektywnie, że tak. to napisałeś, i chociaż temat się nie podoba tym, którym płacą, żeby te rzecz przeczytali i zdali z niej sprawę, wobec czego mówią, że to uszj-stko fałsz, ty jednak znasz bezwzględna tego wartość; albo kiedy robisz coś, czego ludzie nie uważają za poważne zajęcie, a jednak wiesz naprawdę, że to jest równie ważne i zawsze było równie ważne jak wszystkie rzeczy, które są w modzie, i kiedy jesteś z tym sam na morzu, wiesz, że ten Golfstrom, z którym współżyjesz poznając go, ucząc się go i kochając, płynnie tak, jak płynął przed pojawieniem się człowieka, i że przebiegał wzdłuż linii brzegów tej długiej, pięknej, nieszczęśliwej wyspy, jeszcze zanim ją ujrzął Kolumb, i że to wszystko, czego się o nim dowiadujesz i co w nim zawsze żyło, jest. wieczne i cenne, bo len prąd będzie płynął, tak jak płynął, po tym, gdy już i Indianie, i Hiszpanie, i Brytyjczycy, i Amerykanie, i wszyscy Kubańczycy. i wszelkie systemy rządów, i bogactwo, nędza, męczeństwo, poświęcenie, sprzedajność i okrucieństwo znikną podobnie, jak kiedy barka załadowana wysoko stosem śmiecia, pomalowana jaskrawo, biało nakrapiana, cuchnąca, przechyla się na burtę i wyrzuca swój ładunek w błękitną wodę, która przybiera bladzieloną barwę do głębokości czterech czy pięciu sążni, w miarę jak ów ładunek rozprasza się po powierzchni, a jego tonące części idą na dno; i wtedy zostaje zbieranina palmowych liści, korków, butelek, zużytych żarówek, czasem zaprawiona kondonem albo unoszącym się pod wodą gorsetem, podartymi kartkami ze studenckiego zeszytu, dobrze wzdętym psem, przypadkowym szczurem, nierozpoznawalnym już kotem — wszystko to pilnie dozorowane przez łodzie wylawiaczy odpadków, którzy przyciągają swą zdobycz długimi tykami, równie zaciekawieni, inteligentni i akuratni jak historycy, bo także mają swój punkt widzenia; i prąd bez żadnego widomego nurtu zabiera tego pięć ładunków dziennie, jeżeli wszystko dobrze idzie w Hawanie, a o dziesięć mil dalej wzdłuż brzegu jest taki klarowny, błękitny i niezmacony, jaki był zanim holownik przyciągnął barkę; i oto palmy naszych zwycięstw, zużyte żarówki naszych odkryć i puste kondony naszych wielkich miłości spływają nie mając żadnego znaczenia wobec jednej jedynej trwałej rzeczy — prądu.

Tak więc na przednim siedzeniu auta, myśląc o morzu i kraju, opuściłem po chwili Aragonie i jechaliśmy- wzdłuż szerokiej na pół mili, wyschniętej rzeki ze złocistego piasku, obrzeżonej zielonymi drzewami i poprzerywanej wyspami roślinności, w której to rzece woda jest pod piaskiem, a zwierzęta schodzą się nocą i grzebią w nim zakończonymi ostro kopytami i wtedy woda napływa, a one piją. Przejechaliśmy przez

tę rzekę i już robiło się popołudnie, na drodze mijaliśmy licznych ludzi, którzy opuszczali leżący przed nami kraj, gdzie był głód, teraz obok] drogi rosły niskie drzewa i gęste krzaki, a potem zaczęła piąć się pod górę i wjechaliśmy między jakieś błękitne wzgórza, stare, spłaszczone, zalesione wzgórza z drzewami podobnymi do buków i grupkami chat, gdzie dymił ogień i spędzano do zagród trzodę, stada owiec i kóz i gdzie były poletka kukurydzy, i wtedy powiedziałem do P.O.M.:

Zupełnie Galicja.

— Właśnie — odpowiedziała. — Przejechaliśmy dzisiaj przez trzy prowincje Hiszpanii.

— To naprawdę podobne? — zapytał Pop.

— Nie ma w ogóle żadnej różnicy — odparłem. — Tylko budynki. A tamta okolica Poępnego to znowu była zupełnie Navarra. Takie same złoża wapienne, cały układ terenu, drzewa wzdłuż szlaków wodnych i źródła.

— Diabelnie dziwna rzecz, jak można kochać jakiś kraj — rzekł Pop.

— Wy dwaj jesteście ogromnie głębcy — powiedziała P.O.M. — Ale gdzie założymy obóz?

— Tu — odrzekł Pop. — Równie dobrze jak gdzie indziej. Tylko, trzeba gdzieś znaleźć wodę.

Rozbiliśmy obóz pod drzewami w pobliżu trzech dużych studzien,; do których miejscowe kobiety przychodziły po wodę, i po wylosowaniu, gdzie kto ma polować, Karl i ja obeszliliśmy o zmroku dwa wzgórza po' drugiej stronie drogi, nad wioską tubylców.

— Tu wszędzie jest kraj kudu — powiedział Pop. — Możecie się na nie natknąć byle gdzie.

Jednakże nie zobaczyliśmy nic oprócz bydła Masajów między drzewami i wróciłem po ciemku, zadowolony z tego spaceru po całym dniu, w samochodzie, i zastałem obóz gotowy, a Popa i P.O.M. w pidżamach przy ognisku; natomiast Karla jeszcze nie było.

Przyszedł wściekły z jakiegoś powodu, pewnie dlatego, że nie znalazł kudu, był błydy, zmizerowany i nie odzywał się do nikogo.

Później, przy ognisku, zapytał mnie, gdzieśmy byli, na co odpowiedziałem, że chodziliśmy wokół naszego wzgórza, dopóki nasz przewodnik ich nie usłyszał, a wtedy weszliśmy prosto na szczyt, potem; w dół i na przełaj do obozu.

— Jak to, usłyszał nas?

— Mówił, że was słyszał. M'Kola też. i

— Zdawało mi się, że ciągnęliśmy losy, gdzie kto ma polować.]

— Owszem — odparłem. — Ale nie wiedzieliśmy, żeśmy przeszli na, waszą stronę, dopókiśmy was nie usłyszeli.

— A tyś nas słyszał?

— Usłyszałem coś — odparłem. — I kiedy przyłożyłem rękę do ucha, żeby posłuchać, przewodnik powiedział coś M'Koli, a M'Kola do mnie: — B'wana. — Ja na to: — Jaki B'wana? — A on: B'wana Kabor. — To ty. Więc pomyślałem, żeśmy już doszli do naszej granicy, toteż wdrapaliśmy się na szczyt i zawrócili.

Nic nie odpowiedział i minę miał bardzo zagniewaną.

— Nie złość się — rzekłem.

— Nie złościę się. Jestem zmęczony — odparł.

Łatwo mi było w to uwierzyć, bo nie ma człowieka bardziej łagodnego, wyrozumiałego i ofiarnego niż Karl, ale kudu stały się u niego obsesją i nie był teraz sobą ani nawet podobny do siebie.

— Lepiej, żeby już jak najprędzej dostał tego kudu — powiedziała P.O.M., kiedy odszedł do swego namiotu, aby się wykapać.

— Czy pan zawadził o jego teren? — zapytał mnie Pop.

— Nie, psiakrew.

— Dostanie kudu tam, gdzie się wybieramy — rzekł Pop. — Pewnie pięćdziesięciolowca.

— Tym lepiej — odpowiedziałem. — Ale jak Boga kocham, ja też bym chciał jakiegoś dostać.

— Będzie pan go miał, stary wygo — odparł Pop. — Nie mam cienia wątpliwości.

— No bo co u licha. Przecież zostało nam jeszcze dziesięć dni.

— Będziemy mieli i szablrogi, zobaczy pan. Jak tylko szczęście zacznie nam dopisywać.

— Jak długo pana klienci musieli polować na kudu w dobrym terenie?

— Trzy tygodnie, a potem wyjeżdżali nie zobaczywszy żadnego. A zdarzało się też, że trafiał im się od razu pierwszego rana. To jest polowanie z podchodu, tak jak się poluje na jelenie w kraju.

— Uwielbiam to — powiedziałem. — Ale nie chcę, żeby ten chłop mnie pobił. Pop, przecież on ma najlepszego bawołu, najlepszego nosorożca, najlepszego kozła wodnego...

— Pan go pobił swoim oryksem.

— Cóż to jest oryks?

— Będzie diablo ładnie wyglądał, jak pan go zawiezie do domu.

— Ja tylko tak żartuję.

— Biję go pan swoją impallą, swoim elandem. Ma pan pierwszorzędną antylopę buszową. Pański lampart jest równie dobry jak jego. Natomiast on pana pobije we wszystkim, do czego trzeba mieć szczęście. Ma, psiakrew, niebywałe szczęście, i to porządny chłop. Tylko zdaje się, że jest trochę nie w sosie.

— Pan wie, jak ja go lubię.. Jak mało kogo. Ale chcę widzieć, że ma z tego przyjemność. Nie jest zabawnie polować, jeżeli tak się do tego podchodzi.

— Zobaczy pan. Dostanie kudu w tym następnym obozie i poczuje się, jakby* go kto ha sto koni wsadził.

— Ach, bo ja jestem parszywy drań — powiedziałem.

— Oczywiście, że tak — odrzekł Pop. — Ale może by się czegoś napić?

— Dobrze — powiedziałem.

Karl wyszedł z namiotu, spokojny, przyjacielski, miły i pełen wyrozumiałej delikatności.

— Świetnie będzie, jak się dostaniemy na te nowe tereny — powiedział.

— Będzie fajnie — odparłem.

— Niech pan mi powie, jak tam jest, panie Phillips — rzekł do Popa.

— Nie wiem — odparł Pop. — Ale mówią, że bardzo przyjemne polowanie. Podobno żerują na otwartym. Ten stary Holender twierdzi, że tam jest kilka sztuk z nadzwyczajnymi rogami.

— Mam nadzieję, że strzelisz sześćdziesięciocalowca, chłopie — powiedział Karl do mnie.

— To ty takiego strzelisz.

— Nie — odparł Karl. — Nie kpij ze mnie. Będę zadowolony z każdego.

— Na pewno pan dostanie pierwszorzędnego — rzekł Pop.

— Nie kpijcie ze mnie — powiedział Karl. — Wiem, jakie miałem szczęście. Ale ucieszę się z byle jakiego kudu. Z byle jakiego byka.

Był bardzo łagodny, umiał odgadnąć, co kto sobie myśli, wybaczyć to i zrozumieć.

— Pocciwy stary Karl. — powiedziałem, rozgrzany whisky, zrozumieniem i sentymentem.

— Fajnie nam tu jest, co? — rzekł Karl. — A gdzie biedna stara Mama?

— Tutaj — odezwała się P.O.M. z cienia. — Ja jestem z tych cichych ludzi.

— Jak Boga kocham, że tak — powiedział Pop. — Ale potrafi pani od razu nakłuć starego, jak się rozpędzi.

— To właśnie czyni kobietę ogólną ulubienicą — odparła P.O.M. — Niech pan mi powie jeszcze jakiś komplement, panie Jot.

— Jak Boga kocham, pani jest dzielna jak mały foksterierek. — Pop i ja najwyraźniej wypiliśmy już sporo.

— To śliczne. — P.O.M. wsunęła się głębiej w krzesło, obejmując dłońmi swoje przeciwmoskitowe buty. Patrząc na nią widziałem w bla-

sku ognia jej pikowany niebieski szlafrok i światło na czarnych włosach. — Uwielbiam, jak dochodzicie do stadium małego foksterierka. Wtedy już wiem, że wojna nie może być daleko. Czy któryś z panów był może przypadkiem na wojnie?

— Czyśmy byli! — odparł Pop. — Dwa najodważniejsze dranie, jakich ziemia nosiła, a pani mąż jest nadzwyczajnym strzelcem do pióra i wybornym tropicielem.

— Teraz, kiedy się upił, słyszymy prawdę — powiedziałem.

— Zjedzmy coś — rzekła P.O.M. — Jestem naprawdę okropnie głodna.

O świcie byliśmy już w samochodzie, wyjechaliśmy na drogę, za wieś, a potem przez połąć gęstego buszu na skraj równiny, jeszcze zamglonej przed wschodem słońca, i tam zobaczyliśmy daleko żerujące elandy, które w świetle wczesnego poranka wydawały się olbrzymie i szare. Zatrzymawszy wóz na skraju buszu, wyskoczyliśmy i usiadłszy z lornetkami na ziemi, zobaczyliśmy, że między nami a elandami rozproszone jest stado kongoni, a przy nich pojedynczy byk oryks, podobny do tłustego masajskiego osła śliwkowej barwy, o cudownych, długich, czarnych, prostych, odchylnych do tyłu rogach, które było widać za każdym razem, gdy przestawał się paść i podnosił głowę.

— Chcesz go podejść? — zapytałem Karla.

— Nie. Idź ty.

Wiedziałem, że nie cierpi robić podchodu i strzelać przy ludziach, więc odrzekłem: — Dobrze. — Poza tym przez egoizm miałem ochotę strzelić, a Karl, nie był egoistą. Mięsa potrzebowaliśmy bardzo.

Ruszyłem drogą nie patrząc w stronę antylop, udając obojętność, ze sztucerem zawieszonym pionowo na lewym ramieniu, od strony przeciwnej niż zwierzęta. Zdawały się nie zwracać na mnie uwagi i pasły się spokojnie. Wiedziałem, że jeżeli skieruję się ku nim, od razu odejdą poza zasięg strzału, toteż gdy kątem oka zobaczyłem, że oryks znów* opuszcza łeb, żeby się paść, i że strzał wygląda na możliwy, przesunąłem rękę przez pas i kiedy podniósł głowę i zaczął odchodzić skosem, wycelowałem w wierzch jego grzbietu i nacisnąłem spust. Przy strzale do zwierzyny nie słyszy się huku, natomiast kłaśniecie kuli rozległo się wyraźnie w chwili, gdy byk ruszał pędem w prawo, a cała równina zaroila się od zwierząt biegnących na tle wschodzącego słońca — długonogich, groteskowych kongoni, które galopowały ruchem konia na biegunach, elandów przechodzących ciężko od kłusa do cwału i jeszcze jednego oryksa, którego dotąd nie zauważyłem, a który biegł razem z kongoni. To nagle ożywienie i panika tworzyły tło dla tego, którego wybrałem; teraz odkłusowywał skosem z podniesionymi wysoko rogami, więc przystanąłem, żeby strzelić do niego w biegu, wziąłem

go na muszkę widząc w szczyrbinie całego zwierza **jak** miniaturkę; podniosłem lufę nad jego łopatkę, założyłem do przodu, nacisnąłem spust i już leżał wierzgając, zanim do mnie doleciał trzask kuli uderzającej o kość. Był to bardzo daleki, a jeszcze bardziej szczęśliwy strzał, który złamał mu nogę. Pobiegłem ku niemu, potem zwoleńczo kroku, żeby się nie zasapać, gdyby się zerwał i pognął, ale już **leżał** na dobre. Upadł tak nagle, a kula uderzyła z takim trzaskiem, że bałem się, czy nie trafiłem go w rogi, ale kiedy do niego podszedłem, zobaczyłem, że zabił go pierwszy strzał wysoko w grzbiet za łopatkę, a zważyło go podcięcie mu nogi. Nadeszli wszyscy i Czaroskił go, **aby** się mięso stało dozwolonym jedzeniem.

— Gdzieś w niego mierzył za drugim razem? — zapytał Karl.

— Nigdzie. Trochę wyżej i spory kawałek przed nim i prowadziłem go lufą.

— To było bardzo ładne — rzekł Dan.

— Wieczorem powie nam, że tę nogę złamał mu naumyślnie — odezwał się Pop. — Bo, wiecie, to jest jeden z jego **ulubionych strzałów**. Możecie kiedyś słyszeli, jak on to objaśnia?

Podczas gdy M'Kola oprawiał łeb, a Czaroskił mięso, podszedł do nas długi, chudy Masaj z włócznią, powiedział dzień **dobry** i przystanął na jednej nodze, przypatrując się **oprawianiu**. Coś do mnie gadał dość długo, więc zawołałem **Popa**. Masaj powtórzył mu to.

— On chce wiedzieć, czy pan **będzie jeszcze do czegoś strzelał** — rzekł Pop. — Chciałby dostać jakieś **skóry**, ale nie ma ochoty na skórę oryksa. Ciekaw jest, czy pan **by miał chęć strzelić kilka kongoni albo elanda**. Ich skóry mu się podobają.

— Niech pan mu powie, że jak będziemy **wracali**.

Pop powtórzył mu to uroczyście. Masaj **uściskał mi dłoń**.

— Niech pan mu powie, że **zawsze może mnie znaleźć gdzieś koło baru „Harry'ego”** w Nowym Jorku — dodałem.

Masaj powiedział coś jeszcze i **podrapał się jedną nogą w drugą**. >

— Pyta, dlaczego pan strzelał **dwa razy** — rzekł Pop.

— Niech pan mu powie, że w naszym **plemieniu zawsze strzelamy rano dwa razy**. Później w ciągu dnia **kropimy tylko raz**. Wieczorem często sami bywamy nieźle zakropieni. Niech pan mu powie, że **zawsze j** może mnie znaleźć w „**New Stanley**” albo u „**Torra**”.

— Pyta, co pan robi z rogami.

— Niech pan mu powie, że w naszym **plemieniu obdarzamy rogami** co zamożniejszych przyjaciół. I że to jest **bardzo pasjonujące** i że **cz**sem członkowie plemienia bywają **ścigani po wielkich przestrzeniach** przez innych z pustymi pistoletami. Niech pan mu powie, że **może mnie znaleźć w księżce**.

Pop powiedział coś Masajowi, znowu uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstali się w jak najlepszym komitywie. Spoglądając przez mgłę na równinę widzieliśmy idących drogą kilku innych Masajów; skórę mieli ziemistobrunatną, stąpali na przygiętych kolanach, ich włócznie rysowały się cienko w porannym świetle.

Znów siedzieliśmy w samochodzie, łeb oryksa był owinięty w płócienny worek, mięso przytroczone do błotników, krew już zasychała, mięso pokrywał pył, droga była z czerwonego piasku, równina została za nami, busz znów dochodził aż do skraju drogi, wreszcie przejechaliśmy między jakimiś wzgórzami i przez małą wioskę Kibaya> gdzie było białe schronisko, dom towarowy i dużo uprawnej ziemi. To tutaj Dan siedział kiedyś na snopku siana czekając, by kudu wyszły żerować na skraj poletka kukurydzy, i kiedy tak siedział, zaczął podchodzić go lew i o mało się do niego nie dobrał. To budziło w nas silny historyczny sentyment do wioski Kibaya, a ponieważ było wciąż chłodno i słońce jeszcze nie wypaliło rosy na trawach, więc zaproponowałem, żebyśmy wypili butelkę tego srebrnoszyjkowego,* żółto i czarno etykietowanego piwa niemieckiego z jeźdźcem w zbroi, ażeby lepiej sobie zapamiętać, a nawet bardziej docenić to miejsce. Co uczyniwszy, pełni historycznej admiracji dla Kibai, dowiedzieliśmy się, że droga dalej jest możliwa, zostawiliśmy wiadomość dla ciężarówek, żeby jechały za nami na wschód, i ruszyliśmy w stronę wybrzeża i krainy kudu.

Przez długi czas, w ciągu którego słońce wzeszło, a dzień się zrobił gorący, jechaliśmy okolicą- którą na moje pytanie, jak tu jest w kierunku południowym, Pop opisał jako milion mil cholernej Afryki; do samej drogi schodził tu busz będący nieprzebytym, zwartym, karłowatym gąszczem.

— Tutaj są bardzo duże słonie — powiedział Pop. — Ale niepodobna na nie polować. Właśnie dlatego są bardzo duże. Proste, nie?

Po długim odcinku owego milionmilowego kraju okolica zaczęła się rozwierać w suche, piaszczyste, obrzeżone buszem prerie, które stopniowo wysychały w typowy krajobraz pustynny z rzadkimi kępami buszu, tam gdzie była woda, przypominający według słów Popa północne pogranicze Kenii. Wypatrywaliśmy gerenuka, owej antylopy z długą szyją, przypominającej ruchami konika polnego, a także mniejszych kudu, o których wiedzieliśmy, że żyją w tym pustynnym buszu, ale słońce już było wysoko i nie zobaczyliśmy nic. W końcu droga znowu zaczęła stopniowo wznosić się między pagórki, niskie tu, niebieskie i zadrzewione, poprzedzielane milami rozrzuconego buszu, nieco gęstsze go niż tamten do sadu podobny, a w przedzie ukazały się dwa wysokie, zwaliste, porośnięte lasem wzgórze, dość duże, aby być górami. Znajdowały się po obu stronach drogi, a kiedy wjeżdżaliśmy samochodem

coraz wyżej, tam gdzie czerwona droga się zwężała, zobaczyliśmy przed sobą stado złożone z setek sztuk bydła, pędzone ku wybrzeżu przez somalijskich handlarzy, przy czym główny kupiec kroczył na przedzie, wysoki, przystojny, w białym turbanie i stroju z wybrzeża, niosąc parasol jako symbol władzy.

W końcu precyzyjnie się samochodem przez to stado i wydostawszy się z niego jechaliśmy krętą drogą przez przyjemny busz aż na otwartą przestrzeń między owymi dwiema górami i dalej, jeszcze pół mili, do ulepionej z gliny i krytej słomą wioski na polanie, na małym, niskim płaskowzgórzu za tymi dwiema górami. W tyle za nami góry > wyglądały bardzo pięknie z lasem na stokach, złożami wapnia, polankami i łąkami powyżej lasu.

— Czy to tu?

— Tak — odrzekł Dan. — Zaraz się dowiemy, gdzie jest miejsce na obóz.

Jakiś bardzo stary, wyniszczony i zawiędły czarny rolnik z siwą szczecinią zarostu, odziany w brudne, niegdyś białe płótno zebrane na ramieniu wzorem rzymskiej togi, wyszedł zza jednej z chat z gliny i łóz i poprowadził nas drogą, a potem w lewo od niej, do bardzo dobrego miejsca na obóz. Starzec ten wyglądał na ogromnie zgnębionego, a kiedy Pop i Dan z nim pogadali, odszedł, najwyraźniej jeszcze bardziej zgnębiony niż przedtem, ażeby sprowadzić jakichś przewodników, których nazwiska Dan miał zapisane na kawałku papieru, gdyż polecił, mu ich pewien holenderski myśliwy, który polował tu przed rokiem i był serdecznym przyjacielem Dana.

Wyjęliśmy z samochodu siedzenia, aby ich użyć jako stołu i ławek, i rozłożywszy płaszcze na ziemi zjedliśmy obiad w cieniu wielkiego : drzewa, napiliśmy się piwa i w oczekiwaniu na ciężarówkę spaliśmy , albo czytali. Zanim ciężarówka przyszła, starzec wrócił z najchudszy- , najbardziej wygłodzonym, najżałośniejszym wyglądającym ze wszystkich , Wanderobów, który przystanął na jednej nodze, drapał się po karku ; i miał łuk, kołczan ze strzałami i włócznię. Zapytany, czy to jest ten ? przewodnik, którego nazwisko nam podano, stary przyznał, że nie, i bardziej zgnębiony niż kiedykolwiek odszedł po oficjalnych przewo- ; dników. i

Kiedy się znów obudziliśmy, starzec już czekał mając przy sobie owych dwóch oficjalnych i wystrojonych w khaki przewodników oraz , dwóch innych z wioski, zupełnie nagich. Nastąpiły dłuższe pertraktacje, j po czym główny z dwóch przewodników w zielonkawych portkach oka- J zał swoje listy uwierzytelniające, adresowane do Wszystkich, Którym^ O Tym Wiedzieć Należy, a stwierdzające, że ich posiadacz zna dobrze, i okolice, jest godnym zaufania boyem i uzdolnionym tropicielem. Podpi- -J

sane to było przez takiego a takiego, zawodowego myśliwca. Ubrany w khaki przewodnik określał owego zawodowego myśliwca mianem „B'wana Simba” i ta nazwa rozwścieczyła nas wszystkich.

— Jakiś gość, który raz zabił lwa — rzekł Pop.

— Niech pan mu powie, że ja jestem B'wana Fisi, Pogromca Hien — zaproponowałem Danowi. — B'wana Fisi dusi je gołymi rękami.

Dan mówił im coś innego.

— Niech pan ich spyta, czy chcieliby poznać B'wana Ropuchę, wynalazcę ropuch, i Mamę Tziggi, właścicielkę całej tej szarańczy.

Dan puścił to mimo uszu. Najwyraźniej dyskutowali o pieniądzech. Ustaliwszy, jaka jest ich przyjęta stawka dzienna, Pop powiedział im, że jeżeli któryś z nas zabije kudu, przewodnik otrzyma piętnaście szylingów.

— Chyba funta — rzekł główny przewodnik.

— Widać się znają na rzeczy — rzekł Pop. — Muszę powiedzieć, że wcale mi się nie podoba ten sportowiec, mimo tego, co o nim pisze B'wana Simba.

Należy dodać, że B'wana Simba, jakeśmy się później dowiedzieli, był znakomitym myśliwym, mającym doskonałą opinię na wybrzeżu.

— Podzielimy ich na dwa losy i będziemy ciągnęli — zaproponował Pop. — Jednego gołego i jednego w portkach na każdy los. Ja osobiście wolałbym takiego gołego dzikusa na przewodnika.

Kiedyśmy zaproponowali tym dwóm wyposażonym w świadectwa i spodnie przewodnikom, żeby dobrali sobie nie odzianego towarzysza, przekonaliśmy się, że nic z tego nie wyjdzie. Pyskаты, ów przedtem finansowy, a teraz teatralny geniusz, który właśnie odtwarzał gest po geście, Jak B'wana Simba Zabił Swojego Ostatniego Kudu, przerwał to na chwilę, aby oświadczyć, że będzie polował tylko z Abdullahem. Abdullah, ten niski, grubonosy i wykształcony, jest Jego Tropicielem. Zawsze polują razem. On sam nie tropi. Następnie podjął przerwana pantomimę o B'wanie Simbie i innej postaci nazywanej B'wana Doktor oraz o rogatych bestiach.

— Damy tych dwóch dzikich na jeden los, a tych dwóch oksfordczyków na drugi — rzekł Pop.

— Nie mogę patrzeć na tego teatralnego drania — powiedziałem.

— Może być wspaniały —¹ odparł Pop bez przekonania. — W każdym razie przecież pan sam jest tropicielem. Ten stary powiada, że tamci dwaj są dobrzy.

— Pięknie dziękuję. Idź pan do diabła. Potrzyma pan trawki?

Pop ułożył sobie w dłoni dwa źdźbła trawy.

— Długa wyciąga tego Dawida Garricka* i jego kumpla — wyjaśnił. — Krótka tych-dwóch nudystycznych sportowców.

— Chcesz ciągnąć pierwszy?

— Ty zaczynaj — odrzekł Karl.

Wyciągnąłem Dawida Garricka i Abdullaha.

— Dostał mi się ten cholerny tragic.

— Może być bardzo dobry — rzekł Karl.

— Chcesz się zamienić?

— Nie. Ale to może być cudo.

— Teraz pociągniemy, kto ma wybierać teren. Długa trawka daje pierwszeństwo wyboru — wyjaśnił Pop.

— Proszę cię, ciągnij.

Karl wyciągnął krótką.

— Jakie są te tereny? — spytałem Popa.

Nastąpiła długa rozmowa, w której nasz Dawid odtwarzał zabicie pół tuzina kudu z zasiadek najrozmaitszych odmian, z zaskoczenia, z podchodu po otwartym i z podrywu w buszu.

W końcu Pop rzekł:

— Podobno tu jest jakaś lizawka solna, do której kudu przychodzą lizać sól, i wtedy zabija się je tysiącami. Poza tym czasem wystarczy zająć za to wzgórze i już się wali te biedne ofiary na otwartym. Jeżeli ktoś jest w szalonej formie, może też wleźć na górę i tam na skałach rąbie je, kiedy wychodzą się paść.

— Ja wezmę tę lizawkę.

— Niech pan pamięta, żeby strzelać tylko największe — rzekł Pop.

— Kiedy zaczynamy?

— Do lizawki trzeba iść wcześniej rano — powiedział nam Pop — ale stary Hem może obejrzeć ją sobie dziś wieczorem. Trzeba pojechać stąd pięć mil drogą, a potem pieszo. Pojedzie pierwszy i weźmie wóz. A pan może pójść na wzgórze każdej chwili, jak tylko słońce trochę się zniży.

— A co z Memsahib? — spytałem. — Mogłaby pojechać ze mną?

— Nie uważam, żeby to było wskazane — odpowiedział Pop poważnie. — Im mniej jest osób, jak się idzie na kudu, tym lepiej.

M'Kola oraz ten Teatralny, Abdullah i ja wróciliśmy późno tego wieczora, w nocnym chłodzie, pełni podniecenia, kiedyśmy podchodzili do ogniska. Piasek lizawki solnej był poprzecinany i głęboko poznaczony świeżymi tropami kudu i było tam kilka tropów dużych byków. Budka stanowiła znakomite miejsce na zsiadkę i byłem tak przekonany i pewien, że następnego rana będę strzelał do kudu, jak byłbym

* Dawid Garrick (1717—1779) — słynny aktor angielski.

pewien strzału do kaczek zza dobrej zasłony, mając porządny zapas bałwanów, zimną pogodę i pewność przelotu.

— To jest wodoszczelne. Murowane. Bez pudła. Ten, jakże mu tam, Booth, Barrett, Mc Cullough... no, wie pan, o kogo mi idzie...

— Charles Laughton — rzekł Pop pykając z fajki.

— O właśnie. Fred Astaire. Światowej sławy tancerz towarzyski. To jest as. Znalazł budkę i w ogóle. Wiedział, gdzie jest lizawka. Umiał poznać, w którą stronę wieje wiatr, po prostu rozrzucając piasek. Cudowny. B'wana Simba ich wyćwiczył, chłopie. Pop, mamy je w worku. Idzie już tylko o to, żeby mięso się nie psuło i żeby dobierać co silniejsze okazy. Zabiję panu jutro dwa przy tej lizawce. Obywatele! czują się wspaniale.

— Co pan pił?

— Nic a nic, naprawdę. Niech pan zawoła Garricka. Niech pan mu powie, że go wsadzę do filmu. Mam dla niego rolę. Taki drobiazg, który wymyśliłem w powrotnej drodze. Może nie wyjdzie, ale temat mi się podoba. Otello, czyli Maur z Wenecji. Co pan na to? Wspaniały pomysł. Rozumie pan, ten czarnuch, którego nazywamy Otellem, zakochuje się w tej dziewczynie, która jest jeszcze nieobyta, wobec czego nazywamy ją Desdemoną. Podoba się, panu? Od lat mnie męczą, żebym to napisał, ale odmawiam ze względów rasowych. Powiedziałem im, żeby sobie najpierw zdobył reputację. Harry Wills, psiakrew. Paulino go pobił. Sharkey go pobił. A Dempsey pobił Sharkeya. Camera go znokautował. Co z tego, że nikt nie widział ciosu? Gdzieżeśmy byli, psiakrew, co, Pop? Wie pan, Harry Greb nie żyje.

— Wtedy właśnie jechaliśmy do miasta — rzekł Pop. — Ludzie czymś w pana ciskali i nie mogliśmy się dowiedzieć dlaczego.

— Pamiętam — odezwała się P.O.M. — Czemu pan go nie namówił, żeby przestał ze względów rasowych, panie Jot Pe?

— Byłem okropnie zmęczony — odrzekł Pop.

— Ale wygląda pan bardzo dystyngowanie — powiedziała P.O.M. — Co teraz zrobimy z tym moim wariatem?

— Trzeba wrzucić w łobuza łyk alkoholu i zobaczyć, czy się nie uspokoi.

— ■ Już jestem spokojny — powiedziałem. — Ale jak Boga Kocham, strasznie się cieszę na jutro.

I właśnie w tej chwili ktoś to wchodzi do obozu, jak nie stary Karl ze swoimi dwoma gołymi dzikusami i swoim małoformatowym, bardzo nabożnym, mahometańskim nosicielem broni, Czaro? W świetle ogniska twarz zacnego Karla wydawała się szarawa, żółtawobiała; zdjął swego sletsona.

— No, masz coś? — zapytał.

— Nie. Ale one tam są. Co robiłeś?

— Szedłem wzdłuż jakiejś choleralnej drogi. Jak ktoś może się spodziewać, że znajdzie kudu przy drodze, gdzie jest tylko bydło, chaty i ludzie?

Był niepodobny do siebie i pomyślałem, że musi być chory. Ale to, że wszedł jak śmierć, kiedy myśmy tu błaznowali, sprawiło, że znowu zachowałem się brzydko i powiedziałem:

— Przecież ciągnęliśmy losy, sam wiesz.

— Oczywiście — odparł — z goryczą. — My polowaliśmy wzdłuż drogi. Czego tam można się spodziewać? Czy ty uważasz, że to jest właściwy sposób polowania na kudu?

— Ależ dostaniesz swojego jutro rano przy lizawce — powiedziała mu P.O.M. bardzo wesoło.'

Dopiłem szklanki whisky z wodą sodową i usłyszałem własny głos mówiący też bardzo wesoło:

— Z pewnością dostaniesz swojego jutro rano przy lizawce.

— Przecież to ty tam jutro polujesz — rzekł Karl.

— Nie. Ty tam polujesz. Ja już tam byłem dzisiaj. Zmieniamy się. Tak było ustalone. Prawda, Pop?

— Aha — odparł Pop. Nie patrzyliśmy wzajem na siebie.

— Napij się whisky and sodą, Karl — powiedziała P.O.M.

— Dobrze — odrzekł Karl.

Była to jedna z tych milczących kolacji. W łóżku, w namiocie, zapytałem:

— Co, na imię boskie, kazało ci powiedzieć, że to on ma jutro iść do lizawki?

— Sama nie wiem. Chyba nie to chciałam powiedzieć. Coś mi się poplątało. Nie mówmy o tym.

— Przecież to draństwo wypadło na mnie z losowania. Nie można postępować wbrew losowi. Tylko w ten sposób szczęście może się jakoś wyrównać.

— Nie mówmy już o tym.

— Nie sądzę, żeby teraz był w dobrej formie i jest jakiś nieswój. Dostał fioła na punkcie tych przeklętych zwierzaków i w takim stanie jak obecnie może zupełnie zmarnować tę lizawkę.

— Proszę cię, przestań o tym mówić.

— Przestaną.

— Dobrze.

— No, w każdym razie zrobiliśmy mu przyjemność.

— Nie wiem, czyśmy zrobili. Proszę cię, nie mów już o tym. }

— Nie będę.

— Dobrze. Dobranoc — powiedziała.

■— Szlag by to trafił — powiedziałem. — Dobranoc.

— Dobranoc.

9

Nazajutrz rano Karl ze swoimi ludźmi wyruszył do lizawki, a Garrick, Abdullah, M'Kola i ja przeszliśmy na drugą stronę drogi, skręcili za wsią w wyschnięty potok i we mgle zaczęli się wspinać na góry. Posuwaliśmy się kamienistym, pełnym głazów, suchym łożyskiem strumienia, tak zarośniętym lianami i krzakami, że szliśmy pod górę przygięci, w stronę tunelu z pnączy i liści. Pociłem się tak mocno, że koszula i bielizna przemokły mi na wylot i kiedy wyszliśmy na garb góry i przystanęli spoglądając na ławice chmur skłębionych w całej dolinie pod nami, zziębłem od porannego powiewu i musiałem włożyć płaszcz, gdyżśmy badali okolicę przez lornetkę. Byłem zanadto mokry od potu, żeby usiąść, i dałem znak Garrickowi, aby szedł dalej.

Obeszliśmy zbocze góry, zawrócili trochę wyżej i zeszedłszy ze słońca, które osuszyło na mnie mokrą koszulę, posuwaliśmy się dalej licznymi trawiastymi dolinkami, przystając, aby przepatrzeć gruntownie każdą z nich przez lornetkę. W końcu doszliśmy do czegoś w rodzaju amfiteatru, nieckowatej doliny zarośniętej bardzo zieloną trawą, z małym strumieniem pośrodku i lasem po drugiej stronie, a także wzdłuż całego jej niższego skraju. Usiedliśmy w cieniu pod skałami, zasłonięci od wiatru, patrząc przez szkła, podczas gdy słońce podchodziło coraz wyżej i oświetlało przeciwległe stoki, i zobaczyliśmy dwie łanie kudu z cielęciami, które pasąc się wyszły z lasu i poruszały się z tą czujnością, która objawia się szybkim poszcypywaniem trawy, podniesieniem łba i długim spojrzeniem, a jest właściwa wszystkim zwierzętom żerującym w lesie. Zwierzęta na równinie mogą widzieć tak daleko, że są spokojne i pasą się zupełnie inaczej niż zwierzęta w lasach. Mogliśmy dojrzeć pionowe białe pręgi na ich szarych bokach i bardzo było przyjemnie obserwować je i być wysoko w górach tak wcześnie rano. A potem kiedyśmy patrzyli, rozległ się huk jak od obsunięcia się skały. Z początku myślałem, że to spadł jakiś głaz, ale M'Kola szepnął:

— B'wana Kabor! Piga!

Nasłuchiwalismy drugiego strzału, aleśmy go nie usłyszeli, i byłem już pewien, że Karl ma swojego kudu. Łanie, któreśmy obserwowali, dosłyszały strzał, stały przez chwilę, nasłuchując, po czym zaczęły paść się znowu. Jednakże pasąc się zawróciły do lasu.

Przypomniało mi się stare obozowe powiedzenie indiańskie: „Jeden

strzał — mięso. Dwa strzały — może. Trzy strzały — kupa gówna", i wyjąłem słownik, żeby to przetłumaczyć M'Koli. Cokolwiek z tego wyszło, musiało go rozbawić, bo śmiał się i potrząsał głową. Obserwaliśmy tę dolinę przez szkła, dopóki nie padło na nas słońce, potem przeszliśmy na drugą stronę góry i w innej pięknej dolinie obejrżeli miejsce, gdzie tamten drugi B'wana — B'wana Doktor, tak to jakoś brzmiało — zastrzelił pięknego byka kudu; jednakże kiedyśmy przypatrywali się dolinie przez szkła, wyszedł na jej środek jakiś Masaj, a gdy udałem, że mierzę do niego, Garrick stał się ogromnie dramatyczny, mówiąc z naciskiem, że to człowiek, człowiek, człowiek!

— Nie strzelać człowiek? -- spytałem go.

— Nie! Nie! Nie! — odparł przykładając dłoń do głowy.

Opuściłem sztucer z wielką niechęcią, błaznując na użytek M'Koli, który szczyrzył zęby, i w silnym już teraz upale przeszliśmy przez łąkę, gdzie trawa była po kolana i dosłownie mrowiła się od podłużnej, różowej, pajęczoskrzydlatej szarańczy, która wzbijała się wokoło nas całymi chmurami z hałasem podobnym do warkotu żniwiarki, po czym wspinając się na małe wzgórza i schodząc po długim, spadzistym stoku, wróciliśmy do obozu, ażeby stwierdzić, że powietrze w dolinie kłębi się od fruwającej szarańczy, a Karl jest już w obozie ze swoim kudu.

Kiedyśmy przechodzili koło namiotu oprawiacza, ten pokazał mi łeb zwierzęcia, który bez tułowia i szyi, z mokrą płachtą skóry, związając luźno i ciężko od miejsca, gdzie podstawę czaszki odcięto od stosu pacierzowego, wyglądał na bardzo dziwnego i żalosego kudu. Tylko skóra na pysku, od oczu do chrap, gładkoszara, delikatnie znaczona bielą, i duże, zgrabne uszy były piękne. Oczy już zmatowiały i obsiadły je muchy, a rogi były grube, niezgrabne i zamiast spiralizować wysoko w górę, wyginały się ciężkim skrzętem i wybiegały skosem do tyłu. Był to łeb zwyrodniały, ciężki i brzydki.

Pop siedział pod namiotem-jadalnią paląc i czytając.

— Gdzie Karl? — spytałem go.

— Chyba w swoim namiocie. Co pan robił?

— Obszedłem tę górę dookoła. Widziałem kilka łań.

— Strasznie się cieszę, że go masz — powiedziałem do Karla stojąc u wejścia do jego namiotu. — Jak to było?

— Siedzieliśmy w budce i dali mi znak, żebym schylił głowę, a kiedy potem spojrzałem, stał obok nas. Wydawał się ogromny.

— Słyszeliśmy, jak strzeliłeś. Gdzieś go trafił?

— Najpierw chyba w nogę. Potem go tropiliśmy i w końcu trafiłem jeszcze kilka razy i dostaliśmy go.

— Ja słyszałem tylko jeden strzał.

— Były ze trzy czy cztery — odrzekł Karl.

— Pewnie zza góry nie było słyhać, jeżeliś za nim szedł w inną stronę. Ma grubą tykę i dużą rozłogę.

— Dziękuję — powiedział Karl. — Mam nadzieję, że dostaniesz o wiele lepszego. Mówili, że tam był jeszcze jeden, ale go nie widziałem.

Wróciłem do namiotu-jadalni, gdzie siedzieli Pop i P.O.M. Nie wydawali się zbyt zachwyceni tym kudu.

— Co wam jest? — zapytałem.

— Widziałeś ten łeb? — spytała P.O.M.

— Jasne.

— O k r o p n y — powiedziała.

— Zawsze to jest kudu. A Karl ma do odstrzału jeszcze jednego.

— Czaro i tropiciele mówili, że z tym był jeszcze drugi. Duży byk ze wspaniałymi rogami.

— To dobrze. Zabiję go.

— Jeżeli w ogóle wróci.

— Świetnie, że Karl ma już jednego — rzekła P.O.M.

— Złożę się, że teraz zabije największego ze wszystkich znanych kudu — powiedziałem.

— Wyprawiam go z Danem na tereny szablrogów — rzekł Pop. — Tak było uzgodnione. Kto pierwszy zabije kudu, ten pierwszy popróbuje szablrogów.

— To świetnie.

— A potem, jak tylko pan ustrzeli swojego, my też się tam przeniesiemy.

— Doskonale.

10

Zdawało się, że tamto wszystko było przed rokiem. Teraz, tego popołudnia, w samochodzie, w drodze do odległej o dwadzieścia osiem mil lizawki solnej, mając słońce prosto w twarz, po zastrzeleniu tamtych perliczek, nie zdziaławszy nic przez ostatnie pięć dni u tej lizawki, gdzie Karl zabił swojego byka, nie zdziaławszy nic na wzgórzach, na dużych wzgórzach i na małych, nie zdziaławszy nic na płaszczynie, a poprzedniego wieczora straciwszy strzał przy lizawce przez tę ciężarówkę Austriaka, wiedziałem, że na polowanie zostają nam jeszcze tylko dwa dni, a potem trzeba będzie wyjechać. M'Kola wiedział to także i teraz polowaliśmy już wspólnie, bez żadnego poczucia wyższości z jednej czy drugiej strony, tylko ze świadomością, że czasu jest mało, i niezadowolaniem, że nie znamy okolicy i że mamy na karku tych farsowych drani jako przewodników.

Kamau, nasz kierowca z plemienia Kikuju, był spokojnym mężczyzną lat około trzydziestu pięciu, który w swej starej brązowej kurtce tweedowej, porzuconej przez jakiegoś myśliwego, w spodniach grubo łątanych na kolanach i ponownie rozdartych i w bardzo wystrzępionej koszuli zawsze umiał stwarzać wrażenie wielkiej elegancji. Kamau był bardzo skromny, cichy i doskonale prowadził samochód i teraz, kiedyśmy wyjechali z buszu na otwartą, usianą krzakami, do pustyni podobną przestrzeń, spojrzałem na tego człowieka, którego elegancję osiągniętą za pomocą starej kurtki i agrafki, którego skromność, łagodność i umiejętność tak bardzo podziwiałem, i pomyślałem, że kiedyśmy pierwszy raz wybrali się na polowanie, o mało nie umarł na febrę, i że gdyby wtedy umarł, wcale by mnie to nie obeszło poza tym, że zabrakłoby nam kierowcy, natomiast gdyby teraz gdziekolwiek czy kiedykolwiek umarł, byłoby mi bardzo przykro. Następnie, porzuciwszy słodkie, sentymentalne refleksje o odległej i mało prawdopodobnej śmierci Kamaua, pomyślałem, jaka by to była frajda strzelić Dawidowi Garrickowi w tyłek, gdy kiedyś będzie dramatyzował jakiś podchód, po prostu żeby zobaczyć jego minę — i właśnie w tej chwili spłoszy-

liśmy drugie stadko perliczek. M'Kola podał mi strzelbę, ale potrząsnąłem głową. On też potrząsnął gwałtownie głową i powiedział: Dobre. Bardzo dobre — ale ja kazałem Kamauowi jechać dalej. To zdenerwowało Garricka, który zaczął wygłaszać orację. Czyżbyśmy nie chcieli perliczek? Oto są perliczki. Najlepszy gatunek. Po liczniku, widziałem, że jesteśmy tylko o jakieś trzy mile od lizawki, i nie miałem zamiaru wypłoszyć z niej strzałem byka, wystraszyć go tak jak tamtego mniejszego kudu, który odszedł od lizawki usłyszawszy warkot ciężarówki, kiedyśmy siedzieli w budce.

Zostawiwszy samochód pod karłowatymi drzewami około dwóch mil od lizawki, poszliśmy piaszczystą drogą ku pierwszemu miejscu, gdzie była sól na otwartej przestrzeni w lewo od drogi. Uszliśmy jakąś milę gęsiego, zachowując absolutną ciszę, prowadził nas Abdullah, ten wykształcony przewodnik, za nim szedłem ja, M'Kola i Garrick, i nagle zauważyliśmy, że droga przed nami jest mokra. W miejscu, gdzie piasek cienko pokrywał glinę, stała kałuża wody i widać było, że wszędzie dalej jest mokro od obfitego deszczu. Nie zdawałem sobie sprawy, co to znaczy, ale Garrick rozłożył szeroko ręce, spojrzął na niebo i obnażył zęby ze złości.

— Nic z tego — szepnął M'Kola.

Garrick zaczął coś głośno gadać.

— Zamknij się, draniu — powiedziałem i przyłożyłem dłoń do ust. Mimo to gadał dalej, głośniejsze niż normalnie, więc poszukałem w słowniku „zamknij się”, gdy tymczasem on wskazywał na niebo i zalaną deszczem drogę. Nie mogłem znaleźć, jak jest „zamknij się”, wobec czego przytknąłem mu dość mocno dłoń wierzchnią stroną do ust, a on je zamknął zaskoczony.

— M'Kola — powiedziałem.

— Tak — rzekł M'Kola.

— Co się stało?

— Sól niedobra.

— Aha.

A więc to tak. Myślałem, że deszcz jest tylko czymś, co ułatwia tropienie.

— Kiedy deszcz? — spytałem.

— Wczoraj — odparł M'Kola.

Garrick zaczął mówić, więc znowu zatkałem mu usta wierzchem dłoni.

— M'Kola.

— Tak?

— Druga sól — wskazując w kierunku dużej lizawki w lesie, która,

jak wiedziałem, była znacznie wyżej, ponieważ szliśmy do niej przez zarośla lekko pod górę. — Druga sól dobra?

— Może.

M'Kola powiedział coś bardzo cicho do Garricka, który wydał się głęboko urażony, ale nie otworzył ust, i poszliśmy dalej drogą omijając mokre miejsce, i dotarli do głębokiej niecki lizawki solnej, która rzeczywiście była do połowy napełniona wodą. Garrick zaczął tu szeptem jakąś mowę, ale M'Kola uciszył go znowu.

— ■ Chodźmy — powiedziałem i z M'Kola na przedzie ruszyliśmy wilgotnym, piaszczystym, zazwyczaj wyschniętym łożyskiem strumyka, które wiodło między drzewami do górnej lizawki.

M'Kola przystanął jak wryty, pochylił się, by popatrzeć na wilgotny piasek, a potem szepnął do mnie: — Człowiek. — Na piasku zobaczyłem ślady.

— Szeni — powiedział, co znaczyło „dziki człowiek”.

Ruszyliśmy po śladach człowieka, posuwając się wolno między drzewami, ostrożnie podeszliśmy do lizawki i schowali się w budce. M'Kola potrząsnął głową..

— Na nic — powiedział. — Chodźmy.

Zbliżyliśmy się do lizawki. Wszystko tu było jasno wypisane. Tropy trzech dużych byków kudu widniały na wilgotnym brzegu za lizawką, tam gdzie zwierzęta schodziły się do soli. Obok były raptowne, głębokie, jak nożem wycięte ślady w miejscu, gdzie byki skoczyły, kiedy łuk brzęknął, dalej chlastane, mocno wgniecione odciski ich racic, tam gdzie wbiegły na brzeg, a potem, w dużych odstępach, tropy znikające w buszu. Szliśmy po nich wszyscy trzej, ale żaden ślad ludzki nie łączył się z nimi. Łucznik widocznie chybił.

M'Kola powiedział: — Szeni — wkładając w to słowo wielką nienawiść. Odnaleźliśmy ślad szenziego i zobaczyli, którądy wracał na drogę. Usadowiliśmy się w budce i zaczęli tam, dopóki się nie ściemniło i nie zaczął padać drobny deszcz. Nic nie przyszło do soli. W deszczu wróciliśmy do samochodu. Jakiś dzikus strzelił do naszych kudu, wypłoszył je z lizawki i teraz była już na nic.

Kamau urządził namiot z dużego brezentowego płatu podłogowego, rozwiesił w środku moją moskiterię i ustawił brezentowe łóżko polowe. M'Kola przeniósł jedzenie do namiotu ochronnego.

Garrick i Abdullah rozpalili ogień i razem z Kamauem i M'Kola zaczęli coś na nim gotować. Mieli zamiar spać w samochodzie. Deszcz mżył, ja się rozebrałem, włożyłem grubą pidżamę i przeciwmoskitowe buty, usiadłem na łóżku, zjadłem pierś pieczonej perliczki i wypłem kilka blaszanych kubków whisky pół na pół z wodą.

Wszedł M'Kola, poważny, troskliwy i bardzo niezgrabny we wnętrzu

namiotu, wyciągnął moje ubranie, które zwinąłem, żeby sobie zrobić zagłówek, zwinął je na nowo, bardzo nieporządnie, i włożył pod koc. Przyniósł trzy puszki, żeby dowiedzieć się, czy nie każe ich otworzyć. s

— Nie.

— Czai? — zapytał.

— Niech go diabli wezmą.

— Nie czai?

— Whisky lepsza.

— Tak ■ — powiedział z uczuciem. — Talk.

— Czai rano. Przed słońcem.

— Tak, B'wana M'Kumba.

— Ty śpij tu. Nie na deszczu — wskazałem brezent namiotu, na którym deszcz wydawał najprzyjemniejszy odgłos, jaki my, przebywający A dużo na powietrzu, możemy usłyszeć. Był to miły odgłos, chociaż zawa- 4
lał nam całą sprawę.

— Tak.

— No, jedz.

— Tak. Nie czai?

— Do cholery z herbatą.

— Whisky? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Whisky koniec.

— Whisky — powiedział ufnie.

— Dobrze — odparłem. — Jedz.

Nalałem do kubka whisky pół n?K pół z wodą, wsunąłem się pod moskitierę, odszukałem swoje ubranie i znowu zrobiłem z niego zagłówek i położywszy się na boku popijałem whisky bardzo powoli, oparty na łokciu, po czym spuściłem kubek pod moskitierą na ziemię, namacałem pod łóżkiem springfielda, położyłem obok siebie pod kocem latarkę elektryczną i zasnąłem słuchając deszczu. Ocknąłem się, kiedy usłyszałem, że M'Kola wchodzi, robi sobie posłanie i układa się do snu, a potem jeszcze raz w nocy i wtedy dosłyszałem go śpiącego obok mnie; ale rano był już na nogach i przygotował herbatę, zanim się obudziłem.

— Czai — powiedział pociągając za mój koc.

—r Cholerny czai — odrzekłem siadając, jeszcze śpiący.

Poranek był szary, wilgotny. Deszcz przestał padać, ale nad ziemią wisiała mgła, a lizawkę zastaliśmy zalaną, przy niej zaś ani jednego tropu. Potem poszliśmy przez mokry laszek na płaszczyznę w nadziei, że znajdziemy ślady na wilgotnej ziemi i potropimy byka, póki nie uda nam się go zobaczyć. Nie było żadnych śladów.* Przeszliśmy przez drogę i podążyli skrajem lasku dookoła otwartej, bagnistej przestrzeni. Miałem nadzieję, że może spotkamy nosorożca, ale chociaż natrafiliśmy na sporo świeżego łajna nosorożców, od czasu deszczu nie "było żadnych j

tropów. Raz usłyszeliśmy ptaki bąkajady i spojrzawszy w górę zobaczyli je przefruujące zygzakowatym lotem nad nami i kierujące się ku północy ponad gęstym laskiem. Zrobiliśmy w tym miejscu długie koło, aleśmy nic nie znaleźli prócz świeżych tropów hieny i łani kudu. Na którymś z drzew M'Kola pokazał mi czaszkę mniejszego kudu z jednym pięknym, długim, krętym rogim. Odszukaliśmy drugi na ziemi w trawie i zatknąłem go z powrotem na jego kostny trzpień.

— Szeni — powiedział M'Kola naśladować człowieka napinającego łuk. Czaszka była zupełnie czysta, natomiast wewnątrz rogów znajdowała *sw* jakaś wilgotna mazią cuchnąca nieznośnie, toteż nie dając \po sobie poznać, że zauważyłem ów smród, wręczyłem czaszkę Garrickowi, który czym prędzej oddał ją bez słowa Allahowi. Abdullah zmarszczył swój płaski nos i potrząsnął głową. To rzeczywiście cuchnęło ohydnie. M'Kola i ja uśmiechnęliśmy się, a Garrick zrobił niewinną minę.

Doszedłem do wniosku, że może dobrze byłoby pojechać drogą i z wozu wypatrywać kudu, i przestraszać co odpowiedniejsze polanki. Wróciliśmy do samochodu i zrobiliśmy tak, przepatrując kilka polanek bez skutku. Słońce już weszło i droga zaludniła się wędrowcami, zarówno ubranymi na białą, jak nagimi, więc postanowiliśmy wrócić do obozu. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się i podeszliśmy do pierwszej li-zawki. Była tam impalla, która wydawała się bardzo czerwona w słońcu padającym na jej skórę przez luki między szarymi drzewami, i było też wiele tropów kudu. Pozacieraliśmy je i odjechali do obozu, aby tam zastać powietrze pełne przelatującej na zachód szarańczy, która sprawiała, że całe niebo, kiedy spojrzalesz w górę, zdawało się mienić różowym, przesuwającym się migotem i drgało jak stary film, tyle tylko że było różowe, nie szare. P.O.M. i Pop wyszli nam na spotkanie i byli bardzo zawiedzeni. W obozie nie padał deszcz i byli pewni, że z czymś powrócimy.

— Czy ten mój literacki kumpel już odjechał?

— Tak — odrzekł Pop. — Pojechał do Handeni.

— Masę mi opowiadał o Amerykankach — rzekła P.O.M. — Biedny stary Papa, byłam pewna, że coś zastrzelisz. Przeklęty deszcz.

— Jakież są Amerykanki?

— On uważa, że okropne.

— Bardzo rozsądny facet — rzekł Pop. — No, niech pan powie, co dzisiaj było.

Zasiedliśmy w cieniu namiotu-jadalni i opafewiedziałem im wszystko.

— To był Wanderobo — powiedział Pop. — Oni są fantastycznymi strzelcami. A to pech.

— Myślałem, że może jeden z tych wędrownych sportowców, któ-

rych się widzi po drodze z łukami na ramieniu. **Mógł zobaczyć tę lizawkę** przy drodze i poszedł po tropie do tamtej drugiej.

— Mało prawdopodobne. Te łuki i strzały noszą dla ochrony. To nie są myśliwi.

— Ano, ktokolwiek to był, załatwił nas.

— Pech. To i ten deszcz. Posłałem zwiadowców na oba wzgórza, ale nic nie widzieli.

— Ano, jeszcze nie leżymy, przynajmniej do jutra wieczorem. Kiedy trzeba wyjechać? *

— Pojutrze.

— Ten cholerny dzikus!

— Pewnie Karl wali tam teraz szablorogi.

— ■ Nie będzie można wejść do obozu z powodu nadmiaru rogów. Słyszeliście coś?

— Nie.

— Mam zamiar przestać palić na sześć miesięcy, żebyś coś dostał — powiedziała P.O.M. — Już zaczęłam.

Zjedliśmy obiad, a potem poszedłem do namiotu, położyłem się i czytałem. Wiedziałem, że jeszcze mamy szansę nazajutrz przy lizawce, i nie miałem zamiaru się martwić. Mimo to martwiłem się, a że nie chciałem zasnąć i obudzić się otumaniony, więc wyszedłem, usiadłem na brezentowym krześle pod otwartym namiotem-jadalnią i czytałem czyjeś tam „Życie Karola Drugiego”, podnosząc co jakiś czas głowę, żeby popatrzeć na szarańczę. Był to bardzo przejmujący widok i trudno mi było uważać go za coś zwyczajnego.

W końcu zasnąłem na krześle, z nogami opartymi o skrzynkę, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem przed sobą tego drania, Garricka, w ogromnym pióropuszu z czarnych i białych, mocno oklapniętych piór strusich.

— Wynos się — powiedziałem po angielsku.

Stał mizdrząc się z dumą, po czym obrócił się, żeby móc obejrzeć ów pióropusz z boku.

Zobaczyłem Popa, wychodzącego ze swego namiotu, z fajką w zębach.

— Niech pan patrzy, co tu mamy! — zawołałem do niego.

Spojrzał, powiedział: — O rany — i zawrócił do namiotu.

— Chodź pan — powiedziałem. — Nie zwracajmy na to uwagi.

W końcu Pop wyszedł z książką i udając, że w ogóle nie widzimy pióropusza Garricka, usiedliśmy i zaczęli rozmawiać, gdy tymczasem on wciąż w nim pozował. •»

— Drań musiał coś pić — powiedziałem.

— Prawdopodobnie.

— Nawet czuję.

Pop nie patrząc na Garricka powiedział do niego kilka słów bardzo cichym głosem.

— Co pan mu mówił?

— Żeby poszedł ubrać się przyzwoicie i był gotów do drogi.

Garrick odszedł powiewając piórami.

— Teraz nie pora na jego cholerne strusie pióra — rzekł Pop.

— Pewnie są tacy, którym się to podoba.

— Właśnie. Może pan zacznie je fotografować.

— Paskudne — powiedziałem.

— Okropne — potwierdził Pop.

— Jeżeli nic nam się nie trafi, mam zamiar ostatniego dnia strzelić Garrickowi w tyłek. Ile by mnie to kosztowało?

— Mogłoby być sporo przykrości. Jeżeli pan kropnie jednego, musi pan kropnąć i drugiego.

— Tylko Garricka.

— To niech pan lepiej nie strzela. Niech pan pamięta, że to ja będę miał przykrości.

— Przecież żartuję, Pop.

Garrick, bez pióropusza, ukazał się z Abdullahem i Pop coś z nimi pogadał.

— Chcą obejść wzgórze inną drogą.

— Wspaniale,. Kiedy?

— W każdej chwili. Znosi się na deszcz. Moglibyście już iść.

Posłałem Mola po moje buty i płaszcz nieprzemakalny, a M'Kola wyszedł ze springfieldem i poszliśmy do samochodu. Przez cały dzień było bardzo pochmurno, chociaż słońce na chwilę wyjrzało rano i później w południe. Deszcze zbliżały się do nas. Już zaczynało padać i szarńcza przestała fruwać.

— Jestem kołowaty z senności — powiedziałem do Popa. — Muszę coś wypić.

Staliśmy pod dużym drzewem, przy ognisku, a lekki deszcz klapotał po liściach. M'Kola przyniósł flaszkę whisky i wręczył mi ją uroczyście.

— Napije się pan?

— Chyba mi nie zaszkodzi.

Wypiliśmy obaj i Pop powiedział:

— Żeby je szlag trafił.

— Żeby je szlag trafił.

— Może pan znajdzie jakieś cholerne tropy.

— Przepędzimy je z okolicy.

Skreśliśmy samochodem w prawo na drogę i minawszy glinianą wioskę zjechaliśmy z drogi w lewo na czerwony, ubity, gliniasty szlak, który biegł dookoła podnóża wzgórz i był z obu stron obrzeżony drze-

wami. Padało teraz dość gęsto i jechaliśmy pomału. W glinie było dostatecznie dużo piasku, żeby wóz się nie ślizgał. Nagle Abdullah, bardzo podniecony, powiedział z tylnego siedzenia Kamauowi, żeby stanął. Zatrzymaliśmy się z poślizgiem, wysiedliśmy wszyscy i zawrócili. Na mokrej glinie był świeży trop kudu. Musiał być odcisnięty najwyżej przed pięcioma minutami, bo krawędzie miał ostre, a grudki ziemi, wyrwane wewnętrzną stroną racic, jeszcze nie rozmiękły od deszczu.

— Doumi — powiedział Garrick, odrzucił głowę do tyłu i rozpostarł szeroko ramiona, żeby pokazać rogi zwisające aż na kłąb. — Kubwa Sana!

Abdullah potwierdził, że to byk, olbrzymi byk.

— Idziemy — powiedziałem.

Tropienie było łatwe i wiedzieliśmy, że jesteśmy blisko. W deszcz albo w śnieg jest o wiele łatwiej podejść do zwierzęcia i byłem pewien, że będę strzelał. Szliśmy po tropach przez gęste zarośla na otwartą polankę. Przystanąłem, żeby przetrzeć okulary i przedmuchać szczerbinę celownika springfielda. Padało teraz mocno, więc nasunąłem kapelusz nisko na oczy, żeby mi nie zalewało okularów. Obeszliśmy skrajem polankę i nagle przed nami rozległ się trzask i zobaczyłem szare, biało pręgowane zwierzę umykające przez zarośla. Rzuciłem broń do ramienia, ale M'Kola złapał mnie za rękę.

— Manamouki! — szepnął.

Była to łania kudu. Gdy jednak podeszliśmy do miejsca, z którego się poderwała, nie było tam innych śladów. Tropy, po których szliśmy, prowadziły logicznie i bez najmniejszej wątpliwości od drogi do tej łani.

— Doumi Kubwa Sana! — powiedziałem do Garricka pełen sarkazmu i niesmaku i zrobiłem ruch wyobrażający gigantyczne rogi wygięte do tyłu od jego uszu.

— Manamouki Kubwa Sana — odpowiedział bardzo żałośnie i cierpliwie. — Co za ogromna łania.

— Ty parszywy, strusiopióry łobuzie — rzekłem do niego po angielsku. — Manamoukii Manamouki! Manamouki!

— Manamouki! ■ — powiedział M'Kola i kiwnął głową.

Wyjąłem słownik, nie mogłem znaleźć odpowiednich wyrazów, więc wyjaśniłem M'Koli znakami, że zakręcimy z powrotem długim łukiem do drogi, żeby zobaczyć, czy nie uda się znaleźć innych śladów. Zatoczyliśmy krąg w deszczu, przemoczeni na wylot, nie zobaczyliśmy nic, odszukaliśmy samochód i ponieważ deszcz się zmniejszał, a droga wydawała się jeszcze twarda, postanowiliśmy chodzić dalej aż do zmroku. Na zboczu góry wisiały po deszczu kłęby chmur, drzewa ociekały wodą i nie udało nam się nic znaleźć. Ani na otwartych polanach, ani na polach, gdzie busz się przerzedzał, ani na zielonych stokach wzgórz.

W końcu zrobiło się ciemno i wróciliśmy do obozu. Springfield był bardzo zamoczony i kiedyśmy wysiedli z samochodu, kazalem M'Koli wyczyścić go starannie i dobrze naoliwić. Powiedział, że to zrobi, a ja poszedłem dalej, do namiotu, gdzie paliła się latarnia, zdjąłem ubranie, wziąłem kąpiel w brezentowej wannie i wyszedłem do ogniska czując się wygodnie i swobodnie w pidżamie, szlafroku i przeciwmoskitowych butach.

P.O.M. i Pop siedzieli na krzeselkach przy ogniu i P.O.M. wstała, żeby mi przygotować whisky z wodą sodową.

— M'Kola już mi powiedział — odezwał się Pop ze swego krzeselka przy ognisku.

— Diabelnie duża łania — odrzekłem. — O mało jej nie kropnąłem. Jak pan myśli, co robić jutro rano?

— Chyba lizawkę. Mamy obserwatorów na obu tych wzgórzach. Pamięta pan tamtego starego z wioski? Ugania się na wariata za kudu gdzieś za tymi górami. On i ten Wanderobo. Nie ma ich już od trzech dni.

— Nie widzę powodu, żeby nam się coś nie trafiło przy tej lizawce, gdzie Karl zabił swojego. Jeden dzień jest równie dobry jak drugi.

— Słusznie.

— Tylko że to, psiakrew, jest już ostatni dzień, a lizawka może być splukana przez deszcz. Jak tylko jest mokro, to nie ma soli. Samo błoto.

— Ano właśnie.

— Chciałbym jakiegoś zobaczyć.

— Jak pan go zobaczy, niech pan się nie spieszy i strzela na pewniaka. Wyczekaj pan i zabij go.

— O to się nie martwię.

— Pomówmy o czym innym — odezwała się P.O.M. — To mnie zanadto denerwuje.

— Szkoda," że tu nie ma tamtego w skórzanych portkach — rzekł Pop. — Boże, to był gaduła! Nawet naszego tu obecnego starego zmusił do mówienia. No, niech pan n;m jeszcze raz wygłosi tę pogadankę o współczesnych pisarzach.

— Idź pan do diabła.

— Dlaczego nie prowadzimy żadnego życia intelektualnego? — spytała P.O.M. — Dlaczego wy nigdy nie dyskutujecie o zagadnieniach światowych? Dlaczego mnie trzymacie w nieświadomości tego, co Sie, dzieje?

— Świat jest w paskudnym stanie — stwierdził Pop.

— Okropnym.

— A co słyhać w Ameryce?

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli wiem. Coś w rodzaju, impre^ 11

Różni głupi marzyciele wydają pieniądze, które ktoś inny będzie musiał zapłacić. Wszyscy w naszym mieście rzucili łąkę, żeby żyć z zasłonek. Wszyscy rybacy zostali stolarzami. Odwrotnie niż w Biblii.

— A jaka jest sytuacja w Turcji?

— Straszna. Zabrali im fezy. Powiesili kupę starych znajomych. Ale Ismet wciąż jeszcze jest.

— Był pan ostatnio we Francji?

— Nie podobało mi się. Ponuro jak diabli. Niedawno źle się tam działo.

— No, chyba — rzekł Pop. — Musiało być źle, jeżeli wierzyć gazetom.

— Jak tam robią ruchawkę, to już na całego. Psiakrew, oni mają tradycję.

— Zdażył pan do Hiszpanii na rewolucję?

— Spóźniłem się. Potem czekaliśmy na dwie, które nie wyszły. A później nie trafiliśmy na następną.

— A widział pan tę na Kubie?

— Od samego początku.

— Jak to było?

— Pięknie. Potem parszywie. Nie ma pan pojęcia, jak parszywie.

— Przestań y- rzekła P.O.M. — Ja to dobrze znam. Siedziałam w kucki za marmurowym stolikiem, jak strzelali w Hawanie. Przyjechali samochodami i walili do wszystkiego, co się pokazało. Nie puściłam swojej szklanki i bardzo byłam dumna, że nic nie rozlałam i że jej nie zapomniałam. Dzieci pytały: „Mamusi, możemy wyjść po południu, żeby popatrzeć na strzelanie?” Tak się pasjonowały tą rewolucją, żeśmy musieli przestać o niej mówić. Bumby tak się rozjuszył na pana M., że miał straszne sny.

— Nadzwyczajne — powiedział Pop.

— Niech pan się ze mnie nie wyśmiewa. Nie chcę nawet słuchać o rewolucjach. Wciąż tylko rewolucje i rewolucje. Mam tego dosyć.

— Ale nasz stary musi to lubić.

— Też mam już dosyć.

— Wiecie, ja nigdy nie widziałem rewolucji — rzekł Pop.

— To piękna rzecz. Naprawdę. Przez jakiś czas. Później się robi niedobra.

— Rewolucje są bardzo emocjonujące, to przyznaję — powiedziała P.O.M. — Ale już mam ich dosyć. Naprawdę, wcale mi się nie podobają.

— Studiowałam je trochę — rzekłam.

— I czego się pan dowiedział? — zapytał Pop.

— Każda była inna, ale są pewne rzeczy, które można skoordynować. Mam zamiar napisać studium o rewolucjach.

— To mogłoby być diablo ciekawe.

— Jeżeli będzie się miało dosyć materiału. Potrzeba strasznie dużo przykładów z przeszłości. Bardzo trudno jest uzyskać coś prawdziwego czy coś, czego się nie widziało samemu, bo te rewolucje, które się nie udają, mają taką złą prasę, a znowu zwycięzcy zawsze tak kłamią. Poza tym można coś naprawdę zrozumieć tylko tam, gdzie się zna język. To oczywiście jest pewnym ograniczeniem. Dlatego nigdy bym nie pojechał do Rosji. Jeżeli nie można posłuchać, co mówią ludzie, to wszystko na nic. Ma się tylko komunikaty prasowe i zwiedzanie. Każdy, kto zna obcy język w jakimkolwiek kraju, może nam bardzo łatwo nakłamać. Dobre informacje uzyskuje się zawsze od ludzi, a jak nie można z nimi pogadać i przysłuchać się, co mówią, to nie dostaje się nic poza rzeczami mającymi tylko wartość dziennikarską.

— W takim razie powinien pan przysiedzieć fałdów nad suaheli.

— Staram się.

— Tylko że nawet wtedy nie będzie pan mógł się przysłuchać, bo tutaj zawsze gadają swoim językiem.

— A jeżeli kiedyś o tym napiszę, będzie to tylko malowaniem kraj-obrazu, dopóki się czegoś naprawdę nie dowiem. Pierwsze spojrzenie na dany kraj jest bardzo cenne. Najgorsza rzecz, że prawdopodobnie cenniejsze dla nas samych niż dla kogoś innego. Ale zawsze powinno się je zapisać, żeby to, sobie sformułować. Bez względu na to, co się z tym zrobi.

— Większość tych wszystkich książek o safari to straszna, cholerna nuda.

— Okropna.

— Jedyna, jaka mi się podobała, to ta Streetera. Jak on to nazwał? Wynaturzona Afryka. Dał człowiekowi wyczuć, jak tu jest. Ta książka jest najlepsza.

— Mnie się podobała ta Charliego Curtisa. Bardzo uczciwa i daje doskonały obraz.

— Tamten Streeter jest piekielnie zabawny. Pamięta pan to, jak on zabija kongoni?

— Bardzo śmieszne.

— A jednak nie czytałem nic, co by mogło dać człowiekowi taki stosunek do tego kraju, jaki my mamy. Zawsze jest to barwne życie w Nairobi albo cholerne bujdy o strzeleniu zwierząt z rogami o pół cala dłuższymi od tych, które upolował ktoś inny. Albo brednie o niebezpieczeństwie.

— Chciałbym spróbować napisać coś o tym kraju i zwierzętach, i o tym, jak go widzi ktoś, kto nic o nim nie wie.

— Niech pan spróbuje. Nie zaszkodzi. Wie pan, ja pisałem dziennik tej mojej podróży na Alaskę.

— Strasznie bym chciała to przeczytać <— odezwała się P.O.M. — Nie wiedziałam, że pan jest pisarzem, panie Jot Pe.

— Nie ma obawy — rzekł Pop. — Ale jeżeli pani chce przeczytać, to pošę po ten dziennik. Wie pani, on jest o tym, cośmy robili każdego dnia i jak Alaska wyglądała dla Anglika, z Afryki. Znudziłby panią.

— Na pewno nie, skoro to pan go napisał — powiedziała P.O.M.

— Panienska prawi nam komplementy — rzekł Pop.

— Mnie nie. Panu.

— Twoje rzeczy już czytałam — odparła. — Chciałabym przeczytać, co pisze pan Jot Pe.

— Czy ten nasz stary naprawdę jes⁺, pisarzem? — zapytał jej Pop. — Nie widziałem nic, co by o tym świadczyło. Jest pani pewna, że oh pani nie utrzymuje z tropienia i strzelania do pióra?

— O, tak. Pisz. Jak mu dobrze idzie, to strasznie łatwo z nim dojść do ładu. Ale zanim się rozkręci, jest okropny. Musi wpaść w zły humor, żeby móc zacząć pisać. Kiedy mówi, że nie będzie pisał już nigdy więcej, wiem, że niedługo zacznie.

— Powinniśmy go częściej wyciągać na literackie rozmowy — rzekł Pop. — Ten od skórzanych portek to potrafił. Niech pan nam opowie jakieś literackie anegdotki.

— Ano, w przeddzień naszego wyjazdu z Paryża byłem na polowaniu u Bena Gallaghery w Sologne i on tam miał *jerrn.ee*, wie pan, taki niski płotek, który ustawiają, kiedy zwierzęta wychodzą na żer, i rano strzelaliśmy króliki, a po południu zrobili kilka pędzeń i strzelaliśmy do bażantów, a ja zabiłem *chevreuil*.

— To nie jest literackie.

— ■ Niech pan zaczeka. Ostatniego wieczora przyszedł na kolację Joyce z żoną i zjedliśmy bażanta i ćwiartkę tego *chevreuil* z combrem, i Joyce i ja upiliśmy się, bo następnego dnia mieliśmy jechać do Afryki. Boże, co to był za wieczór!

— To ci dopiero literacka anegdota — powiedział Pop. — Kto to jest Joyce?

— Wspaniały facet — odrzekłem. — N*apisał „Ulissesa”.

— „Ulissesa” napisał Homer — rzekł Pop.

— A kto napisał „Ajschylosa”?

— Też Homer — odparł Pop. — Niech pan nie próbuje mnie złapać. Dużo pan jeszcze zna anegdot literackich?

— Słyszał pan kiedy o Poundzie?

— Nie — odrzekł Pop. — Absolutnie nie.

— Znam kilka dobrych o Poundzie.

— Pewnie o tym, jak pan z nim zjadł jakiegoś zwierzaka o dziwnej nazwie, a potem się upił.

— Kilka razy — powiedziałem.

— Życie literackie musi być strasznie zabawne. Myśli pan, że mógłbym zostać pisarzem?

— Chyba.

— Rzucimy to wszystko i obaj będziemy pisarzami — powiedział Pop do P.O.M. — Niech pan nam opowie jeszcze jakąś anegdotę.

— Słyszał pan kiedy o George'u Moore?

— Tym gościu, co napisał: „Ale zanim odejdę, George Moore, piję po raz ostatni za twoje zdrowie”?

— O właśnie.

— No więc co z nim było?

— Umarł.

— To diablo ponura anegdotka. Stać pana na coś lepszego.

— Widziałem go kiedyś w księgarni.

— To już lepiej. Widzi pani, jak on potrafi żywo opowiadać?

— Raz poszłam do niego z wizytą w Dublinie — rzekła P.O.M. — Z Klarą Dunn.

— I co się stało?

— Nie było go w domu.

— Jak Boga kocham, mówię wam, że nie ma jak życie literackie — powiedział Pop. — Nie może być nic lepszego.

— Nie cierpię Klary Dunn — powiedziałem.

7— Ja też — odparł Pop. — Co ona napisała?

— Listy — odrzekłem. — Zna pan Dos Passosa?

— Nigdy nie słyszałem.

— On i ja pijaliśmy gorący kirsz w zimie.

— I co się wtedy stało?

— W końcu ludzie zaczęli mieć zastrzeżenia.

— Jedyne pisarz, jakiego poznałem, to Stewart Edward White — powiedział Pop. — Strasznie się zachwycałem tym, co pisał. Bo, wie pan, to było diabelnie dobre. A potem go poznałem. Nie podobał mi się.

— ■ Robi pan postępy — odrzekłem. — Widzi pan? Anegdoty literackie to nie żadna sztuka.

— Dlaczego się panu nie podobał? — spytała go P.O.M.

— Czy muszę to powiedzieć? Czy tej anegdotce jeszcze coś brak? Przecież nasz stary tak właśnie je opowiada.

— No, niech pan mówi.

— Za dużo miał w sobie ze starego wygi. Oczy przywykłe do dalekich przestrzeni i te rzeczy. Za wiele, psiakrew, natłukł lwów. Nie

^N wierzę, żeby zabił tyle lwów. Gonił je, to owszem. Tyle zabić nie można. Bo w końcu taki cholerny lew zabije człowieka. On pisze fajne rzeczy w „Saturday Evening Post” o tym, jakże mu tam, Andy Burnecie. O, diabelnie fajne. Ale okropnie mi się nie podobał. Zobaczycie go w Nairobi z tymi oczami przywykłymi do dalekich przestrzeni. W mieście nosi swoje najstarsze łachy. Wszyscy mówią, że świetnie strzela.

— No, przecież* z pana jest morowy literat — powiedziałem. — Czy może być lepsza anegdota?

— On jest cudowny — rzekła P.O.M. — Czy my już nigdy nic nie zjemy?

— Jak Boga kocham, myślałem, żeśmy już jedli — odparł Pop. — Tylko zacząć te anegdoty, to nie ma temu końca.

Po kolacji posiedzieliśmy jeszcze chwilę przy ogniu, a potem położyliśmy się spać. Jedna rzecz widać chodziła Popowi po głowie, bo zanim wszedłem do namiotu, powiedział:

— Ponieważ pan już się tyle naczekał, więc jak pan dojdzie do strzału, niech pan to robi spokojnie. Jest pan dostatecznie szybki, więc może pan się nie spieszyć, niech pan o tym pamięta. Tylko spokojnie.

— Dobra.

— Każę pana wcześniej obudzić.

— Dobrze. Jestem strasznie śpiący.

— Dobranoc, panie Jot Pe — zawołała P.O.M. z namiotu.

— Dobranoc — powiedział Pop. Odszedł do swojego namiotu poruszając się z komiczną sztywnością, idąc po ciemku tak ostrożnie, jak gdyby był otwartą butelką.

11

Rano obudził mnie Moło pociągając za koc i zacząłem się ubierać, ubrałem i wyszedłem zmyć sobie sen z, oczu, zanim się naprawdę obudziłem. Było jeszcze bardzo jciemno i widziałem plecy Popa czerniejące na tle ognia. Poszedłem tam trzymając w ręku kubek porannej gorącej herbaty z mlekiem i czekając, by na tyle ostygła, ażebym mógł ją wypić.

— Dzień dobry — powiedziałem.

— Dzień dobry ■ — odrzekł tym swoim ochryplym szeptem.

— Jak się spało?

— Doskonale. W formie pan?

— Tyle że śpiący.

Wypiłem herbatę i wyplułem listki w ogień.

— Może pan sobie z nich powróżyć, czy panu się uda, psiakrew.

— Nie ma obawy.

Śniadanie' w ciemności, przy latarni, morele chłodne i śliskie od soku, siekane mięso gorące w środku, przyrumienione, polane keczupem, i ciepła, dopełniająca obietnicy kawa. Przy trzecim kubku Pop, który przypatrywał mi się paląc fajkę, powiedział:

— Jeszcze dla mnie za wcześnie, żeby się pozbierać.

— Wzięło pana?

■ — Trochę.

— Ja się dużo ruszam — powiedziałem. — Mnie to nie szkodzi.

— Te cholerne anegdoty — rzekł Pop. — Memsahib musi myśleć, że jesteśmy głupie durnie.

— Przypomnę sobie jeszcze jakieś.

— Nie ma nic lepszego od picia. Nie rozumiem, dlaczego człowiek musi się po tym źle czuć.

— A pan źle się czuje?

— Nieszczególnie.

— Może by pan zażył sole?

— Wszystko przez to przekłete jeżdżenie samochodami.

— Ano, dziś wielki dzień.

— Niech pan pamięta, żeby tylko spokojnie.

— Chyba pan się o to nie martwi, co?

— Odrobinę.

— Nie trzeba. Ja się nie martwię ani przez chwilę. Naprawdę.

— Dobra. No, to czas jechać.

— Najpierw muszę pójść na stronę.

Stojąc przed brezentowym półkolem latryny patrzyłem jak co rano na ten przymglony rój gwiazd, który romantycy spośród astronomów nazywają Krzyżem Południa. Co rano w owej chwili obserwowałem Krzyż Południa z uroczystym ceremoniałem.

Pop był przy samochodzie. M'Kola podał mi springfielda i usiadłem na przedzie. Tragik i jego tropiciel siedzieli z tyłu.

— Wszystkiego dobrego — powiedział Pop.

Ktoś szedł ku nam od namiotów. Była to P.O.M. w niebieskim szlafroku i przeciwmoskitowych butach.

— Och, wszystkiego dobrego — powiedziała. — Proszę cię, wszystkiego dobrego!

Pomachałem im ręką i ruszyliśmy, a reflektory oświetlały nam dojazd do drogi.

Przy lizawce nie było nic, kiedyśmy tam dotarli zostawiwszy samochód o jakieś trzy mile od niej i podchodząc bardzo ostrożnie. Przez całe rano też nic nie przyszło. Siedzieliśmy w budce, ze schylonymi

głowami, każdy wypatrywał w innym kierunku przez szpary w plecionej łożynie i wciąż oczekiwałem cudu nadejścia majestatycznego, pięknego byka przez lasek na szarą, piaszczystą polankę między drzewami gdzie była lizawka, ubita, pożłobiona i udeptana. Spomiędzy drzew prowadziły do niej liczne ścieżki i każdą z nich mógł cicho nadejść kudu.

Jednakże nie przyszło nic. Kiedy słońce wstało i rozgrzało nas po mglistym chłodzie poranka, wcisnąłem się siedzeniem głębiej w piasek i odchyliłem w tył na ściankę wykopu opierając się o nią krzyżem i ramionami, ale tak, żeby nadal móc patrzeć przez szparę w budce. Położywszy sobie springfielda na kolanach, zauważyłem, że na lufie jest rdza. Powoli przekręciłem go i obejrzałem wylot. Był brunatny od świeżej rdzy.

„Drań wcale go wczoraj nie wyczyścił po tym deszczu” — pomyślałem i bardzo zły podniosłem rączkę zamka i wyciągnąłem go. M'Kola obserwował mnie ze spuszczoną głową. Dwaj pozostali wyglądali przez szpary. Przytrzymałem sztucer jedną ręką, żeby M'Kola mógł zajrzeć przez komorę, potem założyłem na powrót zamek i delikatnie posunąłem go do przodu spuszczając ostrożnie cynglem iglicę, bo wołałem, żeby broń była gotowa do zarepetowania niż zabezpieczona.

M'Kola widział zardzewiałą lufę. Twarz mu się nie zmieniła, a ja nie powiedziałem nic, tylko byłem pełen pogardy, i w ten sposób bez jednego słowa odbyło się oskarżenie, sąd i skazanie. Siedzieliśmy więc tam, on ze spuszczoną głową, tak że było widać tylko tyse ciemnię, ja odchyłony do tyłu wyglądałem przez szparę, i nie byliśmy już partnerami, nie byliśmy już dobrymi przyjaciółmi i nic nie przyszło do lizawki. V

O dziewiątej powiew, który się zerwał od wschodu, zaczął się odwracać i wiedzieliśmy, że już nic z tego nie będzie. Zapach nasz rozchodził się na wszystkie strony dookoła budki i musiał odstraszyć każdą zwierzynę równie pewnie, jak gdybyśmy obracali w koło reflektor w ciemnościach. Wyleźliśmy z budki i poszli poszukać śladów na piasku lizawki. Deszcz zwilżył go, ale nie rozmoczył, i zobaczyliśmy kilka tropów kudu, prawdopodobnie pozostawionych wczesną nocą, i jeden trop dużego byka, podłużny, wąski, w kształcie serca, odcisnięty wyraźnie, głęboko.

Przez dwie godziny szliśmy tym tropem po wilgotnej, czerwonawej ziemi, w gęstym buszu, który przypominał młody zagajnik u nas w kraju. W końcu musieliśmy zawrócić w gąszczu, przez który nie można było się przedrzeć. Przez cały ten czas byłem zły z powodu nie wyczyszczonego sztucera, a jednak szczęśliwy i zemocjonowany myślą, że

może poderwiemy byka i zdołam go trzasnąć w tych zaroślach. Ale nie zobaczyliśmy nic, i teraz, w wielkim południowym upale, obeszlśmy trzema długimi łukami jakieś wzgórze i w końcu, wydostawszy się na łąkę pełną drobnego, garbatego bydła masajskiego, pozostawwszy za sobą wszelki cień, pobrnęliśmy w południowym słońcu na przełaj po otwartym do samochodu.

Kamau siedząc w samochodzie widział byka kudu, który przeszedł o sto jardów od niego. Kierował się ku lizawce mniej więcej o dziewiątej, rano, kiedy to wiatr zaczął robić sztuki, najwidoczniej zwietrzył nas i zawrócił na wzgórze. Zmęczony, spocony i teraz bardziej oklapnięty niż zły, usiadłem obok Kamaua i ruszyliśmy do obozu. Został już tylko jeden wieczór i nie było żadnego powodu spodziewać się, że szczęście dopisze nam lepiej niż dotychczas. Kiedy wjechaliśmy do obozu, w cień gęstych drzew chłodny jak sadzawka, wyjąłem zamek ze springfielda i podałem sztucer bez zamka M'Koli nie mówiąc nic ani nie patrząc na niego. Zamek rzuciłem przez otwór naszego namiotu na moje łóżko polowe.

Pop i P.O.M. siedzieli pod namiotem-jadalnią.

— Nie poszczęściło się? — zapytał Pop łagodnie.

— Ni cholery. Byk przeszedł koło samochodu w stronę lizawki. Musiał się spłoszyć. Nałaziliśmy się, diabli wiedzą ile.

— I nic nie widziałeś? — spytała P.O.M. — Raz nam się wydało, że słyszemy strzał.

— To Garrick trzasnął pyskiem. A ci zwiadowcy coś mieli?

— Nic a nic. Obserwowaliśmy obydwu wzgórze.

— Jest jakaś wiadomość od Karla?

— Ani słowa.

— Chętnie byłbym zobaczył z jednego — powiedziałem. Byłem wyčerpany i szybko przechodziłem w złość. — Niech to szlag trafi. Dlaczego on, cholera, musiał zmarnować tę lizawkę pierwszego rana i strzelać po miękkim jakimś parszywemu bykowi, i gonić go po całej tej zafajdanej okolicy, żeby tu wszystko przepłoszyć jak nagła krew?

— Dranie — powiedziała P.O.M. nie opuszczając mnie w mojej nierozumności. — Sukinsyny.

— Ty jesteś dobra dziewczynka — powiedziałem. — Już się uspokoiłem. Albo się uspokoję.

— Coś okropnego — rzekła. — Biedny stary Papa.

— Niech pan się czegoś napije — odezwał się Pop. — Tego panu potrzeba.

— Polowałem porządnie, Pop. Przysięgam na Boga, że tak. Dobrze mi było i nie martwiłem się aż do dzisiaj. Taki byłem cholernie pewny. Ciągłe te przekłete tropy — i co z tego, jeżeli nigdy żadnego nie wi-

dzę? Skąd mogę wiedzieć, psiakrew, czy my tu jeszcze kiedyś wrócimy?

— Wróćcie — odparł Pop. — Nie potrzebuje się pan o to martwić. No, jazda. Niech pan pije.

— Wiem, że jestem parszywy, żołądkujący się drań, ale przysięgam, że się nie denerwowałem aż do dzisiaj.

— Coś z żołądkiem? — spytał Pop. — Najlepiej to przepłukać.

— Może byśmy zjedli obiad? — spytała P.O.M. — Pewnie jesteś okropnie głodny.

— Do diabła z obiadem. Mnie idzie o to, Pop, żeśmy ani razu nie widzieli ich wieczorem przy soli i że nie zobaczyliśmy ani jednego byka na wzgórzach. Mam jeszcze tylko dzisiejszy wieczór. Wygląda, że to kłapa. Trzy razy już prawie je miałem, a Karl, ten Austriak i Wanderobo wszystko nam popsuli.

— Nic nie jest popsute — odrzekł Pop. — Niech pan wypije jeszcze jedną.

Zjedliśmy obiad, bardzo dobry obiad, i właśnie skończyliśmy, kiedy podszedł Kati i powiedział, że ktoś chce się zobaczyć z Popem. Widzieliśmy ich cienie na płacie namiotu, a potem wyszli przed namiot. Był to tamten stary z pierwszego dnia, ten stary rolnik, tylko że teraz wystroił się jak myśliwiec i miał długi łuk i zamknięty kołczan ze strzałami.

Wydawał się starszy, bardziej niezachęcający i zmęczony niż kiedykolwiek, a jego strój był najwyraźniej przebraniem. Czekał z nim ów chudy, brudny Wanderobo z zakręconymi uszami, który teraz stał na jednej nodze i drapał się pod kolanem palcami drugiej. Głowę trzymał przekrzywioną na bok i miał wąską, głupią, zdeprawowaną twarz.

Stary rozmawiał poważnie z Popem, zaglądając mu w Oczy, mówiąc powoli, bez gestów.

— Czego on chce? Przebrał się tak, żeby dostać trochę forsy jako zwiadowca? — spytałem.

— Chwileczkę — odrzekł Pop.

— Niech pan patrzy, co to za para — powiedziałem. — Ten durny Wanderobo i ten parszywy stary oszust. Co on mówi, Pop?

— Jeszcze nie skończył — odparł Pop.

Wreszcie stary skończył i stał oparty na swoim łuku — rekwizycie teatralnym. Obaj wydawali się bardzo zmęczeni, ale pamiętam, iż pomyślałem, że wyglądają na dwóch obrzydliwych oszustów.

— Mówi — zaczął Pop — że znaleźli teren, gdzie są kudu, i antylopy szablrogie. Był tam trzy dni. Wiedzą, gdzie jest duży byk kudu, i ten stary ma tam człowieka, który go w tej chwili śledzi.

— Wierzy pan w to? — Czułem, jak alkohol i zmęczenie wyparują ze mnie, a na ich miejsce pojawia się emocja.

— Bóg wie — odrzekł Pop.

— Jak daleko jest ten teren?

— ■ Jeden dzień marszu. Przypuszczam, że to będzie trzy—cztery godziny samochodem, jeżeli da się przejechać.

— A on myśli, że wóz tam przejedzie?

— Jeszcze żaden tam nie był, ale myśli, że da się radę.

— Kiedy rozstali się z tym, co śledzi byka?

— Dziś rano.

— Gdzie są szablofogi?

— Na wzgórzach.

— Jak tam się dostać?

— Nie mogę się zorientować, tyle że trzeba przejechać przez równinę, dookoła tej góry, a potem na południe. On mówi, że na tym terenie jeszcze nikt nie polował. Sam polował tam, kiedy był młody.

— Pan w to wierzy?

— Oczywiście, krajowcy kłamią jak cholera, ale on to opowiada bardzo jasno.

— To jedźmy.

— Niech pan od razu rusza. Trzeba dojechać samochodem jak można najdalej, a potem użyć go jako bazy i polować od tego miejsca. Rano Memsahib. i ja zwiniemy tu obóz, zabierzemy całą wyprawę i pojedziemy tam, gdzie jest Dan i pan T. Kiedy już przedostaniemy się przez ten odcinek czarnego błota, wszystko będzie w porządku, nawet jeżeli nas złapią deszcze. Pan potem dołączy do nas. Gdyby pan utknął, zawsze możemy w najgorszym razie posłać wóz przez Kandoa, a ciężarówki do Tanga i potem naokoło.

— Pan nie chce jechać?

— Nie. Lepiej, jak pan będzie sam na takiej imprezie. Im więcej ludzi, tym mniej pan zobaczy zwierzyny. Na kudu trzeba polować w pojedynkę. Ja poprowadzę wyprawę i będę pilnował małęj Memsahib.

— Dobrze — powiedziałem. — I nie muszę brać Garricka ani Abdulaha?

— Ależ skąd. Niech pan weźmie M'Kole, Kamaua i tych dwóch. Powiem Molowi, żeby spakował pana rzeczy. Niech pan bierze jak najmniej.

— Psiakrew, Pop, myśli pan, że to może być prawda?

— Możliwe — odparł. — Trzeba zaryzykować.

— Jak się mówi „szablorogi”?

— Tarahalla.

— Walhalla, będę pamiętał. Czy samice mają rogi?

— Jasne, ale nie można się pomylić. Byk jest czarny, a one brązowe. Nie pomieszają się panu.

— Czy M'Kola je kiedyś widział?

— Nie sądzę. Ma pan cztery na zezwoleniu. Jak tylko się panu trafi lepsza sztuka, niech pan wali.

— Trudno je zabić?

— Są dość twarde. Nie takie jak kudu. Jeżeli pan którąś położy, niech pan do niej podchodzi ostrożnie.

— A jak jest z czasem?

— Musimy już się stąd zabierać. Niech pan wróci do jutra" wieczorem, jeżeli się da. Sam pan osądzi. Myślę, że to jest punkt, zwrotny. Będzie pan miał kudu.

— Wie pan, jak to jest? — powiedziałem. — Zupełnie jak kiedy byłem mały i słyszeliśmy o jakiejś rzece, w której nikt jeszcze nie łowił, daleko na łąkach, gdzie rosną jagody, za Jesiotrem i Gołębiem.

— I jaka się okazała ta rzeka?

— Niech pan posłucha. Piekielnie ciężko było tam się dostać i kiedyśmy doszli wieczorem, przed samym zmrokiem, i zobaczyłem ją, był tam duży, głęboki zalew i długa prosta połać wody tak zimnej, że nie mogłem utrzymać w niej ręki; wrzuciłem do niej niedopałek papierosa i złapał go duży pstrąg, a potem inne też go. chwytaly i wypluwały, gdy spływał; aż w końcu się rozleciał.

— Duże były?

— Te największe.

— Boże, ratuj! — rzekł Pop. — I co pan potem zrobił?

— Złożyłem wędkę, zarzuciłem ją i już się ściemniło, jakiś lelek krążył w pobliżu, zimno było jak diabli i ledwie muszki padły na wodę, trzy ryby wzięły od razu.

— Wyciągnął je pan?

— Wszystkie trzy.

— Ale pan buja!

— Jak Boga Kocham.

— Wierzę panu. Resztę opowie mi pan po powrocie. To były duże pstrągi?

— Największe, jakie są.

— Boże, ratuj nas! — rzekł Pop. — Będzie pan miał kudu. Niech pan jedzie.

W namiocie zastałem P.O.M. i opowiedziałem jej wszystko.

— Niemożliwe!

— Naprawdę.

— Spiesz się — powiedziała. — Nie rozmawiaj. Jedź zaraz.

Wyciągnąłem płaszcz nieprzemakalny, zapasowe buty, skarpetki,

płaszcz kąpielowy, flakonik z tabletkami chininy, olej citronellowy, notes, ołówek, pudełko pełnych pocisków, aparaty, apteczkę podróżną, nóż, zapalniczki, zapasową koszulę i podkoszulek, książkę, dwie świece, pieniądze, flaszkę...

— Co jeszcze?

— Mydło masz? Weź grzebień i ręcznik. Masz chustki?

— W porządku.

Molo zapakował wszystko do plecaka, ja zabrałem swoją lornetkę, M'Kola wziął dużą lornetkę polową Popa i manierkę z wodą, a Kati przysłał skrzynkę z jedzeniem.

— Niech pan weźmie dużo piwa — rzekł Pop. — Może je pan zostawić w samochodzie. Whisky już mamy niewiele, ale tu jest butelka.

— A co zostanie dla was?

— Wystarczy. Jest jeszcze trochę w tamtym obozie. Daliśmy dwie butelki panu K.

— Mnie jest potrzebna tylko płaska flaszkę — powiedziałem. — Podzielimy się tą butelką.

— To niech pan weźmie dużo piwa. Mamy go, ile chcecie.

— Co ten drań wyprawia? — zapytałem pokazując Garricka, który sadowił się w -samochodzie.

— Mówi, że pan i M'Kola nie będziecie mogli porozumieć się z tamtejszymi krajowcami. Musicie mieć jakiegoś tłumacza.

— To zaraza!

— Rzeczywiście będzie panu potrzebny ktoś, kto by przetłumaczył na suaheli to, co wam powiedzą.

— No, dobrze. Ale niech pan mu powie, że on nie ma nic do gadania i żeby trzymał gębę na kłódkę.

— Pojedziemy z panem na szczyt wzgórza — rzekł Pop i ruszyliśmy z Wanderobem uwieszonym na stopniu. — Zabierzemy po drodze tego starego z wioski.

Wszyscy w obozie wyszli popatrzeć na nasz odjazd.

— Czy mamy dosyć soli?

— Tak.

Po chwili staliśmy przy samochodzie w wiosce, czekając żeby stary i Garrick wrócili ze swoich chat. Było wczesne popołudnie, -niebo się zaciągało chmurami, a ja patrzyłem na P.O.M., bardzo powabną, wyświeżoną i schludną w swym khaki i butach, w stetosonie nasadzonej na bakier, i na Popa, wysokiego, masywnego, w spłowiałej welwetowej kurtce bez rękawów, która była już prawie biała od prania i od słońca.

— Bądź grzeczna.

— Nie martw się. Żałuję, że nie mogę pojechać.

— To jest jednoosobowa impreza — powiedział Pop. — Trzeba tam

dostać się szybko, zrobić co należy, i zaraz wracać. I tak pan ma duże obciążenie.

Ukazał się stary i usadowił się na tylnym siedzeniu obok M'Koli, który miał na sobie moją starą zielonkawą kurtkę bez rękawów, przeznaczoną do polowań na przepiórki. ,

— M'Kola ma pańską kurtkę — rzekł Pop.

— Lubi nosić różne rzeczy w tych kieszeniach na ptactwo — odpowiedziałem.

M'Kola zauważył, że o nim mówimy. Zapomniałem o nie wyczyszczonym sztucerze. Teraz przypomniałem sobie i powiedziałem do Popa:

— Niech pan go spyta, skąd ma tę nową kurtkę.

M'Kola wyszczerzył zęby i coś odpowiedział.

— Mówi, że to jego własność.

Uśmiechnąłem się do M'Koli, a on potrząsnął swą starą, łysą głową i tak nastąpiło porozumienie, że nie będzie już mowy o sztucerze.

— Gdzież ten drań Garrick? — spytałem.

W końcu wyszedł z kocem i usadowił się obok M'Koli i starego na tylnym siedzeniu. Wanderobo siedział na przedzie ze mną i z, Kamauem.

— Masz przystojnego przyjaciela — powiedziała P.O.M. — Ty też bądź grzeczny.

Pocałowałem ją na do widzenia i coś sobie poszeptaliśmy.

— Dziobkują się i gruchają — rzekł Pop. — Niesmaczne.

— Do widzenia, stary łobuzie.

— Do widzenia, cholerny pogromco byków.

— Do widzenia, kochanie.

— Do widzenia i wszystkiego dobrego.

— Macie sporo benzyny, a jeszcze trochę zostawimy tutaj — zawołał Pop.

Pomachałem im ręką i ruszyliśmy w dół przez wieś, wąską drogą, która zbiegała na porośniętą krzakami, suchą równinę, rozciągającą się poniżej tych dwóch dużych, niebieskich wzgórz.

Obejrzałem się za siebie, kiedyśmy zjeżdżali po pochyłości, i zobaczyłem dwie sylwetki, jedną wysoką i masywną, drugą drobną i zgrabną, obie w wielkich stetsonach, odchodzące drogą z powrotem do obozu, a potem popatrzyłem przed siebie na wyschlą, porośniętą krzakami równinę.

12

Droga była właściwie tylko szlakiem, a równina wyglądała bardzo niezachęcająco. Jadąc zobaczyliśmy kilka smukłych gazeli Granta bielejących na tle szarych drzew i wypalanej żółtości trawy. Moje rozradowanie gasło, w miarę jak rozciągała się coraz dalej ta równina, typowa okolica uboga w zwierzynę, i wszystko zaczęło mi się wydawać jakieś niemożliwe i romantyczne, i zupełnie nieprawdziwe. Wanderobo wydzielał bardzo silny odór i przyglądałem się muszłom jego uszu, prostym, a dalej zgrabnie zagiętym, i dziwnej, nienegroidalnej twarzy o wąskich wargach. Kiedy zauważył, że przypatruję się jego twarzy, uśmiechnął się miło i podrapał w pierś. Obejrzałem się na tył wozu. M'Kola spał. Garrick siedział wyprostowany, dramatyzując swoje czuwanie, a stary wypatrywał drogi.

Teraz nie było już drogi, tylko szlak wydeptany przez bydło, ale zbliżyliśmy się do krańca równiny. A potem równina została za nami, w przedzie ukazały się duże drzewa i wjechaliśmy w najładniejszy kraj, jaki widziałem w Afryce. Trawa była zielona i równa, krótka jak na łące, która po skoszeniu odrosła na nowo, drzewa duże i stare, o wysokich pniach, bez podsycia, tylko na gładkiej zieleni murawy jak w parku jelenim, i jechaliśmy przez cień i plamy słońca słabo widocznym szlakiem, który wskazywał Wanderobo. Nie mogłem uwierzyć, że nagle znaleźliśmy się w tak wspaniałym kraju. Była to okolica, z której można się zbudzić z radością, że miało się taki sen, więc chcąc się przekonać, czy nagle nie zniknie, wyciągnąłem rękę i dotknąłem ucha Wanderoba. Podskoczył, a Kamau parsknął śmiechem. M'Kola trącił mnie z tylnego siedzenia i pokazał coś palcem i zobaczyłem, że na otwartej przestrzeni między drzewami stoi z podniesionym łbem i najęzoną szczeciną na grzbiecie ogromny dzik o długich, grubych, zakręconych białych szablach i błyszczących ślepiach, obserwując nas z odległości niespełna dwudziestu jardów. Dałem znak Kamauowi, żeby stanął, i siedzieliśmy tak patrząc na dzika, a on na nas. Podniosłem sztucer i wymierzyłem w jego pierś. Patrzył i ani drgnął. Potem dałem znak

Kamauowi, żeby wrzucił bieg, i pojechaliśmy dalej, robiąc zakręt w prawo, i zostawiliśmy dzika, który nie ruszył się z miejsca i nie okazał żadnego strachu na nasz widok.

Widziałem, że Kamau jest tym przejęty, a kiedy się obejrzałem, M'Kola kiwnął potwierdzająco głową. Żaden z nas nie widział dotąd dzika, który by nie wrywał szybkim truchtem, z zadartym ogonem. Tu był kraj dziewiczy, nie opolowana kieszka na owym milionie mil cholernej Afryki. Byłem gotów zatrzymać się i rozbić obóz w pierwszym lepszym miejscu.

To była najpiękniejsza okolica, jaką widziałem, ale jechaliśmy dalej, klucząc między wielkimi drzewami po łagodnie falującej trawie. A potem na prawo przed nami zobaczyliśmy wysoką palisadę wioski Masajów. Była to bardzo duża wieś i wybiegli z niej długonodzy, brunatni mężczyźni o płynnych ruchach, którzy wydawali się wszyscy w tym samym wieku i mieli włosy splecione w grube jak kije warkocze, podskakujące im na barkach, gdy biegli. Dopadli do samochodu i otoczyli go śmiejąc się, uśmiechając i gadając. Wszyscy byli wysocy, zęby mieli białe i zdrowe, a włosy zabarwione na czerwobrunatno i ułożone w grzywkę podwiniętą na czole. Trzymali w rękach włócznie i byli bardzo urodziwi i niezmiernie weseli, nie ponurzy ani wzdargliwi jak północni Masaje, i chcieli się dowiedzieć, co mamy zamiar robić. Wanderobo najwyraźniej powiedział, że polujemy na kudu i że się spieszymy. Otaczali jednak wóz tak, że nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Jeden coś powiedział, przyłączyli się do niego trzej czy czterej inni i Kamau wyjaśnił mi, że po południu widzieli dwa byki kudu przechodzące ścieżką.

„To nieprawda — powiedziałem do siebie. — To nie może być”.

Kazałem Kamauowi ruszać i powoli zaczęliśmy przeciskać się przez nich, a oni śmiali się i próbowali zatrzymać wóz, tak że o mało nie popadali pod koła. Był to najroślejszy, najlepiej zbudowany i najdorodniejszy lud, jaki kiedykolwiek widziałem, i pierwsi naprawdę beztrudnie weseli ludzie, jakich spotkałem w Afryce. W końcu, kiedy się oddaliśmy, zaczęli biec obok samochodu uśmiechając się, śmiejąc i pokazując, z jaką łatwością potrafią biegać, a potem, kiedy w gładkiej dolinie strumienia było już lepiej jechać, zmieniło się to w zawody i jeden po drugim odpadał od wyścigu, machając przy tym do nas ręką z uśmiechem, aż w końcu biegli obok nas już tylko dwaj najlepsi biegacze ze wszystkich i bez trudu dotrzymywali tempa samochodowi, gnając na długich nogach gładko, swobodnie i z dumą. A biegli nie byle jak, z szybkością konia wyścigowego, trzymając przy tym włócznie. Potem musieliśmy skrócić w prawo i z tej doliny mającej gładkość pola golfowego wydostać się na pofalowaną łąkę i kiedy zwolniliśmy, jadąc pod górę

pierwszym biegiem, cała paczka dopędziła nas znowu ze śmiechem, usiłując nie pokazać po sobie zdyszenia. Gdy przejeżdżaliśmy przez niewielką kępę zarośli, wyskoczył z nich dzikimi zygzakami mały królik, a wszyscy Masaje rzucili się za nim szalonym sprintem. Złapali królika i najwyższy z biegaczy podszedł z nim do samochodu i wręczył go mnie. Wziąłem królika i poczułem bicie jego serca przez miękkie, ciepłe, puszyste ciało i kiedy go pogładziłem, Masaj poklepał mnie po ręce. Trzymając królika za uszy chciałem mu go oddać. Nie, nie; miał być dla mnie. Jako prezent. Podałem go M'Koli. M'Kola nie wziął tego poważnie i zwrócił królika jednemu z Masajów. Jechaliśmy dalej i tamci zaczęli biec znowu. Masaj schylił się i położył królika na ziemi, a kiedy ten zaczął, zmykać, wszyscy się roześmieli. M'Kola potrząsnął głową. Ci Masaje zrobili na nas wielkie wrażenie.

— Dobre Masaje — powiedział M'Kola bardzo przejęty. — Masaje dużo bydła; Masaje nie zabijają na jedzenie. Masaje zabijają człowieka. Wanderobo klepnął się w pierś.

— ■ Wanderobo-Masaj — powiedział z wielką dumą, powołując się na pokrewieństwo. Uszy miał tak samo zagięte jak oni. Ich widok, kiedy biegli, diablo urodziwi i tacy rozradowani, rozradował nas wszystkich. Nigdy nie widziałem równie szybkiej, bezinteresownej życzliwości ani takich dorodnych ludzi.

— Dobre Masaje — powtórzył M'Kola kiwając energicznie głową. — Dobre, dobre Masaje.

Jedynie Garrick odniósł najwidoczniej inne wrażenie. Wydaje mi się, że mimo jego stroju khaki i listu od B'wana Simby ci Masaje napędzili mu porządnego stracha. To byli nasi przyjaciele, nie jego. Za to naszymi byli na pewno. Mieli tę postawę, która wywołuje zbratanie, to nie wyrażane, ale natychmiastowe i bezwzględne domniemanie, że każdy musi być Masajem, skądkolwiek przychodzi. Tę postawę, którą spotyka się tylko u najlepszych Anglików, najlepszych Węgrów i naprawdę najlepszych Hiszpanów; coś, co dawniej było najwyraźniejszą cechą szlachty, kiedy jeszcze istniała szlachta. Jest to postawa nieoświecona i ci, co ją mają, nie mogą przetrwać, ale człowiekowi może się zdarzyć bardzo niewiele rzeczy przyjemniejszych niż jej napotkanie.

Tak więc znowu zostało teraz tylko dwóch biegnących i teren był ciężki, i maszyna ich wyprzedzała. Wciąż biegli dobrze i swobodnie, długimi susami, ale maszyna nadawała okrutne tempo. Kazałem więc Kamauowi przyspieszyć i skończyć z tym, bo nagły zryw szybkości nie był tak upokarzający, jak równomierne wyprzedzanie. Popędzili, zostali pokonani, roześmieli się, a potem my, wychyleni z wozu, pomachaliśmy im rękami, a oni stanęli oparci na włóczniach i pomachali do nas. Byliśmy dalej wielkimi przyjaciółmi, ale teraz znów zostaliśmy sami i już

nie było żadnej ścieżki, tylko ogólny kierunek, w którym mieliśmy podążać między kępami drzew wzdłuż biegu tej zielonej doliny.

Wkrótce drzewa zgęstniały i zostawiliśmy za sobą tę idylliczną okolicę i teraz posuwaliśmy się naprzód słabo widocznym szlakiem przez gęste zagajniki. Czasem musieliśmy zatrzymać się raptownie, wysiąść i odciągnąć z drogi kłodę albo ściąć drzewko, które blokowało samochód. To znów trzeba było cofnąć się z gąszczu i wyszukać inną drogę, którą można by go objechać i wrócić na ścieżkę, wyrąbując sobie przejazd długimi nożami do cięcia krzaków, nazywanymi panga. Wanderobo był lichym rębaczem, a Garrick niewiele lepszym. M'Kola doskonale robił każdą rzecz, do której trzeba użyć noża, i zadawał pangą szybkie, ale ciężkie i mściwe ciosy. Ja władałem nią niedobrze. Wymagało to za wiele ruchów kiścią, żeby się tego szybko nauczyć; kiść omdlewała i ostrze zdawało się mieć większy ciężar, niż miało naprawdę. Żałowałem, że nie mam obosiecznego michigańskiego toporka, wyostrzonego jak brzytwa, którym mógłbym rąbać zamiast tego siekania drzew jak szablą.

Wyrąbując sobie drogę, kiedy utknęliśmy, i wymijając, co tylko się dało — przy czym Kamau prowadził wóz inteligentnie, z dobrym wyczuciem terenu — przedostaliśmy się przez trudny odcinek znów na otwartą przestrzeń łąk i po prawej zobaczyliśmy pasmo wzgórz. Ale spadł tu niedawno obfity deszcz i musieliśmy bardzo uważać na niżej położonych częściach łąki, bo tam opony przerzynały się przez darń aż do błota i buksowały w śliskiej mazi. Dwa razy musieliśmy naścinać gałęzi i przekopywać sobie drogę, a potem, nauczywszy się nie ufać tym niższym częściom łąki, okrążyliśmy ją wysokim skrajem i znowu znaleźli się między drzewami. Kiedy wyjechaliśmy z lasu po kilku długich kołowaniach w poszukiwaniu miejsc, przez które wóz mógłby się przedostać, znaleźliśmy się nad brzegiem strumienia, przez którego łożysko przechodziło coś w rodzaju porośniętego krzakami pomostu, zbudowanego podobnie do grobli bobrowej i najwyraźniej przeznaczonego do zatrzymywania wody. Na drugim brzegu było ogrodzone krzakami cierniowymi pole kukurydzy — strome, usiane pieńkami zbocze, całe obsadzone kukurydzą — na nim kilka opuszczonych zagród dla bydła, czyli miejsc obwiedzionych płotem z cierni, oraz domki z gliny i łóz, a na prawo stożkowate chaty sterzące znad gęstego płotu cierniowego. Wysiedliśmy wszyscy, bo ten strumień był problemem, a jedyna droga po tamtej stronie, którą mogliśmy wydostać się na brzeg, prowadziła przez to usiane pieńkami pole kukurydzy.

Stary powiedział, że deszcz spadł tego dnia. Kiedy rano przechodzili przez tę porośniętą krzakami groblę, woda nie przelewała się przez nią. Byłem tym dosyć zmartwiony. Dostaliśmy się tutaj przez piękny

dziewiczy las, w którym widziano idące ścieżką kudu, po to, żeby utknąć na brzegu małego strumienia, w którymś polu kukurydzy. Nie spodziewałem się zastać tu pola kukurydzy i byłem zły, że tu jest. Pomyślałem, że trzeba będzie uzyskać pozwolenie na przejazd przez tę kukurydzę, jeżeli w ogóle zdołamy przedostać się przez strumień na drugi brzeg, więc zdjąłem buty i pobrodziłem w wodę, żeby wypróbować dno stopą. Gałęzie i drzewka na dnie były mocno ubite i twarde, i to mnie upewniło, że zdołamy przejechać, jeżeli się dobrze rozpędzimy. M'Kola i Kamau zgodzili się z tym i wyszliśmy na brzeg, żeby zobaczyć, jak to będzie. Błoto na brzegu było miękkie, ale pod spodem była sucha ziemia, i pomyślałem, że możemy przekopać sobie drogę pod górę, jeżeli uda nam się przedostać między pieńkami. Ale przed taką próbą trzeba było rozładować wóz.

Od strony chat szli ku nam dwaj mężczyźni i chłopiec. Kiedy podeszli, powiedziałem: — Dżambo. — Odpowiedzieli: — Dżambo — po czym stary i Wanderobo zaczęli z nimi rozmawiać. M'Kola potrząsnął do mnie głową. Nie rozumiał ani słowa. Domyśliłem się, że prosimy o pozwolenie na przejazd przez kukurydzę. Kiedy stary skończył mówić, obaj mężczyźni podeszli bliżej i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Nie byli podobni do żadnych Murzynów, jakich dotychczas widziałem. Twarze mieli szarobrunatne, starszy wyglądał mniej więcej na pięćdziesiątkę, miał wąskie wargi, prawie grecki nos, dość wystające kości policzkowe i duże, inteligentne oczy. Był pełen wielkiej powagi i godności i wydawał się bardzo inteligentny. Młodszy miał ten sam typ rysów i wziąłem go za młodszego brata tamtego. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat. Chłopiec był ładny jak dziewczyna, wydawał się dosyć nieśmiały i głupi. Kiedy podeszedł, przez chwilę myślałem, sądząc po twarzy, że to dziewczyna, bo wszyscy mieli na sobie coś w rodzaju zebranej na ramieniu rzymskiej togi z nie bielonego muślinu, która nie ujawniała żadnych kształtów ciała.

Rozmawiali ze starym, w którym teraz, kiedy przypatrzyłem mu się stojącemu z nimi, zauważyłem jakieś pomarszczone i zdegenerowane podobieństwo do klasycznych rysów właściciela szamby, tak samo jak Wanderobo-Masaj był pokurczoną karykaturą tamtych przystojnych Masajów, których spotkaliśmy w lesie.

Potem zeszedłszy wszyscy do strumienia i Kamau, i ja okręciliśmy opony sznurami, które miały zastąpić łańcuchy, a tymczasem ów stary Rzymianin i reszta rozładowali wóz i pownosili najcięższe rzeczy na stromy brzeg. Następnie przejechaliśmy przez strumień dzikim, rozchlustanym zrywem i pchając z całej siły wóz dobrnęliśmy z nim do połowy drogi na brzeg, zanim utknął. Rąbaliśmy gałęzie i kopali łopa-

tami i w końcu wepchnęliśmy go na samą górę, ale dalej było już to pole kukurydzy i nie miałem pojęcia, dokąd stamtąd jechać.

— Jak jedziemy? — spytałem starszego Rzymianina.

Nie zrozumieli tłumaczenia Garricka i stary musiał wyjaśnić to pytanie.

Rzymianin wskazał ręką gęsty płot z cierni na lewo, u skraju lasu.

— Tamtędy nie możemy przejechać wozem.

— Kampi — powiedział M'Kola, co znaczyło, że mamy tam rozbić obóz.

— Paskudne miejsce — powiedziałem.

— Kampi — powtórzył stanowczo M'Kola, a wszyscy kiwnęli głowami.

— Kampi! Kampi! — rzekł stary.

— Tam my obóz — oznajmił pompatycznie Garrick.

— Idź do diabła — powiedziałem mu wesoło.

Poszedłem do miejsca wskazanego na obóz, z Rzymianinem gadającym bez przerwy w języku, z którego nie mogłem zrozumieć ani słowa. M'Kola był ze mną, a reszta załadowała samochód i ruszyła za nami. Przypomniałem sobie, iż gdzieś czytałem, że nigdy nie trzeba zakładać obozu w miejscu opuszczonym przez krajowców, a to z uwagi na kleszcze i inne niebezpieczeństwa, i byłem gotów sprzeciwić się temu obozowi. Weszliśmy przez lukę w ogrodzeniu z cierni i w środku zobaczyłem chatę z kłoców i drzewek pozatykanych w ziemię i przeplecionych gałęziami. Wyglądało to jak duży kojec dla kur. Rzymianin gestem ręki oddał nam do dyspozycji całą tę zagrodę i mówił dalej.

— Robactwo — powiedziałem do M'Koli w języku suaheli, mówiąc z mocnym sprzeciwem.

— Nie — odrzucił tę myśl. — Nie robactwo.

— Złe robactwo. Dużo robactwa. Choroba.

— Nie robactwo — odparł stanowczo.

Nie-robactwo przeważało i podczas gdy Rzymianin dalej gadał, jak ufam, na przyjemny temat, wóz podjechał, zatrzymał się pod ogromnym drzewem o pięćdziesiąt jardów od ogrodzenia z krzaków cierniowych i wszyscy zaczęli wnosić do środka rzeczy potrzebne do założenia obozu. Mój namiot z płata podłogowego rozbito między drzewem a bokiem kojca, a ja zasiadłem na skrzynce od benzyny, żeby przedyskutować sytuację łowiecką z Rzymianinem, starym i Garrickiem, podczas gdy Kamau i M'Kola zakładali obóz, a Wanderobo-Masaj stał na jednej nodze, z rozdziawionymi ustami.

— Gdzie był kudu?

— O tam — wskazując ręką.

— Duże?

Ręce rozłożone, żeby ukazać ogrom rogów, i potok słów Rzymianina.

Ja, słownikując mozolnie:

— Gdzie był ten, którego obserwowali?

Żadnego rezultatu poza długą mową Rzymianina, z której wyrozumiałem, że obserwowali wszystkie.

Było już późne popołudnie, a niebo ciężkie od chmur. Byłem przemoczony do pasa, a skarpetki miałem nasiąknięte błotem. Poza tym spocilem się od tego popychania samochodu i wyrąbywania krzaków.

— Kiedy idziemy? — spytałem.

— Jutro — odrzekł Garrick nie zadając sobie nawet trudu, żeby zapytać Rzymianina.

— Nie — odpowiedziałem. — Dzisiaj.

— Jutro — powtórzył Garrick. — Teraz późno. Jedna godzina światła. — Pokazał mi jedną godzinę na moim zegarku.

Znów zacząłem słownikować:

— Polować dzisiaj. Ostatnia godzina najlepsza godzina.

Garrick dał do zrozumienia, że kudu są za daleko. Że niepodobna zapolować i wrócić — a wszystko to gestami.

— Polować jutro.

— Ty draniu — powiedziałem po angielsku. Przez cały ten czas Rzymianin i stary stali nic nie mówiąc. Poczulem dreszcz: chociaż powietrze było ciężkie po deszczu, zrobiło się zimno, kiedy słońce zaszło za chmury.

— Stary — powiedziałem.

— Tak, pan? — odrzekł stary.

Słownikując starannie, powiedziałem:

— Polować na kudu dzisiaj. Ostatnia godzina najlepsza godzina.

Kudu blisko.

— Może.

— Polować teraz?

Pogadali między sobą.

— Polować jutro — wtrącił Garrick.

— Zamknij się, ty aktorze — odparłem. — Stary. Polować trochę teraz?

— Tak — odpowiedział stary, a Rzymianin kiwnął głową. — Za chwilę.

— Dobrze — rzekłem i poszedłem po koszulę, podkoszulek i parę skarpet.

— Polować teraz — powiedziałem M'Koli.

— Dobrze — odparł. — M'uzuri.

Czując się odświeżony w suchej koszuli, czystych skarpetach i po

zmianie butów, siedziałem na skrzynce od benzyny i popijałem whisky z wodą czekając na powrót Rzymianina. Miałem pewność, że będę strzelał do kudu, i chciałem opanować podniecenie, żeby się nie zdenerwować. Poza tym chciałem się zabezpieczyć od przeziębienia. A także miałem ochotę na whisky dla niej samej, bo bardzo lubię jej smak, i dlatego, że chociaż było mi teraz tak dobrze, jak to tylko możliwe, po wypiciu czułem się jeszcze lepiej.

Zobaczyłem nadchodzącego Rzymianina, podciągnąłem zamki błyskawiczne na butach, sprawdziłem, czy mam naboje w magazynku springfielda, zdjąłem z muszki ochraniacz i przedmuchałem szczyrbinę celownika. Potem dopiłem tego, co zostało w blaszanym kubku, stojącym na ziemi obok skrzynki, wstałem i sprawdziłem, czy mam chustki w kieszeniach koszuli.

Podszedł M'Kola niosąc swój nóż i dużą lornetę Popa.

— Ty zostań tutaj — powiedziałem do Garricka.

Nie miał nic przeciwko temu. Uważał, że głupio robimy wybierając się tak późno, i rad był dowieść, że popełniamy błąd. Wanderobo miał ochotę iść.

— Wystarczy — powiedziałem dając staremu znak, żeby został, po czym wyruszyliśmy z zagrody; Rzymianin z włócznią na przedzie, potem ja, potem M'Kola z lornetką i mannlicherem naładowanym pełnymi pociskami, a na końcu Wanderobo-Masaj z drugą włócznią.

Było po piątej, kiedy polem kukurydzy zeszliśmy do strumienia, przeprawili się tam, gdzie się zwęzał w wysokich trawach o sto jardów powyżej grobli, po czym wolno i ostrożnie wdrapaliśmy się na trawiasty brzeg po drugiej stronie, przemakając do pasa, kiedyśmy szli zgięci przez mokrą trawę i paprocie. Nie minęło nawet dziesięć minut i właśnie posuwaliśmy się ostrożnie po drugim brzegu, kiedy Rzymianin bez żadnego ostrzeżenia złapał mnie za rękę i kucnąwszy pociągnął na ziemię, a ja przypadając odciągnąłem zamek, żeby zarepetować sztucer. Powstrzymując oddech pokazał mi ręką drugi brzeg strumienia i tam na skraju drzew zobaczyłem wielkiego, popielatego zwierza z białymi pręgami na ciele i olbrzymimi rogami, które skręcały się spiralnie od łba do tyłu; stał zwrócony do nas bokiem, z zadartą głową, jak gdyby nasłuchiwał. Podniosłem sztucer, ale na linii strzału był krzak. Nie mogłem nad nim strzelić nie wstając.

— Piga — szepnął M'Kola.

Pogroziłem mu palcem i zacząłem pełznąć w przód, żeby wydostać się zza tego krzaka, zdrętwiały z obawy, że byk ucieknie, gdy ja tu szukam miejsca do pewnego strzału, ale zarazem pamiętając słowa Popa: „Niech pan się nie spieszy”. Kiedy zobaczyłem, że już mi nic nie zasłania, podniosłem się na jedno kolano, ujrzałem byka przez szczyrbi-

nę, podziwiając jego wielkość, a potem, pamiętając, żeby się nie przejmować, że to jest przecież taki sam strzał jak każdy inny, zobaczyłem muszkę osadzoną dokładnie tam gdzie należało, tuż poniżej wierzchu łopatki, i nacisnąłem spust. W chwili gdy rozległ się huk, byk skoczył i pognął w zarośla, ale wiedziałem, że go trafiłem. Strzeliłem jeszcze w coś szarego, co mignęło między drzewami, i M'Kola krzychał: — Piga! Piga! — co znaczy: — Trafiony! Trafiony! — Rzymianin klepał mnie po ramieniu, a potem, zadarłszy swą togę na szyję, pobiegł nagi, i już wszyscy czterej biegliśmy co sił jak charty, rozbryzgując wodę w strumieniu, wdzierając się na brzeg, za Rzymianinem, który pędził nago przez zarośla, potem schylił się, podniósł liść pokryty jasną krwią i klepnął mnie w plecy, a M'Kola wołał: — Damu! Datnu! — Krew! Krew! — dalej głęboko odcisnięte tropy skręcały w prawo, ja ładowałem sztucer, wszyscy biegliśmy na złamanie karku i w lesie już było prawie ciemno, Rzymianin na chwilę zagubił trop, poskoczył w prawo, potem odnalazł farbę i nagle znów szarpnął mnie za rękę pociągając na ziemię i wszyscy wstrzymaliśmy oddech, kiedyśmy zobaczyli byka stojącego na polance o sto jardów przed nami; wydał mi się ciężko trafiony, spoglądał za siebie nastawiwszy wielkie uszy, ogromny, szary, biało pręgowany z cudownymi rogami, i patrzył prosto ku nam przez ramię. Pomyślałem, że tym razem muszę mieć absolutną pewność, bo już się ściemniało, więc wstrzymałem oddech i strzeliłem tuż za łopatkę. Usłyszeliśmy uderzenie kuli i zobaczyliśmy, że po strzale wyskoczył ciężko w górę. M'Kola krzyknął: — Piga! Piga! Piga! — kiedy byk zniknął, i gdy znowu rzuciliśmy się pędem jak charty, o mało nie przewróciliśmy się przez coś. Był to olbrzymi, piękny byk kudu, martwy jak kamień, leżący na boku, jego rogi skręcały się w wielkie ciemne spirale, rozłożyste i niewiarygodne, i leżał martwy o pięć jardów od miejsca, w którym staliśmy, kiedy przed chwilą strzeliłem. Spojrzałem na niego; był potężny, długonogi, gładkoszary z białymi pręgami, miał ogromne, kręte, zamaszyste rogi, brunatne jak jądro orzecha, o szpicach koloru kości słoniowej; popatrzyłem na jego wielkie uszy i masywny, piękny kark z gęstą grzywą, na białą strzałkę między oczami i biały pysk i pochyliłem się, i dotknąłem go, żeby móc w to uwierzyć. Leżał na tym boku, w który dostał kulę, i nie było na nim żadnego śladu, i pachniał słodko i ślicznie jak oddech bydła, jak woń tymianku po deszczu.

A potem Rzymianin zarzucił mi ręce na szyję, M'Kola coś wykrzykiwał dziwnym, cienkim, zawodzącym głosem, a Wanderobo-Masaj klepał mnie po ramieniu i podskakiwał do góry, wreszcie jeden po drugim zaczęli mi ścisnąć dłoń w dziwny sposób, którego dotąd nie znałem. Chwyтали w garść mój duży palec, przytrzymywali go, potrząsali, pociągali i przytrzymywali znowu, zaglądając mi zapalczywie w oczy.

Wszyscy popatrzyliśmy na byka, M'Kola ukląkł i powiódł palcem po spiralach jego rogów, zmierzył ich rozłogę rękami i wciąż zawodził: — Uu-uu-iii-iii — wydając ciche, cienkie odgłosy uniesienia i gładząc pysk kudu i jego grzywę.

Klepnąłem Rzymianina w plecy i znowu odprawiliśmy to pociąganie za kciuk, przy czym ja także pociągałem jego palec. Uściskałem Wanderoba-Masaja, a on, po bardzo intensywnym i pełnym uczucia ciągnięciu za kciuk, uderzył się w piersi i powiedział z wielką dumą:

— Wanderobo-Masaj wspaniały przewodnik.

— Wanderobo-Masaj wspaniały Masaj — odpowiedziałem.

M'Kola ciągle potrząsał głową przypatrując się kudu i wydając owe dziwne, ciche odgłosy. Potem zawołał: — Doumi, Doumi, Doumi! B'wana Kabor Kidogo, Kidogo — co znaczyło, że to jest byk nad bykami, a tamten Karla jest malutki, w ogóle nic.

Wszyscyśmy wiedzieli, że zabiliśmy także i drugiego kudu, którego wziąłem za tego, gdy tymczasem ten leżał martwy od pierwszego strzału, ale wydawało się to nieważne wobec cudu tego byka. Jednakże chciałem obejrzeć i drugiego.

— Chodźmy kudu — powiedziałem.

— Zabity — odrzekł M'Kola. — Kufa!

— Chodźmy.

— Ten lepszy.

— Idziemy.

— Zmierzyć — poprosił M'Kola.

Rozciągnąłem stalową taśmę wzdłuż skrętów jednego rogu, a M'Kol? ją przytrzymał. Miał dobrze ponad pięćdziesiąt cali. M'Kola spojrział na mnie niespokojnie.

— Duży! Duży! — powiedziałem. — Dwa razy większy od tego B'wany Kabora.

— Iii-iii — począł zawodzić.

— Idziemy — powiedziałem. Rzymianin już odchodził.

Ppsaliśmy prosto ku miejscu, gdzie widzieliśmy byka, kiedy strześliłem, i od razu znaleźliśmy tropy i farbę na liściach krzaków, na wysokości piersi. O sto jardów dalej natrafiliśmy na niego; leżał zupełnie martwy. Nie był tak duży jak pierwszy. Rogi miał równie długie, chociaż mniej rozłożyste, ale był tak samo piękny i leżał na boku przycinając krzaki w miejscu, gdzie upadł.

Znowu uściskaliśmy sobie ręce stosując pociąganie za palec, co najwyraźniej oznaczało najwyższe wzruszenie.

— Ten askari — wyjaśnił M'Kola. Ten byk był policjantem czy przybocznym strażnikiem większego. Widocznie był w lesie, kiedy zo-

baczyliśmy pierwszego byka, uciekł i obejrzał się, żeby sprawdzić, dlaczego tamten wielki za nim nie biegnie.

Chciałem porobić zdjęcia i kazałem M'Koli wrócić z Rzymianinem do obozu i przynieść obydwaj aparaty — graflex i aparat filmowy — i moją latarkę elektryczną. Wiedziałem, że jesteśmy na tym samym brzegu strumienia, powyżej obozu, i miałem nadzieję, że Rzymianin pójdzie skrótem i zdąży wrócić przed zachodem słońca.

Odeszli i teraz, pod koniec dnia, słońce wyjrzało jasno zza chmur, ja z Wanderobem-Masajem przypatrywaliśmy się temu kudu, mierzyliśmy jego rogi, wąchali jego piękny zapach, słodszy nawet niż elanda, gładziliśmy go po nosie, po szyi i łopatce podziwiając wielkie uszy, gładkość i czystość skóry, oglądaliśmy jego kopyta, podłużne, wąskie i tak sprężyste, że zdawał się stąpać na palcach, macaliśmy pod łopatką szukając wlotu kuli, a potem znowu uścisnęliśmy sobie dłonie, a Wanderobo-Masaj powiedział, jaki z niego wspaniały człowiek, ja zaś oświadczyłem, że jest moim druhem, i dałem mu mój najlepszy szczyryk z czterema ostrzami.

— Chodźmy jeszcze obejrzyć tego pierwszego, Wanderobo-Masaju — powiedziałem po angielsku.

Wanderobo-Masaj kiwnął głową rozumiejąc to doskonale i zawróciliśmy do miejsca, gdzie tamten duży leżał na skraju polanki. Obeszliśmy go naokoło przypatrując mu się, a potem Wanderobo-Masaj wsunął pod niego rękę, podczas gdy ja dźwignąłem łopatkę, znalazł otwór od kuli i wsadził weń palec. Następnie dotknął tym krwawym palcem czoła i wygłosił mowę o Wanderobie-Masaju, wspaniałym przewodniku.

— Wanderobo-Masaj król przewodników — powiedziałem. — Wanderobo-Masaj mój druh.

Byłem przemoczony od potu, więc włożyłem płaszcz, który M'Kola tu przyniósł, i postawiłem kołnierz. Obserwowałem słońce i martwiłem się, że zajdzie nim wrócą z aparatami. Po chwili dosłyszeliśmy ich nadchodzących przez zarośla, więc krzyknąłem, żeby im dać znać, gdzie jesteśmy. M'Kola odpowiedział i tak wykrzykiwaliśmy nawzajem do siebie i słyszałem ich głosy i trzask gałęzi w krzakach, wciąż pokrzykując i obserwując słońce, które już prawie zaszło. Wreszcie zobaczyłem ich, zawołałem do M'Koli: — Biegiem! Biegiem! — i pokazałem na słońce, ale już nie mieli sił biec. Musieli iść ostro pod górę, przez gęste zarośla, toteż kiedy wreszcie dostałem aparat i otworzywszy szeroko obiektyw nastawiłem na byka, słońce oświetlało już tylko czubki drzew. Zrobiłem z pół tuzina zdjęć, nakręciłem aparatem filmowym moment, kiedy odciągali kudu w miejsce, gdzie zdawało się być trochę więcej światła, a potem słońce zaszło i już wolny od obowiązku robienia fotografii schowałem aparat do futerału i wraz ze zmrokiem gogąrzyłem się w szcze-

śliwą beztruskę zwycięstwa, z której wyrwałem się tylko po to, by wskazać M'Koli, gdzie ma zrobić nacięcie, żeby przy oprawianiu łba ściągnąć skórę możliwie w całości. M'Kola pięknie władał nożem i lubiłem patrzeć, jak ściąga skórę, ale dzisiaj, pokazawszy mu, gdzie trzeba zrobić pierwsze nacięcie, nisko na nogach, potem dookoła piersi, w miejscu gdzie stykały się z brzuchem, i dalej do tyłu przez kłęb, nie przyglądałem się temu, bo wolałem zapamiętać byka tak, jak go zobaczyłem, więc poszedłem w zmroku do drugiego kudu i zaczekałem tam, póki nie przyszli z latarką elektryczną, ale potem — przypomniawszy sobie, że sam oprawiałem albo przyglądałem się oprawianiu każdego zwierzęcia, jakie zastrzeliłem, a mimo to pamiętałem je wszystkie dokładnie tak, jak przedtem wyglądały, i że jedno wspomnienie nie niweczy drugiego, a ten pomysł, żeby się nie przyglądać, był tylko lenistwem i czymś w rodzaju odkładania naczyń do zlewu aż do następnego rana — poświeciłem M'Koli latarką, kiedy oprawiał drugiego byka, i chociaż byłem zmęczony, obserwowałem jak zawsze z przyjemnością jego szybkie, czyste, delikatne cięcia nożem, póki nie oddzielił i nie odwinął całej skóry, po czym rozciął miejsce złączenia czaszki z kręgosłupem i trzymając łeb za rogi skrzył go i oderwał od szyi i podniósł razem ze skórą, która zwisała, ciężka i wilgotna w blasku latarki elektrycznej, oświetlającej jego czerwone ręce i zabrudzoną kurtkę koloru khaki. Zostawiliśmy Wanderoba-Masaja, Garricka, Rzymianina i jego brata z latarką, ażeby oczyścili i zabrali mięso, i we trzech — M'Kola z jednym łbem, stary z drugim, a ja z latarką i dwoma sztucercami — ruszyliśmy po ciemku z powrotem do obozu.

W ciemnościach stary przewrócił się jak długi i M'Kola wybuchnął śmiechem; potem skóra rozwinęła się i spadła staremu na twarz, tak że o mało się nie udusił, a my dwaj pękaliśmy ze śmiechu. Stary śmiał się także. Potem M'Kola upadł po ciemku i obaj ze starym śmialiśmy się z niego. Trochę dalej ja potknąłem się o osłonę jakiegoś dołu na zwierzynej i grzotnąłem na twarz, a podniósłszy się, usłyszałem, że M'Kola prycha i krztusi się, a stary chichocze.

— Co to jest, psiakrew? Komedia z Chaplinem? — spytałem ich po angielsku. Obaj śmiali się spod głów kudu. W końcu, po koszmarnym marszu przez gąszcze, dobrnęliśmy do płotu z cierni, zobaczyliśmy ognisko obozowe i M'Kola uradował się, kiedy stary upadł przełaząc przez ciernie i wstał przeklinając, ledwie zdolny dźwignąć łeb kudu, gdy oświetlałem mu drogę latarką, żeby trafił do otworu w płocie.

Podeszliśmy do ognia i kiedy stary opierał łeb byka o chatę z łóz i gliny, zauważyłem, że twarz ma pokrwawioną. M'Kola położył drugi łeb na ziemi, pokazał twarz starego, zaśmiał się i potrząsnął głową.

Spojrzałem na starego. Był całkowicie wykończony, twarz miał niočno podrapaną, pokrytą błotem i zakrwawioną i chichotał radośnie.

— B'wana upadł — powiedział M'Kola i pokazał, jak wywaliłem się na twarz. Obaj zachichotali.

Zamachnąłem się, niby to chcąc go uderzyć, i powiedziałem:

— Szenzi!

Znowu pokazał, jak padałem, a potem Kamau uściśkał mi dłoń bardzo delikatnie i z uszanowaniem, mówiąc: — Dobrze, B'wana! Bardzo dobrze, B'wana! — następnie z błyszczącymi oczami podszedł do łbów i ukląkłszy gładził rogi, macał uszy i wydawał te same, przeciągłe, do westchnienia podobne odgłosy: — Uuu-uuu! Iii-iii! — co przedtem M'Kola.

Wszedłem w ciemność namiotu, bo latarnię zostawiliśmy tym, co mieli przynieść mięso, umyłem się, zdjąłem przemoczone ubranie i pomacawszy po ciemku w moim plecaku, odnalazłem pidżamę i płaszcz kąpielowy. Wyszedłem do ogniska włożywszy to i przeciwmoskitowe obuwie. Zaniósłem do ognia mokre rzeczy i buty i Kamau rozwiesił wszystko na kijach, a buty zatknął cholewą do dołu także na kijach, dosyć daleko od żaru, żeby ich ogień nie przypiekl.

W świetle ogniska zasiadłem na skrzynce od benzyny, plecami oparty o drzewo, Kamau przyniósł flaszkę whisky i nalał trochę do kubka, ja dodałem wody z manierki i siedziałem popijając i patrząc w ogień, nie-- myśląc o niczym, całkowicie szczęśliwy, i czułem, jak whisky mnie rozgrzewa i wygładza tak, jakby ktoś rozprostowywał zgniecione prześcieradło na łóżku, a tymczasem Kamau przyniósł puszki z zapasów, żeby dowiedzieć się, co zjem na kolację. Były tam trzy puszki specjalnego gwiazdkowego placka owocowego z korzeniami, trzy puszki łososia i trzy owoców mieszanych, było też sporo tabliczek czekolady i puszka specjalnego świątecznego puddingu ze śliwkami. To odesłałem z powrotem, zastanawiając się, co Kati sobie myślał dając nam placek owocowy. A tego puddingu szukaliśmy od dwóch miesięcy.

— Mięso? — spytałem.

Kam u przyniósł trochę chleba i gruby, długi kawał pieczonego combra gazeli Granta, jednej z tych, które Pop zastrzelił na równinie, kiedy polowaliśmy przy tamtej lizawce o dwadzieścia pięć mil od obozu.

— Piwo?

Przyniósł jedną z dużych, litrowych butelek niemieckich i otworzył ją-

Siedzenie na skrzynce od benzyny wydawało mi się zanadto skomplikowane, więc rozpostarłem mój płaszcz nieprzemakalny koło ogniska, tam gdzie ziemia przeschła od gorąca, i wyciągnąwszy nogi oparłem się plecami o drewnianą skrzynkę. Stary przypiekał mięso na patyku.

Był to wyborowy kawałek, który sobie przyniósł zawinięty w tokę. Wkrótce tamci zaczęli się schodzić niosąc mięso i skóry, ja leżałem wyciągnięty, popijałem piwo i patrzałem w ogień, a dookoła niego reszta gadała i przypiekała mięso na patykach. Robiło się zimno, noc była pogodna, czuło się zapach pieczonego mięsa, zapach dymu ogniska, zapach moich parujących butów i zapach pocziwego Wanderoba-Masaja, który przykucnął blisko mnie. Ale ja wciąż pamiętałem woń kudu leżącego w lesie

Każdy miał kawałek mięsa czy raczej kolekcję kawałków mięsa na patykach zatkniętych dookoła ogniska. i wszyscy obracali je, doglądali i dużo było gadania. Od chat' nadeszli jeszcze dwaj inni, których dotychczas nie widziałem, a z nimi tamten chłopiec, któregośmy widzieli po południu. Jadłem kawałek gorącej przypiekanej wątroby, którą zdjąłem z jednego z patyków Wanderoba-Masaja, i zastanawiałem się, gdzie mogą być nerki. Wątroba była wyborna. Właśnie namyślałem się, czy warto wstać po słownik i zapytać o nerki, kiedy M'Kola powiedział:

— Piwo?

— Dobrze.

Przyniósł butelkę, otworzył, a ja ją wziąłem i wypilem połowę, żebym popchnął tę wątrobę.

— Nieźle się żyje — powiedziałem po angielsku.

Wyszczrzył zęby i spytał w języku suaheli:

— Jeszcze piwa?

Moje zagadywanie do niego po angielsku było przyjętym kawałem.

— Patrz — powiedziałem, przechyliłem butelkę i wlałem wszystko prosto do gardła. Była to stara sztuczka, której nauczyliśmy się w Hiszpanii pijąc wino z bukłaków bez łykania. Na Rzymianinie zrobiło to ogromne wrażenie. Podeszedł, przykucnął obok mojego płaszcza i zaczął coś gadać. Gadał tak przez długi czas.

— Bezwzględnie — odpowiedziałem mu po angielsku. — A co więcej, można wziąć sanki.

— Jeszcze piwa? — spytał M'Kola.

— Chyba chcesz, żeby twój stary się zalał?

— N'Dio — odrzekł. — Tak — udając, że rozumie po angielsku.

— Uważaj teraz, Rzymianinie. — Zacząłem łać piwo do gardła, spostrzegłem, że Rzymianin powtarza moje ruchy grdyką, zakrztusiłem się, ledwie złapałem oddech i opuściłem butelkę.

— Wystarczy. Nie mogę robić tego częściej niż dwa razy na wieczór. To niedobre na wątrobę.

Rzymianin dalej gadał w swoim języku. Usłyszałem, że dwukrotnie powiedział: „Simba”.

— Simba tutaj?

— Nie — odrzekł. — O, tam — pokazał ciemność i nie mogłem zrozumieć, o co mu idzie. Ale brzmiało to bardzo dobrze.

—• Ja dużo Simba — powiedziałem. — Cholerny chłop do Simba. Zapytaj M'Koli.

Czułem, że znów dostaję ataku wieczornych przechwałek, ale nie było tu P.O.M. i Popa, którzy by tego słuchali. Przechwalanie się, kiedy człowieka nikt nie rozumie, nie daje takiej satysfakcji, ale zawsze jest lepsze niż nic. Niewątpliwie miałem atak przechwałek także i od tego piwa.

— Zdumiewające — powiedziałem Rzymianinowi. Dalej mówił swoje. Na dnie butelki zostało trochę piwa. *

— Stary — powiedziałem. -r- Mz-ii.

— Tak, B'wana — odrzekł stary.

—■ Masz tutaj piwo. Jesteś już dostatecznie stary, więc ci nie może zaszkodzić.

Widziałem jego oczy, kiedy przyglądał się, jak piłem, i czułem, że też jest amatorem. Wziął butelkę, wysuszył ją do ostatniej odrobiny piany i przykucnął przy swoich patykach z mięsem, trzymając butelkę miłośnie.

— Jeszcze piwo? — zapytał M'Kola.

— Tak — odrzekłem. — I moje ładunki.

Rzymianin wciąż gadał dalej. Potrafił opowiadać dłużej nawet niż Carlos na Kubie.

— Ogromnie interesujące — powiedziałem mu. — Ty także jesteś fajny chłop. Obaj jesteśmy dobrzy. Posłuchaj. — M'Kola przyniósł piwo i moją kurtkę khaki z nabojami w kieszeni. Napilem się trochę piwa, spostrzegłem, że stary patrzy uważnie, i rozłożyłem na ziemi sześć naboí. — Mam napad przechwałek — powiedziałem. — Musicie do tego wstać; o, patrzcie! — dotknąłem kolejno każdego z naboíów: — Simba, Simba, Faro, Nyati, Tendalla, Tendalla. I co wy na to? Nie musicie mi wierzyć. Patrz, M'Kola! — jeszcze raz nazwałem wszystkie sześć naboí: — Lew, lew, nosorożec, bawół, kudu, kudu.

— Ajiii! — zawołał z podnieceniem Rzymianin.

— N'Dio — powiedział uroczyście M'Kola. — Tak, to prawda.

— Ajiii! — wykrzyknął Rzymianin i złapał mnie za kciuk.

— Jak Boga kocham — powiedziałem. — Wysoce nieprawdopodobne, co?

— N'Dio — rzekł M'Kola i wyliczył samemu: — Simba, Simba, Faro, Nyati, Tendalla, Tendalla!

— Możesz powiedzieć tamtym — oświadczyłem po angielsku. — To jest diabelnie duża porcja przechwałek. Na dzisiaj mi wystarczy.

Rzymianin znów do mnie mówił, a ja słuchałem uważnie i jadłem

następny kawałek przypiekanej wątroby. M'Kola obrabiał teraz łby kudu, ściągając skórę z jednej czaszki, i pokazywał Kamauowi, jak ściągnąć łatwiejszą część z drugiej. Obaj mieli z tym dużo roboty: musieli nacinać ostrożnie wokół oczu, pyska i chrząstek uszu, a potem oczyścić z mięsa całą skórę łba, żeby się nie zepsuła, i obydwoj pracowali nad tym bardzo delikatnie i ostrożnie w świetle ogniska. Nie pamiętam, czy położyłem się do łóżka ani czy ktoś z nas poszedł spać.

Pamiętam, że wziąłem słownik i poprosiłem M'Koli, żeby zapytał chłopaka, czy nie ma siostry, a M'Kola odpowiedział mi: — Nie, nie — bardzo stanowczo i uroczyście.

— Nic zdrożnego, rozumiesz. Ciekawość.

M'Kola był stanowczy.

— Nie — powiedział i potrząsnął głową. — Hapana — tym samym tonem co wtedy, kiedyśmy szli za lwem w sansevierze.

To wykluczało możliwości życia towarzyskiego, więc rozejrzałem się za nerkami, brat Rzymianina dał mi kilka kawałków ze swojej porcji, ja zatknąłem na patyk jeden z nich włożony między dwa kawałki wątroby i zacząłem to przypiekać.

— Będzie wspaniałe śniadanie — powiedziałem głośno. — O wiele lepsze niż ten placek owocowy.

Potem przeprowadziliśmy długą rozmowę o antylopach szablorogich. Rzymianin nie nazywał ich Tarahalla i ta nazwa nic mu nie mówiła. Trochę nam się poplątały z bawołami, bo Rzymianin stałe powtarzał: „Nyati”, ale miał na myśli to, że są czarne jak bawoły. Wobec tego narysowaliśmy je w popiele ogniska i okazało się, że idzie mu rzeczywiście o antylony szablorogie. Rogi miały wygięte do tyłu jak szable tureckie, daleko aż nad klęby.

— Byki? — zapytałem.

— Byki i łanie.

Z pomocą starego i Garricka, którzy to tłumaczyli, zrozumiałem, jak mi się zdaje, że są tu dwa stada.

— Jutro.

— Tak — odparł Rzymianin. — Jutro.

— M'Kola — powiedziałem. — Dziś kudu. Jutro szablorogi, bawół i Simba.

— Hapana bawół! — odparł i potrząsnął głową. — Hapana Simba!

— Ja i Wanderobo-Masaj bawół — powiedziałem.

— Tak — rzekł z podnieceniem Wanderobo-Masaj. — Tak.

— Tu niedaleko są bardzo duże słonie — rzekł Garrick.

— Jutro słonie — powiedziałem drażniąc się z M'Kola.

— Hapana słonie! — wiedział, że to tylko przekomarzanie, ale nie chciał tego nawet słuchać.

— Słonie — odrzekłem. — Bawół, Simba, lampart.

Wanderobo-Masaj potakiwał z przejęciem.

— Nosorożec — wtrącił.

— Hapana! — odparł M'Kola potrząsając głową. Zaczynał już cierpieć.

— Na tych wzgórzach dużo bawołów — przetłumaczył stary słowa bardzo już podnieconego Rzymianina, który stał i pokazywał jakiś punkt za chatami.

— Hapana! Hapana! Hapana! — powiedział M'Kola ostatecznie i nieodwołalnie. — Jeszcze piwo? — odkładając nóż.

— Dobrze — odparłem. — Ja tylko tak dla kawału.

M'Kola przykucnął blisko, wciąż mówiąc, coś mi tłumacząc. Odróżniłem tytuł Popa i pomyślałem, że idzie mu o to, że Pop by tego nie pochwalił. Że na to by się nie zgodził.

— Ja tylko żartowałem z ciebie — powiedziałem po angielsku. A potem w języku suaheli: — Jutro szablorogi?

— Tak — odrzekł z uczuciem. — Tak.

Następnie przeprowadziłem z Rzymianinem długą rozmowę, podczas której ja mówiłem po hiszpańsku, a on po jakimś tam i, jak mi się wydaje, uplanowaliśmy sobie całą kampanię na dzień następny.

13

Nie pamiętam, żebym się położył do łóżka albo wstawał, tylko to, jak siedziałem przy ogniu w szarym półmroku przed świtem, z blaszanym kubkiem gorącej herbaty w ręce i z moim śniadaniem zatkniętym na patyku i nie wyglądającym bynajmniej wspaniale, i mocno przyprószonym popiołem. Rzymianin stał i gestykulując wygłaszał orację w kierunku ukazującego się brzasku i pamiętam, że zastanowiłem się, czy drań tak gadał przez całą noc.

Skóry były już rozłożone i nasolbne porządnie, a czaszki z rogami oparte o domek z kłoców i patyków. M'Kola zwiżał skóry. Kamau przyniósł mi puszkę i kazałem mu otworzyć jedną z owocami. Była zimna po nocy i mieszane owoce z zimnym gęstym sokiem łykało się gładko. Wypiłem jeszcze jeden kubek herbaty, wszedłem do namiotu, ubrałem się, włożyłem suche buty i już byliśmy gotowi do drogi. Rzymianin powiedział, że zdążymy z powrotem przed obiadem.

Jako przewodnika mieliśmy brata Rzymianina. O ile mogłem zrozumieć, Rzymianin miał śledzić jedno ze stad szablorogów, a my mieliśmy odszukać drugie. Wyruszyliśmy z tym bratem na czele, ubranym w togę i niosącym włócznię, potem szedłem ja ze springfieldem prze-

wieszonym przez ramię i moją małą lornetką Zeissa w kieszeni, następnie M'Kola z lornetką Popa u jednego boku, a manierką wody u drugiego, z nożem do oprawiania, oselką, zapasowym pudełkiem naboji i tabliczkami czekolady w kieszeni, i dużym sztucerem na ramieniu, dalej stary z graflexem, Garrick z aparatem filmowym i Wanderobo-Masaj z włącznią, łukiem i strzałami.

Pożegnaliśmy się z Rzymianinem i wyszli zza płotu z cierni w chwili, gdy przez lukę między wzgórzami wyjrzało słońce oświetlając pole kukurydzy, chaty i błękitne wzgorza za nimi. Dzień zapowiadał się pięknie i pogodnie.

Brat Rzymianina poprowadził nas przez jakieś gęste zarośla, w których wszyscy przemokliśmy, potem przez niepodszyty las, następnie stromo pod górę, dopóki nie dotarliśmy dosyć wysoko na zbocze, wznoszące się za skrajem tego pola, gdzieśmy obozowali. Dalej poszliśmy dobrą gładką ścieżką, wspinającą się na owe wzgorza, nad które jeszcze nie weszło słońce. Radowałem się wczesnym porankiem, wciąż jeszcze trochę śpiący, szedłem przed siebie nieco mechanicznie i właśnie zaczynałem myśleć, że jesteśmy za dużą wyprawą jak na to, żeby polować cicho, chociaż wszyscy poruszają się dosyć ostrożnie, gdy wtem zobaczyliśmy idących ku nam dwoje ludzi.

Był to wysoki, przystojny mężczyzna, o rysach podobnych do naszego/Rzymianina, ale nieco mniej szlachetnych, ubrany w togę i trzymający w ręku łuk i kołczan ze strzałami, a za nim jego żona, bardzo ładna, bardzo skromna, bardzo żonina, w stroju z brunatnych garbowanych skór i w przybraniu na szyję z koncentrycznych obręczy z drutu miedzianego, a także w licznych drucianych obręczach na rękach i kostkach nóg. Przystanęliśmy, powiedzieliśmy: — Dżambo — a brat zagadał do tego swojego domniemanego współplemieńca, który miał minę biznesmana udającego się na miasto w drodze do biura, i kiedy wymieniali szybkie pytania i odpowiedzi, ja przypatrywałem się owej świeżo pannomłodej żonie, która stała profilem, tak że widziałem jej ładne piersi o kształcie gruszek i długie, gładkie, murzyńskie nogi, i z ogromną korzyścią studiowałem jej przyjemny profil, dopóki małżonek nie przemówił do niej nagle i ostro, potem wyjaśniająco i tonem spokojnie rozkazującym, na co obeszła nas dookoła ze spuszczoneymi oczami i ruszyła dalej ścieżką, którą przyszlismy, sama, ścigana przez nas wzrokiem. Okazało się, że mąż ma iść dalej z nami. Widział tego rana szablorigi i nie bez pewnej podejrzliwości, wyraźnie niezadowolony z rozstania się z tą, teraz już niewidoczną żoną nad żonami, którą my wszyscy posiadliśmy oczyma, poprowadził nas prosto i w prawo inną ścieżką, dobrze wydeptaną i gładką, przez las, który wyglądał jak na

jesieni u nas w kraju i w którym można by się spodziewać, że spłoszy się pardwę, a ta furknie na drugie wzgórze albo zapadnie w dolinie.

I rzeczywiście poderwaliśmy kuropatwy i patrząc za nimi pomyślałem, że wszystkie pola i lasy są takie same na całym świecie, a wszyscy myśliwi są do siebie podobni. A potem zobaczyliśmy obok ścieżki świeży trop kudu, następnie zaś, gdyśmy szli przez ten wczesnoporanriy las, już teraz bez podszycia, w pierwszym słońcu wyglądającym zza wierzchołków drzew, natknęliśmy się na wieczne dziwo słoniowych tropów, z których każdy był wielkości koła, jakie się tworzy rękami składając razem dłonie, a odcisnięty na stopę głęboko w ile leśnego podłoża, w miejscu gdzie przeszedł jakiś słoń wędrując po deszczu. Patrząc na owe tropy schodzące w dół przez ten ładny las, pomyślałem sobie, że i u nas dawno temu były mamuty i że gdy wędrowały po wzgórzach południowego Illinois, pozostawiały takie same ślady. Tyle tylko, że Ameryka jest starszym krajem i największe zwierzęta już wyginęły.

Szliśmy ciągle po zboczach tego wzgórza, po czymś w rodzaju ładnego, wystającego płaskowyzu, a potem dotarliśmy do jego krawędzi, gdzie była dolina i długa, otwarta łąka z lasem po drugiej stronie i półkolem wzgórz na górnym krańcu, od którego odchodziła w lewo inna dolina. Przystanęliśmy na skraju lasu na zboczach tego wzgórza, patrząc na zieloną dolinę, która rozwierała się w rodzaj zafosłej trawą, spadzistej niecki przy górnym końcu, gdzie zamykały ją wzgórza. Po lewej mieliśmy strome, obłe, pokryte lasem pagórki ze złożami wapiennych skał, które biegnęły od tego miejsca, gdzieśmy stali, aż do samego krańca doliny, przechodząc tam w drugi łańcuch wzgórz, który się nad nią wznosił. Poniżej nas, na prawo, okolica była nierówna, poprzerrywana pagórkami i pasami łąk, a dalej rósł na pochyłości las wybiegający na owe błękitne wzgórza, któreśmy widzieli w stronie zachodniej, za wioską, gdzie mieszkał Rzymianin z rodziną. Ocenilem, że obóz musi być pod nami prosto w dół i o jakieś pięć mil na północny zachód za lasem.

Mąż stał i rozmawiał z bratem Rzymianina gestykulując i pokazując, że widział szablorigi pasące się po przeciwległej stronie na łąkach doliny i że musiały przejść albo w górę doliny, albo w dół. Usiedliśmy pod osłoną drzew i posłaliśmy Wanderoba-Masaja w dolinę, żeby poszukał śladów. Wrócił i powiedział, że nie ma żadnych tropów wiodących poniżej nas doliną na zachód, więc wiedzieliśmy, że zwierzęta żerując musiały podejść wyżej.

Teraz problem polegał na takim wykorzystaniu terenu, żeby nie pokazując się wypatrzeć, gdzie są, i podejść je na strzał. Słońce wychodziło zza wzgórz u krańca doliny i oświetlało nas, natomiast u tamtego końca wszystko pozostawało w gęstym cieniu. Kazałem ludziom

zostać na miejscu w lesie z wyjątkiem M'Koli i męża, którzy mieli podchodzić ze mną zaroślami pod górę po naszej stronie doliny, dopóki nie wydostalibyśmy się wyżej, tak aby zajrzeć we wklęsłość zakrętu u jej górnego końca i sprawdzić przez szkła, czy nie ma tam antylop.

Zapytacie, jak można było to przedyskutować, uplanować i zrozumieć mimo zapory języka, a ja wam powiem, że przedyskutowaliśmy to i zrozumieli jasno, tak jakbyśmy byli patrolem kawaleryjskim mówiącym tym samym językiem. Wszyscy byliśmy myśliwymi z wyjątkiem może Garricka i całą rzecz dało się omówić, zrozumieć i uzgodnić nie posługując się niczym poza palcem wskazującym do dawania znaków i dłonią dla ostrzeżenia. Rozdzieliliśmy się i ruszyli ostrożnie naprzód, trzymając się głęboko w zaroślach i podchodząc coraz wyżej. Potem, gdyśmy się już znaleźli dość daleko i wysoko, podczołgaliśmy się do jakiegoś skalistego miejsca, schowali się za skałami i wtedy ja osłaniając kapeluszem okulary, żeby nie błyszczały w słońcu, oraz M'Kola, który kiwał głową i coś mruczał uznając to za wskazane, przepatrzyliśmy przez lornetki przeciwległą stronę łąki wzdłuż skraju lasu aż do wklęsłości u krańca doliny; i tam właśnie były. M'Kola dojrzał je na chwilę przede mną i pociągnął mnie za rękaw.

— N'Dio — powiedziałem i wstrzymałem oddech, żeby im się przypatrzeć. Wszystkie wydawały się bardzo czarne, grubokarkie i masywne. Wszystkie miały zagięte do tyłu rogi. Były bardzo daleko. Niektóre leżały. Jedna stała. Naliczyliśmy ich siedem.

— Gdzie byk? — szepnąłem.

M'Kola zrobił ruch lewą ręką i pokazał cztery palce. Bykiem była jedna z tych antylop, które leżały w wysokiej trawie; wyglądała na znacznie większą, a rogi miała o wiele zamaszystsze. Ale patrzyliśmy wprost pod poranne słońce i trudno było widzieć dobrze. Za nimi rodzaj żlebu wbiegał we wzgórze zamykające na końcu dolinę.

Teraz już wiedzieliśmy, co mamy zrobić. Musieliśmy zawrócić, przejść przez łąkę dosyć daleko dołem, żeby nas nie spostrzegły, dostać się do lasu po drugiej stronie i podejść nim nad antylopy. Najpierw trzeba było się upewnić, że nie ma innych w lesie albo na łące, przez którą mieliśmy przejść przed rozpoczęciem pochodu.

Pośliniłem palec i podniosłem go w górę. Sądząc po tym, z której strony uczułem chłód, wiatr wiał w dół doliny. M'Kola zebrał trochę suchych liści, rozkruszył je i rzucił do góry. Spadły nieco przed nami. Wiatr był dobry i teraz należało przepatrzeć przez szkła i sprawdzić skraj lasu.

—• Hapana — powiedział w końcu M'Kola. Ja też nic nie dostrzegłem i oczy mnie bolały od mocy ośmiokrotnej lornetki. Mogliśmy za ryzykować wejście w las. Wprawdzie mogło się zdarzyć, że coś poder-

wiemy i spłoszymy szablorogi, ale musieliśmy to zaryzykować, żeby je obejść i wydostać się nad nie.

Zawróciliśmy w dół i powiedzieli o tym reszcie. Stamtąd, gdzie byli, mogliśmy przejść na drugą stronę doliny niewidoczni z jej górnego końca, więc pochyliwszy się nisko, ja bez kapelusza, ruszyliśmy w dół, w wysoką trawę łąki, potem przez głęboko wyżłobione łożysko strumienia, który zbiegał jej środkiem, przez skalisty próg na porośniętą trawą brzeg po drugiej stronie i wreszcie za fałdą doliny w las. Dalej poszliśmy gęsiego lasem, schyleni, starając się wydostać nad antylopy.

Szliśmy przed siebie, jak tylko mogliśmy najprędzej bez hałasu. Za wiele robiłem podchodtów do górskich owiec tylko po to, żeby wyrzawszy zza garbu góry przekonać się, iż odeszły i znikły, aby teraz ufać, że te szablorogi zostaną na miejscu; a ponieważ z chwilą, gdy znaleźliśmy się w lesie, nie mogliśmy już ich widzieć, uważałem, że ważne jest wydostać się nad nie jak najprędzej, ale tak, żebym nie był zanadto zdyszany i rozlatany do strzału.

Manierka M'Koli chrobotła o naboje, które miał w kieszeni, więc zatrzymałem się i kazałem mu ją oddać Wanderobie-Masajowi. Za dużo nas było na polowanie, ale wszyscy poruszali się cicho jak węże, a ja i tak byłem aż nadto pewny powodzenia. Uważałem, że antylopy nie" mogą nas zobaczyć w lesie ani zwietrzyć.

W końcu miałem już pewność, że jesteśmy nad nimi i że muszą być za miejscem, gdzie padało słońce przez przerzedzenie w lesie prosto przed nami i nieco niżej za krawędzią wzgórza. Sprawdziłem, czy szczerbina celownika jest czysta, przetrąłem okulary i pot z czoła, pamiętając, iż zużytą chustkę muszę włożyć do lewej kieszeni, żeby nie zmatowić sobie szkieł przecierając je nią powtórnie. M'Kola, ja i mąż zaczęliśmy podsuwać się do skraju lasu, pod koniec czołgając się prawie do samej krawędzi wyniosłości. Między nami a otwartą łąką poniżej rosły jeszcze drzewa i kiedy schowawszy się za mały krzak i obalone drzewo podnieśliśmy głowy, zobaczyliśmy antylopy na łące, około trzystu jardów od nas, duże i bardzo ciemne w cieniu. Dzielił nas od nich rzadki, niepodszyty, pełen słońca lasek i rozpadlina parowu. Kiedyśmy je obserwowali, dwie wstały i jakby spojrzały na nas. Strzał był możliwy, ale za daleki, żeby być pewnym, i gdy tam leżałem przypatrując się im, poczułem, że ktoś dotyka mojej ręki, i Garrick, który podpełznął do mnie, szepnął gardłowo: — Piga! Piga! B'wana! Doumi! DoUmi! — co znaczyło, żebym strzelał, bo to byk. Zerknąłem za siebie i zobaczyłem całą wyprawę na czworakach albo na brzuchach, a Wanderoba-Masaja dygocącego jak wyżeł. Byłem wściekły i dałem im znak, żeby się pokładli.

Więc to był byk, co? Ano, tamten leżący, któregośmy widzieli

z M'Kola, był dużo większy. Dwa szablorigi obserwowały nas, więc opuściłem głowę, bo myślałem, że może zobaczyły błysk moich okularów. Kiedy bardzo powoli spojrzałem znowu, przysłoniłem sobie oczy dłonią. Obydwa przestały już patrzeć i pasły się. Ale jeden znów podniósł nerwowo łeb i wtedy zobaczyłem, że ta ciemna, ciężko zbudowana antylopa o szablitych, wygiętych do tyłu rogach wpatruje się w nas.

Nigdy dotąd nie widziałem szablorigów. Nie wiedziałem o nich nic; czy mają wzrok bystry jak górski baran, który widzi cię z tak daleka, jak ty jego, czy też taki jak łoś, który nie może dojrzeć człowieka z odległości dwustu jardów, jeżeli ten się nie rusza. Nie byłem też pewien ich rozmiaru, ale oceniłem dystans na mniej więcej trzysta jardów. Wiedziałem, że mogą trafić strzelając z pozycji siedzącej albo leżącej, ale nie miałem pojęcia, gdzie trafię.

A potem Garrick znowu: — Piga, B'wana^ Piga! — Obróciłem się do niego, jak gdybym chciał strzelić go w pysk. Byłoby to ogromnie ulgą. Naprawdę nie zdenerwowałem się wcale, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem szablorigi, ale Garrick mnie denerwował.

— Daleko — szepnąłem do M'Koli, który podpełznął i leżał obok mnie.

— Tak.

— Strzelać?

— Nie. Lornetka.

Obaj patrzyliśmy ostrożnie przez lornetkę. Widziałem tylko cztery sztuki. Przedtem było ich siedem. Jeżeli ta, którą pokazał Garrick, była bykiem, to wszystkie musiały być bykami. W cieniu wydawały się jednakowego koloru. Wszystkie ragi zdawały mi się duże. Wiedziałem, że jeżeli idzie o owce górskie, to barany zawsze trzymają się razem grupkami do późnej zimy, kiedy to idą do owiec, i że późnym latem przed okresem rui widuje się także i łosie w grupkach i że dopiero potem wracają do stada. Nad Sereną widzieliśmy co najmniej dwadzieścia kozłów impalli chodzących razem. No, dobrze, więc to wszystko mogły być byki, ale ja chciałem dobrego, najlepszego; poprobo- wałem przypomnieć sobie, czy czegoś o nich nie czytałem, ale przyszła mi na myśl tylko jakaś głupia historia o kimś, kto co rano widywał tego samego byka w tym samym miejscu i nie mógł się do niego dobrać. Pamiętałem jedynie te wspaniałe rogi, które widzieliśmy w gabinecie łowczego w Aruszy. A teraz miałem przed sobą te antylopy i musiałem to rozegrać jak należy i wybrać najlepszą. Wcale nie przyszło mi na myśl, że Garrick nigdy nie widział szablorigów i że wie o nich nie więcej niż M'Kola czy ja.

— Za daleko — odezwałem się do M'Koli.

— Tak.

— Idziemy — powiedziałem, dałem znak pozostałym, żeby się nie ruszali, i zaczęliśmy pełznąć do krawędzi pagórka.

W końcu położyliśmy się za drzewem i wyjrzałem zza niego. Teraz widzieliśmy wyraźnie rogi przez lornetki i zobaczyliśmy też tamte trzy sztuki. Jedna, leżąca, była z pewnością największa, a jej rogi, widoczne z boku, wyginały się jakby znacznie wyżej i dalej do tyłu. Przypatrywałem się im, zbyt podniecony, żeby się cieszyć, gdy wtem usłyszałem szept M'Koli: — B'wana.

Opuściłem lornetkę, spojrzałem i zobaczyłem Garricka, który nie kryjąc się wcale pełznął do nas na czworakach. Wyciągnąłem rękę, wewnętrzną stroną dłoni do niego, i dałem mu znak, żeby się położył, ale nie zwrócił na to uwagi i czołgał się dalej, równie widoczny jak człowiek spacerujący na czworakach po ulicy miasta. Zauważyłem, że jedna z antylop patrzy ku nam, a raczej ku niemu. Potem wstały trzy dalsze. Następnie podniosła się ta duża i stanęła bokiem, z głową zwróconą ku nam, w chwili, gdy Garrick doczołgał się szepcząc: — Piga, B'wana! Piga! Doumi! Doumi! Kubwa Sana.

Teraz nie było już wyboru. Antylopy wyraźnie się spłoszyły, więc położyłem się płasko na brzuchu, przesunąłem rękę przez pas sztucera, oparłem się dobrze na łokciach, palce prawej stopy wcisnąłem w ziemię i strzeliłem w środek łopatki byka. Ale po huku wiedziałem od razu, że strzeliłem źle. Przeniosłem go. Wszystkie szablorigi zerwały się i stały patrząc, nie wiedząc, skąd pochodzi ten odgłos. Strzeliłem do byka jeszcze raz, obrzuciłem go ziemią i wszystkie ruszyły pędem. Zerwałem się na nogi, trafiłem go w biegu i zwałił się na ziemię. Potem wstał, ja strzeliłem znowu, a on dostał, ale przyłączył się do stadka. Reszta go wyminęła, ja strzeliłem, ale za nim. Potem trafiłem go jeszcze raz, zwolnił kroku i już wiedziałem, że go mam. M'Kola podawał mi naboje, ja wpychałem je do tego cholernego, parszywego, twardego magazynka springfielda, patrząc, jak antylopy rozburzają wodę przebiegając przez strumień. Ale tego jużesmy mieli. Widziałem, że jest z nim bardzo niedobrze. Reszta wbiegała w las. W świetle słonecznym po drugiej stronie wydawały się o wiele jaśniejsze, a ten, do którego strzelałem, tak samo. Miały jasnokasztanowy kolor, natomiast ten mój był prawie czarny. Ale zupełnie czarny nie był i poczułem, że coś jest nie w porządku. Wepchnąłem ostatni nabtj i Garrick właśnie próbował złapać mnie za rękę, żeby mi pogratulować, gdy wtem poniżej nas, za otwartą przestrzenią, tam gdzie niewidoczny z tego miejsca żleb rozwierał się w dolinę, zaczęły przebiegać wyciągniętym cwałem inne szablorigi.

y „Rany boskie” — pomyślałem. Wszystkie były podobne do tego, którego strzeliłem, i starałem się wybrać jakąś dużą sztukę. Były mniej

więcej jednakowe i uciekając stłoczyły się razem, a potem ukazał się byk. Nawet w cieniu był czarny jak smoła i załśnił, kiedy wypadł na słońce, a jego rogi, olbrzymie i ciemne, sterczały wysoko w górę, a potem wyginały się dwoma wielkimi łukami do tyłu, prawie dotykając środka grzbietu. Ten to był byk. Boże, co za byk.

— Doumi — szepnął mi do ucha M'Kola. — Doumi!

Trafiłem byka i zrulował w ogniu. Zobaczyłem, że wstał, inne go wyminęły, rozproszyły się, a potem zbiły w gromadę. Strzeliłem i chybiłem go. Potem zobaczyłem, że odbiega prawie wprost od nas doliną, w wysokich trawach, trafiłem go znowu i zniknął mi z oczu. Antylopy wbiegały teraz na wzgórze u krańca doliny, na wzgórze po naszej prawej, na wzgórze w lesie po drugiej stronie, rozproszywszy się i gnając szybko. Teraz, kiedy zobaczyłem byka, wiedziałem już, że tamte wszystkie były łanie, włącznie z tą pierwszą, do której strzelałem. Byk nigdzie się nie pokazywał i byłem bezwzględnie pewny, że znajdziemy go tam, gdzie upadł w wysokich trawach.

Wszyscy już powstawali i odprawiłem potrząsania za rękę i pociągania za duży palec, zanim ruszyliśmy w dół na złamanie karkuj między drzewami, przez krawędź żlebu i na łąkę. Moje oczy, myśli i wszystko we mnie pełne było czerni tego byka i zamaszystości jego rogów i dziękowałem Bogu, że miałem sztucer nabity, kiedy się pokazał. Ale to było strzelanie w podnieceniu i nie czułem się z niego dumny. Zemocjonowałem się i strzelałem do całego zwierzęcia, zamiast we właściwy punkt, i było mi wstyd; natomiast cała moja wyprawa była jak pijana z podniecenia. Szedłbym wolniej, ale nie mogłem ich powstrzymać; biegli jak sfora psów.—Kiedyśmy minęli łąkę, na której najpierw zobaczyliśmy te siedem sztuk, i przeszli za miejsce, gdzie byk nam zniknął z oczu, trawa nagle sięgnęła nam wyżej głów i wszyscy zwolnili kroku. Były tam dwie wypłukane, ukryte rozpadliny, głębokie na dziesięć—dwanaście stóp, zbiegające do strumienia, i to, co się wydawało gładką, trawiastą niecką, okazało się bardzo nierównym, zdradliwym terenem, gdzie rosła trawa sięgająca nam do pasa albo nawet dobrze nad głowy.

Od razu znaleźliśmy krew, która prowadziła w lewo, przez strumień i na zbocze wzgórza po lewej, w stronę krańca doliny. Myślałem, że to ta pierwsza antylopa, ale łuk, jaki ślad zataczał, wydawał się szerszy niż ten, który zrobiła, kiedyśmy widzieli ją z góry wbiegającą w las. Zacząłem krążyć szukając dużego byka, ale nie mogłem odróżnić jego tropu od całej masy śladów, a w wysokiej trawie i na nierównym terenie trudno było odgadnąć, którądy poszedł.

Wszyscy chcieli iść po farbie i było to tak, jakby ktoś próbował zmusić źle ułożone wyżyły do szukania zastrzelonego ptaka, wtedy gdy wszystkie szaleją, żeby pogonić za resztą stadka.

—■ Doumi! Doumi! — powiedziałem. — Kubwa Sana! Byk. Wielki byk.

— Tak — zgodzili się wszyscy. — Tu! Tu! — pokazując farbę, która przechodziła przez strumień.

W końcu poszedłem tym śladem, pomyślawszy, że obydwie antylopy trzeba odnaleźć kolejno, i wiedząc, że ta jest ciężko trafiona, a tamta jeszcze wytrzyma. Ale mogłem też się mylić i to mógł być ten duży byk; możliwe, że skręcił w wysokiej trawie i przeszedł tu przez strumień, kiedyśmy zbiegali z góry. Pamiętam, że już się nieraz myliłem.

Szliśmy szybko po zboczu, potem w las, krew była rozbryzgana obficie; skręciliśmy w prawo, pnąc się stromo pod górę, i u krańca doliny, między dużymi skałami, poderwaliśmy szabloriga. Antylopa pognała w podskokach przez skały. Od razu dostrzegłem, że nie jest trafiona, i mimo zagiętych do tyłu, ciemnych rogów poznałem po ciemnokasztanowej barwie, że to łania. Ale spostrzegłem to w samą porę, żeby nie strzelić. Już zaczynałem naciskać spust, lecz opuściłem sztucer.

— Manamouki — powiedziałem. — To łania.

M'Kola i obaj rzymscy przewodnicy przyznali mi rację. O mało co nie strzeliłem. Uszliśmy może z pięć jardów, gdy poderwała się inna antylopa. Ale ta chwiała dziko łbem i nie mogła wydostać się spomiędzy skał. Była ciężko trafiona; nie spiesząc się wymierzyłem starannie i strzaskalem jej kark.

Podeszliśmy do niej, leżącej między skałami; było to duże, ciemnokasztanowe, prawie czarne zwierzę, z rogami czarnymi i pięknie wygiętymi do tyłu, miało białą plamkę na pysku i nad okiem i biały brzuch, ale nie było bykiem.

M'Kola, jeszcze nie będąc pewny, sprawdził to i wymacując krótkie, zaczątkowe wymiona powiedział: — Manamouki — i smutnie pokiwał głową.

To był ten pierwszy wielki byk pokazany mi przez Garricka.

— Byk, o, tam — wskazałem.

— Tak — rzekł M'Kola.

Pomyślałem, że trzeba mu dać czas, aby zesłał, skoro jest tylko raniony, a potem pójść i odszukać go. Kazałem więc M'Koli zrobić nacięcia potrzebne do ściągania skóry, po czym mieliśmy zostawić starego, żeby oprowił łeb, a sami iść dalej za bykiem.

Napiłem się trochę wody z manierki. Chciało mi się pić po biegu i wspinaczce, a słońce już podeszło wysoko i robiło się gorąco. Następnie zesliśmy na drugą stronę doliny, przeciwległą do tej, na którą dopiero co się wdrapaliśmy tropiąc ranioną łanię, i na dole, w wysokiej trawie, obkładając teren kołami, zaczęliśmy szukać tropu byka. Nie mogliśmy go znaleźć.

Szablorogi biegły całą gromadą, kiedy się pokazały, i wszystkie pojedyncze tropy były poplątane albo zatarte, znaleźliśmy trochę krwi na łądogach traw, tam gdzie pierwszy raz trafiłem byka, potem zgubiliśmy ją i odnaleźli znowu w miejscu, gdzie skręcał pierwszy ślad farby. Dalej tropy się rozbiegały, gdyż zwierzęta rozwinęły się tu wachlarzowato po dolinie i wzgórzach, i nie mogliśmy odszukać krwi. W końcu około pięćdziesięciu jardów dalej w dolinie znalazłem ją na źdźble trawy, zerwałem je i podniosłem do góry. Był to błąd. Powinienem był przyprowadzić ludzi w to miejsce. Już wszyscy oprócz M'Koli tracili wiarę w byka.

Nie było go nigdzie. Zniknął. Zapadł się pod ziemię. Może w ogóle nie istniał? Kto wie, czy to był rzeczywisty byk? Gdybym nie zerwał tej trawy z krwią, może zdołałbym ich przytrzymać. Póki tam rosła poplamiona krew, stanowiła dowód. Zerwana, nie znaczyła nic dla nikogo oprócz M'Koli i mnie. Ale nie mogłem znaleźć więcej krwi i tamci wszyscy szukali już bez przekonania. Jedynym możliwym sposobem byłoby przetrząsnąć każdą piędź wysokich traw i przeszukać każdą piędź źleńców. Było teraz bardzo gorąco i tylko udawali, że szukają.

Podszedł do mnie Garrick.

— Wszystkie krowy — powiedział. — Nie byk. Tylko największa krowa. Pan zabić największa krowa. My ją znaleźć. Mniejsze krowy uciec.

— Ty dęty sukinsynu — powiedziałem, a potem, pokazując na palcach: — Słuchaj. Siedem krów. Potem piętnaście krów i jeden byk. Byk dostał. Tutaj.

— Wszystkie krowy — rzekł Garrick.

— Jedna duża krowa trafiona. Jeden byk trafiony.

Mówiłem z taką pewnością siebie, że się z tym zgodzili i szukali jeszcze przez jakiś czas, ale widziałem, że przestają wierzyć w byka.

„Gdybym tu miał jednego dobrego psa — pomyślałem. — Tylko jednego dobrego psa”.

Potem znów podszedł Garrick.

— Wszystkie krowy — powiedział. — Bardzo duże krowy.

— Sam jesteś krowa — odparłem. — Bardzo duża krowa.

Na to roześmiał się Wanderobo-Masaj, który zaczynał wyglądać jak obraz nędzy i rozpacz. Widziałem, że brat Rzymianina jeszcze na poły wierzy w byka. Mąż już nie wierzył w żadnego z nas. Przypuszczam, że nie wierzył nawet w te kudu z poprzedniego dnia. Ano, po takim strzelaniu nie miałem mu tego za złe.

Podszedł M'Kola.

— Hapana — powiedział ponuro. A potem: — B'wana zastrzelić tego byka?

— Tak — odrzekłem. Przez chwilę zwątpiłem, czy to w ogóle był byk. A później znowu ujrzałem jego masywną, wysokokłębną czerń i rogi, wystrzelające w górę, potem zagięte do tyłu, i to jak biegł za stadem, o łopatkę wyższy od reszty i czarny jak diabeł, i kiedy go zobaczyłem, M'Kola ujrzał to także poprzez wstający opar niewiary dzikiego człowieka w rzeczy, których już nie ma przed oczami.

— Tak — przyznał M'Kola. — Ja go widzę. Pan go zastrzelić.

Powtórzyłem raz jeszcze:

— Siedem krów. Zastrzeliłem największą. Piętnaście krów, jeden byk. Trafiłem tego byka.

Na chwilę uwierzyli w to wszyscy i zaczęli krążyć szukając, ale ta wiara wygasła od razu w upale słońca i w rozchwianych wysokich trawach.

— Wszystko krowy — powiedział Garrick. Wanderobo-Masaj kiwnął głową otwierając usta. Czułem, że i mnie ogarnia wygodna niewiara. O wiele łatwiej było nie szukać na tym słońcu w pozbawionym cienia zagłębieniu czy w słońcu na tamtym stromym zboczu. Powiedziałem M'Koli, że przeszukamy obie strony doliny, skończymy oprawiać łeb, a potem we dwóch pójdziemy dalej i odnajdziemy byka. Niepodobna było zmusić tamtych do szukania wobec ich niewiary. Nie miałem sposobności ich przeciwzyć: nie miałem władzy narzucenia im dyscypliny. Gdyby nie było prawa, zastrzeliłbym tego Garricka, a reszta albo by szukała, albo by sobie poszła. Myślę, że by szukali. Garrick nie był lubiany. Był po prostu zarazą.

M'Kola i ja zawróciliśmy w dolinę obkładając ją jak wyżły, krążąc, wyszukując i sprawdzając trop po tropie. Było mi gorąco i bardzo mi się chciało pić. Słońce stało się teraz czymś całkiem poważnym.

— Hapana — powiedział M'Kola. Nie mogliśmy znaleźć byka. Czymkolwiek był, straciliśmy go.

„Może to była łania. Może to wszystko bzdura” — myślałem pozwalając, aby niewiara sączyła się we mnie jako pociecha. Zamierzaliśmy obszukać boczne wzgórze po prawej, potem sprawdziwszy wszystko, zabrać łeb łani do obozu i dowiedzieć się, co znalazł Rzymianin. Chciało mi się piekielnie pić i opróżniłem całą manierkę. Wodę mieliśmy dostać w obozie.

Zaczęliśmy wchodzić pod górę i w jakichś zaroślach poderwałem szabloriga. Już miałem strzelić, gdy zobaczyłem, że to łania. „To pokazuje, jak potrafią się schować — pomyślałem. — Trzeba, wziąć ludzi i jeszcze raz tu pochodzić” — i właśnie w tej chwili rozległ się dziki krzyk starego: — Doumi! Doumi! — cienkim, piskliwym wrzaskiem.

— Gdzie? — krzyknąłem biegnąc po wzgórzu ku niemu.

„ — Tam! Tam! — krzyknął pokazując las po drugiej stronie krańca doliny. — Tam! Tam! Tam idzie! Tam!

Pognaliśmy jak szaleni, ale byk już zniknął w lesie na zboczu wzgórza. Stary powiedział, że był ogromny, czarny, miał wielkie rogi i minął go o dziesięć jardów, trafiony w dwa miejsca, w. żołądek i wysoko po zadzie, ciężko ranny, ale idący szybko, a potem przeszedł na drugą stronę doliny, między głązy i na zbocze wzgórza.

„Dałem mu po miękkiem — pomyślałem. — A potem, jak odchodził, trafiłem go w zad. Położył się i zesłabł, a myśmy go przeoczyli. Później, kiedy przeszliśmy, wstał i uciekł”.

— Chodźmy — powiedziałem. Teraz wszyscy byli podnieceni i gotowi iść, a stary gadając coś o byku zwinął skórę, łeb antylopy założył sobie na głowę i ruszyliśmy pod górę między skałami, przeszukując zbocze. W miejscu, które pokazał stary, był bardzo duży trop szablologa o szeroko rozstawionych śladach kopyt, wchodzący wyżej w las, i była też krew, dużo krwi.

Tropiliśmy go spiesznie w nadziei, że się poderwie na strzał, i łatwo nam było to robić w cieniu drzew i przy takiej ilości farby. Ale byk wciąż piął się wyżej dookoła wzgórza i szedł szybko. Farba była ciągle jaskrawa i mokra, ale na niego samego nie mogliśmy natrafić. Ja nie tropiłem, tylko patrzyłem przed siebie, myśląc, że może go zobaczę, gdy się obejrzy, albo leżącego na ziemi, albo zbiegającego ze wzgórza przez las, natomiast M'Kola i Garrick tropili wspomagani przez wszystkich oprócz starego, który zataczając się brnął przed siebie z czaszką i skórą antylopy na swojej siwej głowie. M'Kola przywiesił mu pustą manierkę, a Garrick obładował go aparatem filmowym. Ciężko tak było iść staremu.

Raz natknęliśmy się na miejsce, gdzie byk odpoczywał i oglądał się na własny ślad; była tam mała kałuża krwi na skale, gdzie przystanął za krzakami, i przeklinałem wiatr, który niósł przed nami nasz zapach. Wiało teraz silnie i byłem pewien, że nie ma mowy, abyśmy byka zaskoczyli, gdyż nasz zapach musiał usunąć nam z drogi wszystko, co żyło, jeżeli tylko żyło. Przyszło mi do głowy, żeby spróbować pokrzyżać w przedzie z M'Kola, a reszcie kazać tropić, ale posuwaliśmy się szybko. Krew na kamieniach, opadłych liściach i trawie była ciągle jaskrawa, a wzgórza za strome, abyśmy mogli zatoczyć koło. Nie widziałem powodu, żebyśmy mieli go stracić.

Poprowadził nas w górę i w skalisty, pocięty jarami teren, gdzie tropienie było powolne, a podchodzenie trudne. „Tu — pomyślałem — poderwiemy go w jakimś żlebie”; jednakże bryzgi krwi, już teraz nie tak jaskrawej, szły dalej, wymijając głązy, po skałach, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie kończyły się na urwistym skalnym występie. Stąd mu-

siał zejść w dół. Wyżej było za stromo, żeby mógł przejść przez wierzchołek wzgórza. Nie miał innej drogi, jak w dół, ale którejdy poszedł i którym jarem? Posłałem ludzi, żeby sprawdzili trzy możliwe zejścia, a sam poszedłem na krawędź, aby spróbować go dojrzeć. Nie mogli nigdzie znaleźć śladu, potem Wanderobo-Masaj, który był w dole po prawej, zawołał, że ma farbę, i zląszy zobaczyliśmy ją na skale, a następnie, widząc tu i ówdzie jej schnące rozbrygi, zeszlśmy po stromym* spadku na łąkę poniżej. Kiedyśmy zaczęli schodzić ze wzgórza, byłem pełen nadziei, a tropienie w wysokiej po kolana, gęstej trawie łąki było znów łatwe, bo trawa ocierała się bykowi o brzuch i chociaż nie widziało się dobrze śladów, jeżeli ktoś nie zgiął się wpół i nie rozgarnął trawy, to jednak farba była wyraźnie widoczna na jej łodygach. Teraz jednakże już zasychała, miała zmatowiały połysk i wiedziałem, żeśmy stracili sporo czasu, kiedy nas zaciągnął przez tamten skalny występ na wzgórze.

W końcu trop przeszedł przez suche łozysko strumienia, mniej więcej tam, gdzieśmy rano po raz pierwszy zobaczyli łąkę, a dalej wiódł ku falistej, rzadko zalesionej przestrzeni po drugiej stronie doliny. Na niebie nie było obłoków i czułem teraz słońce już nie jako gorąco, ale jako ogromny, zabójczy ciężar na głowie, i bardzo mi się chciało pić. Zrobił się wielki upał, ale nie on był dokuczliwy. Dokuczliwy był ciężar słońca.

Garrick zaprzestał tropić na serio i tylko urządzał teatralne popisy przy odkrywaniu farby, jeżeli my utknęliśmy z M'Kola. Nie tropił już systematycznie, ale odpoczywał, a potem zaczynał tropić irytującymi zrywami. Wanderobo-Masaj był bezużyteczny jak sroka i kazałem M'Koli oddać mu duży sztucer do niesienia, żeby mieć z niego jakiś pożytek. Brat Rzymianina najwyraźniej nie był myśliwym, a mąż przestał się tym interesować. On także nie wyglądał mi na myśliwego. Kiedyśmy tropili powoli*, po ziemi stwardniałej teraz, gdy słońce ją spiekło, • po śladach krwi widocznej tylko jako czarne plamy i brygi na niskiej trawie, brat Rzymianina, Garrick i Wanderobo-Masaj odpadli jeden po drugim i usiedli w cieniu rozproszonych drzew.

Słońce było straszliwe, a ponieważ musieliśmy tropić zgięci, ze schylonymi głowami, więc mimo chustki rozpostartej na karku głowa pękała mi z bólu.

M'Kola tropił pomału, równomiernie, pochłonięty całkowicie tym zagadnieniem. Jego goła, łysa głowa lśniła od potu, a kiedy zalewał mu oczy, M'Kola zrywał żdźbło trawy, przytrzymywał je za oba końce i zgarniał nim pot z czoła i łysego czarnego ciemienia.

Szliśmy dalej powoli. Zawsze przysięgałem się Popowi, że mogę pobić M'Kole w tropieniu, ale teraz uświadomiłem sobie, że dawniej

przy odnajdywaniu zagubionego śladu urządziłem coś w rodzaju tych popisów Garricka i że w równomiernym, regularnym tropieniu w upale, na słońcu naprawdę strasznym, rzeczywiście tak strasznym, że czuło się, co człowiekowi robi z głową i że ją piecze na wiór — w tropieniu w krótkiej trawie po twardym gruncie, gdzie plama krwi była suchym, czarnym, trudnym do dojrzania pęcherzykiem na łądydze trawy, a następną taką czarną plamkę trzeba było odnaleźć czasem o dwadzieścia jardów dalej, i wtedy jeden zostawał przy poprzedniej, a drugi stukał następnej, po czym obaj szli dalej po obu stronach tropu — gdzie wskazywało się te plamki łądygą trawy, by mówić jak najmniej, dopóki nie zagubiły się znowu, a wtedy należało zapamiętać wzrokowo, gdzie jest ostatnia, i we dwóch obkładać teren, aby ponownie odnaleźć farbę i dać znak podniesioną ręką — gdy w ustach tak mi zasychało, że nie mogłem mówić, a kiedy się wyprostowałem, żeby szyja przestała boleć, i patrzałem przed siebie, widziałem nad ziemią migotanie upału — w takim tropieniu, wiedziałem to teraz, M'Kola był niepomiernie lepszy i biegłyjszy od mnie. „Muszę powiedzieć to Popowi” — pomyślałem.

W tym momencie M'Kola zrobił żart. W ustach tak mi zaschło, że trudno mi było mówić.

— B'wana — powiedział M'Kola spoglądając na mnie, kiedy się prostowałem i odginałem kark do tyłu, ażeby ból ustąpił.

— Co?

— Whisky? — i podał mi flaszkę.

— Ty draniu — powiedziałem po angielsku, a on zachichotał i potrząsnął głową.

— Hapana whisky?

— Ty dzikusie — odparłem w języku suaheli.

Zaczęliśmy tropić znowu, M'Kola był bardzo rozbawiony i potrząsał głową i po chwili weszliśmy w wyższą trawę, gdzie znowu było łatwiej. Przemierzyliśmy cały ten półotwarty teren, który rano widzieliśmy' ze zbocza wzgórza, i tutaj tropy schodząc ze stoku zawracały w wysokie trawy. W tych wyższych trawach stwierdziłem, że na wpeł przymykając oczy mogę wypatrzeć szlak byka, tam gdzie przeciskał się przez trawę, więc ku zdumieniu M'Koli ruszyłem szybko naprzód nie tropiąc po farbie; jednakże zaraz wyszliśmy znowu na krótką trawę i skały i tam tropienie było jeszcze trudniejsze niż dotąd.

Byk nie krwawił już wiele, słońce i upał musiały osuszyć rany i na skalistym gruncie znajdowaliśmy tylko tu i ówdzie mały bryzg w kształcie gwiazdy.

Nadszedł Garrick i dokonał kilku błyskotliwych odkryć plam krwi, po czym usiadł pod drzewem. Pod innym drzewem spostrzegłem niesz-

czesnego Wanderoba-Masaja, pełniącego po raz pierwszy i ostatni służbę nosiciela broni. Pod jeszcze innym siedział stary złożywszy obok siebie łeb antylopy niby jakiś symbol z czarnej mszy, a reszta ekwipunku zwisała mu z ramion. M'Kola i ja tropiliśmy dalej bardzo wolno i pracowicie po długim, kamienistym stoku i znowu na innej, pokrytej rozrzuconymi drzewami łące, a potem przeszliśmy przez nią na długie pole ze spiętrzonymi głazami na końcu. Pośrodku tego pola zgubiliśmy ślad całkowicie i krążyliśmy i szukali prawie przez dwie godziny, nim znowu odnaleźliśmy farbę.

Stary znalazł ją za nas pod głazami, o pół mili w prawo. Poszedł tam kierując się własnym domysłem, co byk powinien był zrobić. Ten stary to był myśliwy.

Potem znów zaczęliśmy tropić bardzo powoli aż po twarde, kamienisty grunt o milę dalej. Ale od tego miejsca nie mogliśmy już odszukać śladów. Grunt był za twarde, by na nim pozostały, a krwi już więcej nie znaleźliśmy. Później szukaliśmy jeszcze kierując się różnymi naszymi teoriami co do tego, gdzie byk mógł pójść, ale obszar był za wielki i nie mieliśmy szczęścia.

— Nic z tego — powiedział M'Kola.

Wyprostowałem się i wszedłem w cień dużego drzewa. Był chłodny jak woda, a powiew ostudził mi ciało przez mokrą koszulę. Myślałem o byku i o tym, że wiele bym dał, żeby go nigdy nie trafić. Teraz zraniłem go i straciłem. Myślę, że szedł wciąż dalej, aż wyniósł się z okolicy. Ani razu nie okazywał skłonności do zawrócenia. Dziś w nocy zdechnie i zjedzą go hieny albo, co gorsza, dobiorą się do niego, zanim zdechnie, przegryzą mu nogi i na żywo wywloką wnętrzności. Pierwsza, która trafi na ten ślad krwi, nie zejdzie z niego, dopóki byka nie znajdzie. A potem przywoła inne. Czułem się jak ostatni drań, że go postrzeliłem, a nie zabiłem. Nie sprawiało mi przykrości zabijanie czegoś, jakiegokolwiek zwierzęcia, jeżeli zabiłem je czysto, bo wszystkie i tak muszą zginąć, i moje wtrącenie się w to conocne czy okresowe zabijanie, które trwa stale, było czymś bardzo drobnym, toteż nie miałem żadnego poczucia winy. Mięso zjadaliśmy, a zachowywaliśmy sobie skórę i rogi. Ale z powodu tego byka czułem się parszywie. Poza tym chciałem go dostać. Chciałem go strasznie, chciałem go bardziej, niż bym się przyznał. Ano, źle z nim to rozegraliśmy. Mieliśmy szansę na początku, kiedy leżał, a myśmy go przeoczyli. Tę szansę zmarnowaliśmy. Nie, nasza największa szansa, jedyna, jakiej może żądać strzelec, była wtedy, gdy miałem go na strzał i strzeliłem do całego zwierzęcia, zamiast ulokować kulę, gdzie trzeba. To była moja własna cholerna wina. Byłem draniem, że go postrzeliłem w brzuch. Wynikło to z nadmiaru pewności, że potrafię coś zrobić, a potem pominięcia jednego

z niezbędnych do tego kroków. Cóż, straciliśmy go. Wątpiłem, czy jest na świecie pies, który potrafiłby wytropić go teraz, w takim upale. Ale to była jedyna szansa. Wyjąłem słownik i zapytałem starego, czy są jakieś psy w wiosce Rzymianina.

— Nie — odpowiedział. — Hapana.

Zatoczyliśmy bardzo szerokie koło, a brata i męża wysłałem, żeby zrobili drugie. Nie znaleźliśmy nic, ani jednego śladu, ani tropów, ani krwi, więc powiedziałem M'Koli, że wracamy do obozu. Brat Rzymianina i mąż poszli w dolinę po mięso łani, którą zastrzeliliśmy. Byliśmy pobici.

Poszliśmy poprzez długi opar żaru otwartej przestrzeni, M'Kola i ja na czele, a reszta za nami, i przedostaliśmy się przez suche łożysko strumienia w łaskawy cień ścieżki biegnącej między drzewami. Kiedyśmy stąpali przez plamy słońca i cienia, po leśnym podłożu, które było gładkie i sprężyste tam, gdzie zeszlśmy ze ścieżki na przełaj, żeby zaoszczędzić sobie drogi, zobaczyliśmy o niecałe sto jardów stado szablrogów stojące w lesie i patrzące na nas. Odciągnąłem zamek i poszukałem wzrokiem najlepszych rogów.

— Doumi — szepnął Garrick. — Doumi Kubwa Sana!

Spojczyłem tam, gdzie wskazywał. Była to bardzo duża łania, ciemno-kasztanowa, z białymi plamami na pysku i białym brzuchem, zbudowana masywnie, o pięknych, wygiętych rogach. Stała bokiem do nas, z obróconą głową i patrzała. Przyjrzałem się uważnie całemu stadu. Wszystko to były łanie, najwidoczniej to samo stado, którego byka postrzeliłem i straciłem i które po przejściu przez wzgórze zebrało się znowu tutaj!

— Idziemy do obozu — powiedziałem M'Koli.

Kiedy ruszyliśmy naprzód, antylopy skoczyły i pognały przed nami w poprzek ścieżki. Za każdą dobrą parą rogów Garrick mówił:

— Byk, B'wana. Duży, duży byk. Strzelaj, B'wana. Strzelaj, o strzelaj!

— 'Wszystko łanie — powiedziałem do M'Koli, kiedy przebiegły w popłochu przez nakrapiany słońcem las.

— Tak — przyznał.

— Sary! — zawołałem. Podszedł do mnie.

— Niech przewodnik to poniesie — rzekłem.

Sary zdjął z głowy łeb łani.

— Nie — rzekł Garrick.

— Tak — powiedziałem. — Tak, do cholery.

Szliśmy dalej przez las w stronę obozu. Byłem już w lepszym, o wiele lepszym nastroju. Przez cały dzień ani razu nie pomyślałem o moich kudu. Teraz wracaliśmy tam, gdzie na mnie czekały.

Wracanie wydawało się o wiele dłuższe, chociaż zazwyczaj powrót nową drogą jest krótszy. Byłem zmordowany do szpiku kości, głowę miałem spieczoną i chciało mi się pić tak, jak jeszcze *nigdy w życiu. Ale nagle, kiedyśmy szli przez las, zrobiło się o wiele chłodniej. Słońce zasłoniła chmura.

Wyszliśmy z lasu na płaszczyznę i zobaczyliśmy płot z cierni. Słońce było teraz za wałem chmur, a po chwili niebo zaciągnęło się całkowicie i chmury były ciężkie i groźne. Pomyślałem, że może to już ostatni gorący dzień, niezwykle upał przed nadejściem deszczów. Najpierw pomyślałem: „Gdyby chociaż padało, tak żeby na ziemi zostały tropy, nie wypuścilibyśmy tego byka”, a potem, spojrzawszy na ciężkie, wełniste chmury, które tak szybko pokrywały całe niebo, uświadomiłem sobie, że jeżeli mamy połączyć się z naszą wyprawą i przejechać wozem przez ten dziesięciomilowy odcinek czarnej, grząskiej drogi do Handeni, to lepiej już ruszać. Wskazałem na niebo.

— Źle — przyznał M'Kola.

— Jechać do obozu B'wana Kubwy?

— Lepiej. — A potem, energicznie, przyjmując tę decyzję: — N'Dio. N'Dio.

— Jedziemy — powiedziałem.

Doszedłszy do chaty i płotu z cierni szybko zwinęliśmy obóz. Był tam goniec z naszego poprzedniego obozu i przyniósł kartkę napisaną przed odjazdem P.O.M. i Popa oraz moją moskitierę. W kartce nie było nic oprócz życzeń powodzenia i wiadomości, że wyjeżdżają. Napiliśmy się wody z brezentowego bukłaka, usiadłem na bańce od benzyny i popatrzałem na niebo. Nie mogłem ze spokojnym sumieniem ryzykować pozostawania w tym miejscu. Gdyby tutaj zaczęły się deszcze, pewnie nie zdołalibyśmy nawet wydostać się na drogę. Jeśliby mocno padało na drodze, nigdybyśmy nie dotarli na wybrzeże w tej porze roku. Mówili to i Austriak, i Pop. Musiałem jechać.

To było już postanowione, więc nie miałem co myśleć, jak bardzo chciałbym zostać. Całodzienne zmęczenie ułatwiało decyzję. Ładowano już rzeczy do samochodu i wszyscy zbierali mięso z patyków zatkniętych wokoło popiołów ogniska.

— B'wana nie chce jeść? — zapytał mnie Kamau.

— Nie — odpowiedziałem. A potem po angielsku: — Jestem cholernie zmęczony. ,

— Jeść. B'wana głodny.

— Później. W samochodzie.

Minął mnie M'Kola niosąc coś jego duża, płaska twarz znów była zupełnie bez wyrazu. Ożywiła się tylko na wzmiankę o polowaniu albo na jakiś żart. Znalazłem przy ognisku blaszany kubek i zawołałem,

żeby przyniósł whisky, a jego obojętna twarz pomarszczyła się wokół oczu i ust uśmiechem, kiedy wyciągnął płaską flaszkę z kieszeni.

— Z wodą lepsze — powiedział.

— Ty czarny Chińczyku.

Wszyscy pracowali szybko, a kobiety Rzymianina podeszły i przystanąły opodal przypatrując się noszeniu rzeczy i pakowaniu ich do samochodu. Było ich dwie, przystojne, dobrze zbudowane i nieśmiałe, ale zaciekawione. Rzymianin jeszcze nie wrócił. Było mi bardzo przykro odjeżdżać tak bez wytłumaczenia mu przyczyny. Bardzo polubiłem tego Rzymianina i miałem dla niego wiele uznania.

Napiłem się whisky z wodą i popatrzałem na obie pary rogów kudu oparte o ściankę chaty-kurnika. Z białych, dobrze oczyszczonych czaszek wznosiły się powolnymi spiralami, które rozszerzając się robiły jeden skręt, potem drugi, a dalej wyginały się delikatnie w gładkie szpice, podobne do kości słoniowej. Jedna z dwóch par opartych o ściankę kurnika była węższa i wyższa. Druga była prawie równie wysoka, ale miała szerszą rozłogę i grubsze tyki. Były koloru mięszu czarnych orzechów i bardzo piękne. Podeszedłem i oparłem między nimi springfiel-da o ściankę chaty; ich czubki sięgały nad wylot lufy. Kiedy Kamau wracał zaniósłszy jakiś ładunek do samochodu, kazałem mu przynieść aparat, a potem stanąć obok rogów i zrobiłem zdjęcie. Następnie zabrał czaszki i zaniósł je po jednej do samochodu.

Garrick gadał coś głośno i kogucio do kobiet Rzymianina. O ile mogłem zrozumieć, ofiarowywał im puste skrzynki od benzyny w zamian za kawałek czegoś.

— Chodź tu — zawołałem do niego. Podeszedł, wciąż jeszcze pewny siebie.

— Słuchaj — powiedziałem mu po angielsku. — Jeżeli ja dociągnę do końca tego safari i nie spiorę cię, to będzie cholerny cud. A jak już cię trzasnę, to ci złamię tę parszywą szczękę. To wszystko.

Słów nie rozumiał, ale ton wyjaśnił to lepiej, niż gdybym wyszukał coś odpowiedniego w słowniku. Wstałem i dałem znak kobietom, żeby sobie zabrały bańki i skrzynki po benzynie. Skoro sam nie mogłem mieć z nimi nic wspólnego, prędzej by mnie szlag trafił, niż bym pozwolił Garrickowi wyprawiać jakieś sztuki.

— Wsiadaj do samochodu — powiedziałem mu. — Nie! — kiedy chciał im podać jedną z baniek. — Do samochodu. — Poszedł do auta.

Byliśmy już całkowicie spakowani i gotowi do odjazdu. Rogi sterowały spiralami z tyłu samochodu, przytroczone do ładunku. Zostawiłem boyowi trochę pieniędzy dla Rzymianina i jedną ze skór kudu. Potem wsiedliśmy do samochodu. Ja usiadłem na przodzie z Wanderobo-Masajem. Na tyle usadowili się M'Kola, Garrick i goniec, który był z tam-

tej wioski starego przy drodze. Stary przycupnął na wierzchu naszego ładunku, pod samym dachem.

Pomachaliśmy rękami i ruszyliśmy mijając resztę rodziny Rzymianina, tę starszą i brzydszą, przypiekającą mięso na ognisku obok ścieżki idącej od strumienia przez pole kukurydzy. Przeprowadziliśmy się pomyślnie na drugą stronę strumienia, kiedy opadł i wysechł po brzegach, i obejrzałem się na pole, chaty Rzymianina, ogrodzenie, gdzieś obzowali, i niebieskie wzgórza, ciemniejące pod zachmurzonym niebem, i zrobiło mi się bardzo przykro, że nie zobaczyłem się z Rzymianinem i nie wytłumaczyłem mu, dlaczego tak odjeżdżamy.

Potem jechaliśmy przez las, podążając naszym szlakiem i starając się wydostać stąd jak najprędzej przed zmrokiem. Dwa razy mieliśmy kłopoty w bagnistych miejscach i Garrick popadł w ogromną histerię, komenderował ludźmi, kiedyśmy ścinali gałęzie i podkopywali ziemię pod samochodem, tak iż wreszcie nabrałem pewności, że będę musiał go trzasnąć. Prosił się o karę cielesną zupełnie jak popisujący się dzieciak o klapsy. Kamau i M'Kola śmiali się z niego. Odgrywał teraz rolę zwycięskiego wodza powracającego z łowów. Pomyślałem, iż doprawdy szkoda, że nie ma swojego strusiego pióropusza.

Raz, kiedyśmy utknęli i właśnie kopałem, on zaś pochylił się nade mną w zapamiętaniu udzielania rad i rozkazów, zamachnąłem się łopatą i niby to niechcący grzmotnąłem go końcem trzonka mocno w żołądek, a on siadł na ziemi. Nie spojrzałem wcale na niego, a M'Kola, Kamau i ja nie mogliśmy popatrzeć na siebie z obawy, że się roześmiejemy.

— Boli mnie — powiedział ze zdumieniem, wstając z ziemi.

— Nigdy nie trzeba podchodzić do kogoś, kto kopie — odparłem po angielsku. — Okropnie niebezpieczne.

— Boli mnie — powtórzył Garrick trzymając się za brzuch.

— Rozetrzyj sobie — odrzekłem i potarłem się po żołądku, żeby mu pokazać, jak ma to zrobić. Wsiadliśmy wszyscy do samochodu i zrobiło mi się żal tego biednego, cholernego, bezużytecznego, teatralnego durnia, więc powiedziałem M'Koli, że wypiłbym butelkę piwa. Wyciągnął ją spod bagażów na tyle wozu, jechaliśmy teraz przez tę okolicę podobną do jeleniego parku, otworzyłem butelkę i zacząłem z wolna popijać. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Garrick już przyszedł do siebie i znowu rusza gębą na całego. Rozcierał sobie brzuch i najwyraźniej opowiadał reszcie, jaki z niego twardy chłop i jak w ogóle nic nie poczuł. Wyczuwałem, że stary obserwuje mnie spod dachu, kiedy popijam piwo.

— Stary — powiedziałem.

— Tak, B'wana?

— W prezencie — i podałem mu to, co zostało w butelce. Nie było tego wiele, tylko piana i trochę piwa.

— Piwo? — zapytał M'Kola.

— Tak, jak Boga kocham — odrzekłem. Myślałem o piwie i wspominałem tamten rok, kiedy wiosną szliśmy górską drogą do Bains de Alliez, i konkurs picia piwa, w którym nie udało nam się wygrać cielaka, i jak tego wieczora wracaliśmy do domu naokoło góry, przy księżycu oświetlającym łąny narcyzów, które rosły na łąkach, i byliśmy pijani i mówili o tym, jak by można opisać tę poświatę na tej bladeści, i wspominałem ciemne piwo, któreśmy pili siedząc przy drewnianych stolikach pod kiściami wistarii w Aigle, kiedy to wracaliśmy doliną Rodanu z połowu "ryb w Stockalperze i kwitły kasztany, a Czink i ja znowu dyskutowaliśmy o pisarstwie i o tym, czy można by te kasztany nazwać woskowymi kandelabrami. Boże, jakieśmy miewali piekielnie literackie dyskusje; wtedy, zaraz po wojnie, byliśmy diabło literaccy — a potem znów było to dobre piwo o północy u Lippa, po walce Mascart — Ledoux czy Routis — Ledoux w Cirque de Paris albo po każdej innej świetnej walce, kiedy człowiek aż ochrypl od krzyczenia, a jeszcze był zanadto podniecony, żeby wracać do domu, ale piwo kojarzyło mi się głównie z tymi pierwszymi powojennymi latami z Czinkiem, tam w górach. „Strzelcom dać karabiny, góralom połoniny, mnie, angielskiemu poecie, potrzeba mocnego piwa”. To wtedy Czink cytował Roberta Gravesa. Nudziły nam się jedne kraje i jechaliśmy do innych, ale piwo zawsze było diabło wspaniałe. Ten stary też tak uważał. Widziałem to po jego oczach, kiedy pierwszy raz zobaczył, jak piję.

— Piwo — powiedział M'Kola. Już je otworzył, a ja patrzyłem na tę parkową okolicę, czułem pod podszwami gorąco motoru, obok mnie siedział Wanderobo-Masaj cuchnąc mocno, Kamau wypatrywał śladów opon na zielonej murawie, i potem wywiesiłem obute nogi przez bok samochodu, żeby mi stopy ochłodziły, i popijałem piwo i żalowałem, że tu nie ma starego Czinka. Kapitana Eryka Edwarda Dormana-Smitha z piątego fizylierów jego królewskiej mości, kawalera Krzyża Wojskowego. Gdyby teraz był tutaj, moglibyśmy podyskutować, jak opisać tę okolicę podobną do jeleniego parku i czy jeleni park to wystarczające określenie. Pop i Czink byli bardzo do siebie podobni. Pop był starszy i bardziej wyrozumiały z uwagi na swoje lata, ale taki sam w sposobie bycia. Przy Popie sporo się nauczyłem, natomiast z Czinkiem odkryliśmy duży szmat świata, a potem nasze drogi rozeszły się daleko.

Ale ten przeklęty byk. Powinienem był go zabić, tylko że to był strzał w biegu. Musiałem mierzyć w całego, żeby go w ogóle trafić. Tak, draniu jeden, ale co z tą łanią, którą dwa razy spudłowałeś z leżącej pozycji, strzelając do boku? Czy to też był strzał w biegu? Nie. Gdybym

się położył spać poprzedniej nocy, nie zrobiłbym tego. A gdybym przetarł lufę, żeby usunąć oliwę, sztucer by nie zgórował za pierwszym razem. I potem za drugim nie musiałbym brać niżej i nie strzeliłbym pod nią. Jeżeli człowiek coś potrafi, wszystko bezwzględnie jest jego własną winą. Uważałem, że potrafię strzelać śrutem lepiej, niż potrafiłem naprawdę, i straciłem sporo pieniędzy na udowadnianie tego mojego poglądu, ale zdawałem też sobie sprawę chłodno i obiektywnie, że umiem strzelać kulą do zwierzyny jak sto piorunów. Pewnie, że umiem, psiakrew. No i co z tego? No i postrzeliłem tego byka po miękkim i pozwoliłem mu uciec. Czy naprawdę umiem tak dobrze strzelać, jak mi się zdaje? Jasne. No to dlaczego spudłowałem do tej łani? Psiakrew, każdy może być czasem nie w formie. Nie masz prawa, do diabła, być nie w formie. A ty kto jesteś u licha? Moje sumienie? Słuchaj, ja z sumieniem jestem w porządku. Dobrze wiem, co ze mnie za typ i co potrafię robić. Gdybym nie musiał wyjeżdżać i spieszyć się, dostałbym byka szabloriga. Wiesz, ten Rzymianin to był myśliwy. A tam jest jeszcze jedno stado. Dlaczego musiałem zatrzymać się tu tylko na jedną noc? Czy to tak trzeba polować? Nie, psiakrew. Zarobię jakoś trochę pieniędzy i kiedy tu wrócimy, przyjedziemy do wioski starego ciężarówkami, potem zabierzemy się z tragarzami, żeby nie zawracać sobie głowy żadnym samochodem, odeślemy tragarzy, rozbijemy obóz w tym lesie nad strumieniem, powyżej chat Rzymianina, i opolujemy powoli całą tę okolicę nocując tam i wychodząc co dzień, czasem przerywając na tydzień, żeby popisać, albo też pisząc przez pół dnia czy co drugi dzień, i poznamy ją tak, jak znałem okolicę tego jeziora, nad którym się wychowałem. Zobaczą bawoły pasące się tam, gdzie żyją, a kiedy przez wzgórza będą przechodziły słonie, zobaczymy je i popatrzymy, jak lamią gałęzie, i wcale nie będzie trzeba strzelać — i położę się na opadłych liściach i poobserwuję' żerujące kudu i nie strzełę, dopóki nie wypatrzę rogów lepszych od tych, co są tam na tyle wozu, a zamiast przez cały dzień tropić tego byka szabloriga postrzelonego paskudnie w brzuch, trzeba mi było położyć się za skałą i przyjrzeć im się tam, na tym zboczcu wzgórza, i napatrzyć im się tak długo, żeby już należały do mnie na zawsze. Jasne, o ile Garrick nie sprowadzi tu swojego B'wana Simby i nie przestrelają tej całej okolicy. Ale jeżeli tak robi, pojedą za te wzgórza i tam będzie inny kraj, gdzie człowiek może żyć i polować, jeżeli ma czas żyć i polować. Ludzie docierają tam, gdzie tylko zdoła dojść samochód. Ale tu wszędzie muszą być takie zakamarki, o których nikt nie wie, które samochody mijają przejeżdżając drogą. Bo wszyscy zawsze polują w tych samych miejscach.

— Piwo? — zapytał M'Kola.

*— Tak — odpowiedziałem.

Jasne, że tu nie można wyżyć. Każdy to mówi. Przylatuje szarańcza i zżera zbiory, monsun zawadzi, deszcze nie przychodzą i wtedy wszystko zsycha się i obumiera. Kleszcze i muchy zabijają bydło, moskity przynoszą febrę i pewnie można złapać malarię. Bydło pada i nie dostaje się dobrej ceny za kawę. Trzeba Hindusa, żeby zrobić pieniądze na sizalu, a na wybrzeżu każda plantacja orzechów kokosowych to jeszcze jeden człowiek, którego zrujnuje pomysł dorobienia się na koprze. Zawodowy biały myśliwy pracuje przez trzy miesiące w roku, a pije przez dwanaście, a rząd wyniszcza kraj na beneficjum Hindusów i krajowców. Tak tu mówili. Jasne. Ale ja nie chcę zrobić pieniędzy. Chcę tylko tu posiedzieć i mieć czas na polowanie. Już przeszedłem jedną z tych chorób i zaznałem konieczności przemycania wodą z mydłem trzycielowego kawałka mojego jelita grubego i upychania go na miejsce niezliczoną ilość razy dziennie. Istnieją lekarstwa, które to kurują, i opłacało się przejść przez to, żeby zobaczyć wszystko, co tu widziałem, i być tam, gdzie byłem. Poza tym złapałem tę chorobę na brudnym statku płynącym z Marsylii. P.O.M. nie chorowała ani przez jeden dzień. Karl tężenie. Kochałem ten kraj i czułem się tu jak u siebie, a gdzie człowiek czuje się jak u siebie, poza miejscem swojego urodzenia, tam powinien iść. Zresztą za czasów mojego dziadka w Michigan też panowała malaria. Nazywali to febrą i gorączką. A na Tortugas, gdzie spędziłem wiele miesięcy, umarło kiedyś tysiąc osób na żółtą febrę. Nowe kontynenty i wyspy próbują zastraszyć nas chorobami niczym wąż sykiem. Wąż może być jadowity. Wtedy go się zabija. Do diabła, przecież to, co miałem miesiąc temu, zabiłoby mnie dawniej, zanim wymyślili te lekarstwa. Może tak, a może bym przyszedł do siebie.

Łatwiej uchować się w dobrym* kraju, podejmując proste środki ostrożności, niż wmawiać sobie, że jakiś kraj, który jest już skończony, jest ciągle jeszcze dobry.

Kontynent starzeje się prędko, kiedy już raz tam zjedziemy. Tubyłcy żyją z nim w harmonii. Natomiast cudzoziemiec niszczy wszystko, wycina drzewa, osusza wodę, tak że jej zasób się zmienia, a ziemia, gdy ją przekopią, prędko jałowuje, potem zaś wiatr zaczyna ją zdmuchiwać, tak jak zdmuchuje ją w każdym starym kraju i jak zaczynał zdmuchiwać ją w moich oczach w Kanadzie. Ziemię wyczerpuje to, że ją eksploatują. Kraj prędko marnieje, chyba że człowiek nawozi go odpadkami własnymi i wszystkich swoich zwierząt. Kiedy przestaje posługiwać się zwierzętami i zaczyna używać maszyn, ziemia szybko go pokonuje. Maszyna nie może reprodukować ani nie użyźnia gleby i zjada to, czego człowiek nie może wytworzyć. Każdy kraj miał być taki, jakim go zastaliśmy. Jesteśmy intruzami i po naszej śmierci może się wprawdzie okazać, żeśmy go wyniszczyli, ale mimo to pozostanie na

zawsze i nie wiemy, jakie będą następne przemiany. Przypuszczam, że wszystkie kończą się tak jak w Mongolii.

Wrócę jeszcze do Afryki, ale nie po to, żeby się z niej utrzymywać. To potrafię robić za pomocą dwóch ołówków i paruset kartek najtańszego papieru. Ale wrócę tam, gdzie mi jest dobrze żyć, żyć naprawdę. Nie tylko pozwolić życiu, żeby przemijało. Ludzie naszego narodu ścigali kiedyś do Ameryki, bo wówczas ona właśnie była odpowiednim miejscem. Był to dobry kraj, a myśmy z niego zrobili diabelne paskudztwo, więc teraz udam się gdzie indziej, tak jak zawsze mieliśmy prawo pójść gdzie indziej i jak zawsze tam szliśmy. Wrócić można każdej chwili. Niech inni jadą do Ameryki, ci, co nie wiedzą, że przybywają za późno. Nasi ludzie oglądali ją w najlepszym okresie i walczyli za nią, kiedy warto było za nią walczyć. Ja teraz pójdę gdzie indziej. Za dawnych czasów zawsze gdzieś się szło, a są jeszcze dobre miejsca, do których można się udać.

Umiem się poznać na dobrym kraju. Tutaj jest zwierzyna, dużo ptaków i lubię krajowców. Tu mogę polować i łowić ryby. To i pisanie? czytanie i oglądanie obrazów jest wszystkim, co lubię robić. I zawsze pamiętam wszystkie obrazy. Lubię też obserwować inne rzeczy, ale robić lubię właśnie to. To i narty. Tylko że nogi mam teraz kiepskie i nie iwarto tracić czasu na wyszukiwanie dobrego śniegu. Dzisiaj wybierając się na narty spotyka się za dużo ludzi.

Kiedy samochód skręcił za jakiś kopiec i przejechał przez zielone, trawiaste pole, zobaczyliśmy wioskę masajską.

Masaje ujrawszy wóz wybiegli i otoczyli nas, gdy zatrzymaliśmy się • tuż pod palisadą. Byli tam ci młodzi wojownicy, co wtedy biegli za nami, a teraz powychodziły też ich kobiety i dzieci, żeby nas obejrzyć. Wszystkie dzieci były bardzo małe, a mężczyźni i kobiety wydawali się w jednakowym wieku. Nie było tu starców. Wszyscy odnosili się do nas bardzo przyjaźnie i urządziliśmy ogromnie udane przyjęcie z zakąską w postaci naszego chleba, który zjadali wśród wielkiego śmiechu, najpierw mężczyźni, potem kobiety. Następnie kazałem M'Koli otworzyć dwie puszki placaka owocowego i puddingu. ze śliwkami, pokrajałem to na porcje i rozdałem. Słyszałem i czytałem, że Masaje żywią się tylko krwią bydlęcą zmieszaną z mlekiem, odciągając krew z rany w żyłę na szyi zwierzęcia, zadanej strzałą wystrzeloną z bliska. Ci Masaje jednak zjadali chleb, zimny placek owocowy i pudding z ogromnym smakiem, wśród śmiechów i żartów. Jeden bardzo wysoki i przystojny wciąż zapytywał mnie o coś, czego nie mogłem zrozumieć, a potem przyłączyło się do niego jeszcze pięciu czy sześciu innych. Cokolwiek to było, chcieli tego ogromnie. W końcu najwyższy zrobił bardzo dziwny grymas i wydał odgłos podobny do zdychającego wieprza. Zro-

zumiałem nareszcie; pytał, czy my mamy coś takiego, więc nacisnąłem guzik klaksonu. Dzieci uciekły z wrzaskiem, wojownicy śmiali się i śmiali, a potem, gdy Kamau w odpowiedzi na ogólne żądanie zaczął naciskać klakson raz po raz, zauważyłem wyraz najwyższego zachwytu i ekstazy na twarzach kobiet i widziałem, że dzięki temu klaksonowi mógłbym mieć każdą kobietę z plemienia.

W końcu musieliśmy już jechać, więc rozdawszy puste butelki od piwa, nalepki z butelek, a wreszcie kapsle, pozbierane przez M'Kole z podłogi samochodu, ruszyliśmy klaksonując kobiety w ekstazę, dzieci w panikę, a wojowników w zachwyty. Wojownicy biegli z nami spory kawał drogi, ale musieliśmy się śpieszyć, jazda przez tę parkową okolicę była dobra, toteż po chwili pomachaliśmy rękami ostatnim z nich, którzy przystanęli wysocy i wyprostowani, w strojach z brunatnych skór, ze zwisającymi, grubymi warkoczami, twarzami ubarwionymi na czerwono-brązowy kolor, i oparci na włóczniach spoglądali za nami z uśmiechem.

Słońce już prawie zaszło, a ponieważ nie znałem drogi, kazałem gońcowi usiąść na przedzie obok Wanderoba-Masaja i pokazywać ją Kamauowi, sam zaś przesiadłem się na tył, do M'Koli i Garricka. Nim słońce zaszło, wyjechaliśmy z parkowej okolicy na suchą, usianą buszem równinę i wypilem jeszcze jedną butelkę niemieckiego piwa, i obserwując okolicę zauważyłem nagle, że na wszystkich drzewach pełno jest białych bocianów. Nie wiedziałem, czy są tu przelotem, czy też polują na szarańczę, ale o zmierzchu wyglądały ślicznie, i przejęty nimi głęboko dałem staremu dobre dwa palce piwa, które zostały na dnie butelki.

Przy następnej butelce już o tym zapomniałem i wypilem wszystko, zanim przypomniał mi się stary. (Na drzewach wciąż siedziały bociany i widzieliśmy kilka gazeli Granta pasących się po prawej. Szakal podobny do popielatego lisa przebiegł truchcikiem przez drogę). Powiedziałem więc M'Koli, żeby otworzył jeszcze jedną butelkę, i kiedy minąwszy równinę wjeżdżaliśmy na długą pochyłość wiodącą ku drodze i wiosce, widząc już teraz obie góry, w prawie zupełnym mroku i silnym chłodziu, podałem butelkę staremu, który siedząc skulony pod dachem samochodu wziął ją i czule przytulił do piersi.

W wiosce zatrzymaliśmy się w ciemnościach na drodze i zapłaciłem gońcowi sumę wymienioną jako należną mu w piśmie, które przyniósł ze sobą. Staremu zapłaciłem tyle, ile kazał Pop, z dodatkiem. Potem nastąpiła między nimi wielka dyskusja. Garrick miał jechać po pieniądze do głównego obozu. Abdullah upierał się, żeby też jechać. Nie ufał Garrickowi. Wanderobo-Masaj także prosił żałośliwie, żeby go zabrać. Był przekonany, że tamci podstępnie pozbawiają go jego części, a ja

też byłem prawie pewien, że tak zrobią/ Mieliliśmy do zabrania benzynę, którą pozostawiono na wypadek, gdyby nam jej zabrakło, a którą musieliśmy wziąć w każdym razie. Wóz był przeładowany, a nie wiedziałem, jaka jest droga przed nami. Ale pomyślałem, że możemy zabrać AbduUaha i Garricka i jakoś upchać Wanderoba-Masaja. Natomiast nie było mowy, żeby stary też jechał. Otrzymał zapłatę i zgodził się na sumę, ale nie chciał opuścić samochodu. Przycupnął na naszym ładunku i uczeplił się sznurów mówiąc:

— Ja jadę z B'wana. * * *

M'Kola i Kamau musieli poodrywać jego ręce od sznurów i ściągnąć go siłą, żeby przepakować samochód, a stary wciąż krzyczał:

— Ja chcę jechać z B'wana!

Kiedy ładowali po ciemku, przytrzymał mnie za rękę i zaczął coś mówić bardzo cicho w języku, którego nie mogłem zrozumieć.

— Przecież już masz swoje szylingi — powiedziałem.

— Tak, B'wana — odparł. Nie o to mu chodziło. Pieniądze były w porządku.

Potem, kiedy zabieraliśmy się do wsiadania, wyrwał się i zaczął wdrapywać od tyłu na bagaże. Garrick i Abdullah ściągnęli go stamtąd.

^— Nie możesz jechać. Nie ma miejsca.

Znowu coś do mnie cicho zagadał, błagalnie i prosząco.

— Nie, nie ma miejsca.

Przypomniałem sobie, że mam mały scyzoryk, wyjąłem go z kieszeni i wetknąłem mu w rękę. Odsunął go z powrotem w moją dłoń.

— Nie — powiedział. — Nie.

Potem uspokoił się i stanął przy drodze. Ale kiedyśmy ruszyli, zaczął biec za samochodem i słyszałem, jak krzyczał w ciemnościach:

— B'wana! Ja chcę jechać z B'wana!

Jechaliśmy drogą, która w świetle reflektorów wydawała się bulwarem po tych miejscach, gdzieśmy niedawno byli. Przejechaliśmy tą drogą w ciemną noc pięćdziesiąt pięć mil bez wypadku. Czuwałem, dopóki nie minęliśmy najgorszego odcinka, długiej połaci wyboistego czarnego błota, gdzie w reflektorach szukało się drogi między krzakami, a potem, kiedy jazda się poprawiła, zasnąłem budząc się od czasu do czasu, aby zobaczyć blask reflektorów na ścianie wysokich drzew lub nagim zboczu albo też — kiedyśmy wspinali się pod górę pierwszym biegiem, w jakimś stromym miejscu — światła wybiegające skośnie w przestrzeń.

W końcu, kiedy licznik wskazał już pięćdziesiąt mil, zatrzymaliśmy się, obudzili jakiegoś krajowca w jego chacie i M'Kola zapytał o obóz. Usnąłem znowu i przebudziłem się, kiedyśmy skręcali z drogi na ścieżkę

między drzewami i już było widać ogniska obozowe. Potem, gdy podjechaliśmy tak, że nasze reflektory oświetliły zielone namioty, zakrzyknąłem i wszyscy zaczęliśmy krzyczeć, trąbić klaksonem, a ja wystrzeleliem i płomień z lufy smagnął w mrok z wielkim hukiem. Potem stanęliśmy i zobaczyłem wychodzącego z namiotu Popa, masywnego i ciężkiego w szlafroku, i w następnej chwili obejmował mnie za ramiona, mówił: — Ty cholerny pogromco byków — a ja go klepnąłem po plecach.

I powiedziałem:

— Niech pan spojrzy, Pop.

— Już je widziałem — odrzekł. — Cały tył samochodu zawaliły.

A potem obejmowałem mocno P.O.M. bardzo drobną w pikowanej obszerności szlafroka, i mówiliśmy sobie różne rzeczy.

Później wyszedł Karl i powiedziałem:

— Się masz, Karl.

— Strasznie się cieszę — odrzekł. — Cudowne rogi.

M'Kola zdjął je już z wozu i obaj z Kamauem trzymali je tak, żeby wszyscy mogli dobrze się przyjrzeć w świetle ogniska.

— Masz co? — spytałem Karla.

— A, też takiego. Jak oni to nazywają? Tendalla.

— Fajnie — odrzekłem. Wiedziałem, że mam byka, którego nikt nie pobije, i spodziewałem się, że i on ma dobrego. — Duży jest?

— A, pięćdziesiąt siedem — odparł Karl.

— Obejrzyjmy go — powiedziałem czując, że mi się robi zimno w dołku.

— Jest tam — powiedział Pop i poszliśmy w tę stronę. Była to największa, najbardziej rozłożysta, najciemniejsza, najdłuższa i kręta, najgrubsza, najbardziej niewiarygodna para rogów kudu na świecie. Nagle, zatruty zazdrością, pomyślałem, że nie chcę więcej widzieć tych moich, nigdy, przenigdy.

— To wspaniale — rzekłem, a te słowa zabrzmiały wesoło jak kranie. Spróbowałem jeszcze raz: — To fajnie. Jakeś go dostał?

— Było ich trzy — odrzekł Karl. — Wszystkie takie wielkie. Nie mogłem się zorientować, który był największy. Ale się mocno namęczyliśmy. Trafiłem go trzy czy cztery razy.

— Cudowny — powiedziałem. Już się na tyle opanowałem, że wyszło mi to trochę lepiej, ale jeszcze by nikogo nie zwiódło.

— Strasznie się cieszę, że masz te swoje — rzekł Karl. — Coś wspaniałego. Musisz mi wszystko opowiedzieć jutro rano. Wiem, że dzisiaj jesteś zmęczony. Dobranoc.

Odszedł, delikatny jak zawsze, żebyśmy mogli o tym pomówić, jeżeli będziemy mieli ochotę.

— Chodź napić się czegoś — zawołałem.

— Nie, dziękuję, chyba lepiej się położyć do łóżka. Trochę mnie boli głowa.

— Dobranoc Karl.

— Dobranoc. Dobranoc, biedna stara Mamo.

— Dobranoc — powiedzieliśmy wszyscy.

Przy ognisku rozmawialiśmy popijając whisky z wodą sodową i opowiedziałem im, jak to było.

— Może znajdą tego byka — rzekł Pop. — Naznaczymy nagrodę za rogi. Każę je odesłać do wydziału łowieckiego. Ile ma ten pański większy?

— Pięćdziesiąt dwa cale.

— Po krzywiźnie?

— Tale. Może trochę więcej.

— Cale nie mają żadnego znaczenia — rzekł Pop. — To są diablo piękne kudu.

— Jasne. Ale dlaczego on zawsze musi mnie tak paskudnie pobić?

— Ma szczęście — odparł Pop. — Boże, co to za kudu! Tylko raz w życiu widziałem zabitego kudu, który by miał ponad pięćdziesiąt. To było tam, na Kalalu.

— Dowiedzieliśmy się, że go ma, kiedyśmy wyjeżdżali z tamtego obozu. Przyszła ciężarówka i powiedzieli nam — rzekła P.O.M. — Przez cały czas modliłam się za ciebie. Spytaj pana Jot Pe.

— Nigdy pan nie będzie wiedział, co to dla nas było, jakeśmy zobaczyli wóz wjeżdżający w światło ogniska i te sterczące z niego cholerne rogi — rzekł Pop. — Ach, stary łobuzie!

— To cudowne — powiedziała P.O.M. — Chodźmy jeszcze raz je obejrzyć. /

— Zawsze pan może sobie wspominać, jak pan je zastrzelił. Właściwie tylko to się z tego ma — rzekł Pop. — Diabelnie wspaniałe kudu.

Ale ja byłem rozgoryczony i byłem rozgoryczony przez całą noc. Jednakże następnego dnia to mi przeszło. Minęło i nie wróciło nigdy więcej.

Nazajutrz Pop i ja wstaliśmy i oglądaliśmy rogi przed śniadaniem. Był szary, chmurny poranek i zimno. Nadchodziły deszcze.

— Trzy cudowne kudu — powiedział.

— Dzisiaj te moje dwa wydają mi się wcale niezłe* przy tym wielkim — rzekłem. I, dziwna rzecz, tak było. Już teraz pogodziłem się z tym ogromnym i byłem zadowolony, że go widzę i że Karl go ma.

Kiedy się je ustawiło jedno przy drugich, wyglądały dobrze. Naprawdę dobrze. Wszystkie były duże.

— Cieszę się, że pan jest w lepszym nastroju — rzekł Pop. — Ja zresztą też.

— Naprawdę się cieszę, że on go dostał — powiedziałem zgodnie z prawdą. — Mój mi wystarcza.

— Mamy bardzo prymitywne odczucia — odrzekł. — Nie sposób uniknąć rywalizacji. Ale to jednak psuje wszystko.

— Ja już z tym skończyłem — odparłem. — Już znowu jest wszystko w porządku. Wie pan, to była niezła wycieczka.

— Ja myślę — powiedział Pop.

— Pop, co to znaczy, jak oni ściskają człowieka za rękę, łapią za duży palec i ciągną?

— To jest coś w rodzaju braterstwa krwi, ale trochę mniej oficjalne. Kto panu to zrobił?

— Wszyscy z wyjątkiem Kamaua.

— Robi się z pana nie byle kto — rzekł Pop. — Muszą pana tutaj mieć za starego wygę. Niech pan mi powie, czy pan jest dobrym tropicielem i strzelcem do pióra?

— Idź pan do diabła.

— M'Kola też to z panem robił?

— Tak.

— No, no — rzekł Pop. — Chodźmy po małą Memsahib i zjedzmy śniadanie. Nie dlatego, żebym miał apetyt.

— Ja mam — odparłem. — Nie jadłem nic od przedwczoraj.

— Ale piwa pan trochę wypił, co?

— A owszem.

— Piwo to pożywienie — rzekł Pop.

Poszliśmy po małą Memsahib i poczciwego Karla i bardzo wesoło zjedliśmy śniadanie.

W miesiąc później P.O.M., Karl i jego żona, która wyjechała po niego i spotkała się z nami w Hajfie, siedzieli w słońcu pod kamiennym murem nad Jeziołem Galilejskim, jedząc obiad, popijając wino i przyglądając się perkozom na jeziorze. Wzgórza rzucały cienie na wodę, która była gładka, spokojna i leniwa. Perkozów było dużo i płynąc zostawiały za sobą rozszerzający się szlak na wodzie, a ja liczyłem je i zastanawiałem się, dlaczego w Biblii nie ma o nich żadnej wzmianki. Doszedłem do wniosku, że tamci ludzie nie byli przyrodnikami.

— Nie mam zamiaru po nim chodzić — odezwał się Karl spoglądając na posępne jezioro. — Już ktoś to robił.

— Wiesz — powiedziała P.O.M. — nie mogę sobie tego wszystkiego przypomnieć. Nie potrafię sobie przypomnieć twarzy pana Jot Pe. A on jest piękny. Myślę o nim i myślę i nie mogę go zobaczyć. To okropne. On wcale nie wygląda tak jak na fotografii. Niedługo nie będę mogła w ogóle go sobie przypomnieć. Już teraz go nie widzę.

— Musisz go zapamiętać — rzekł do niej Karl.

— Ja go pamiętam — powiedziałem. — Kiedyś coś o tym napiszę i tam go umieszczę.